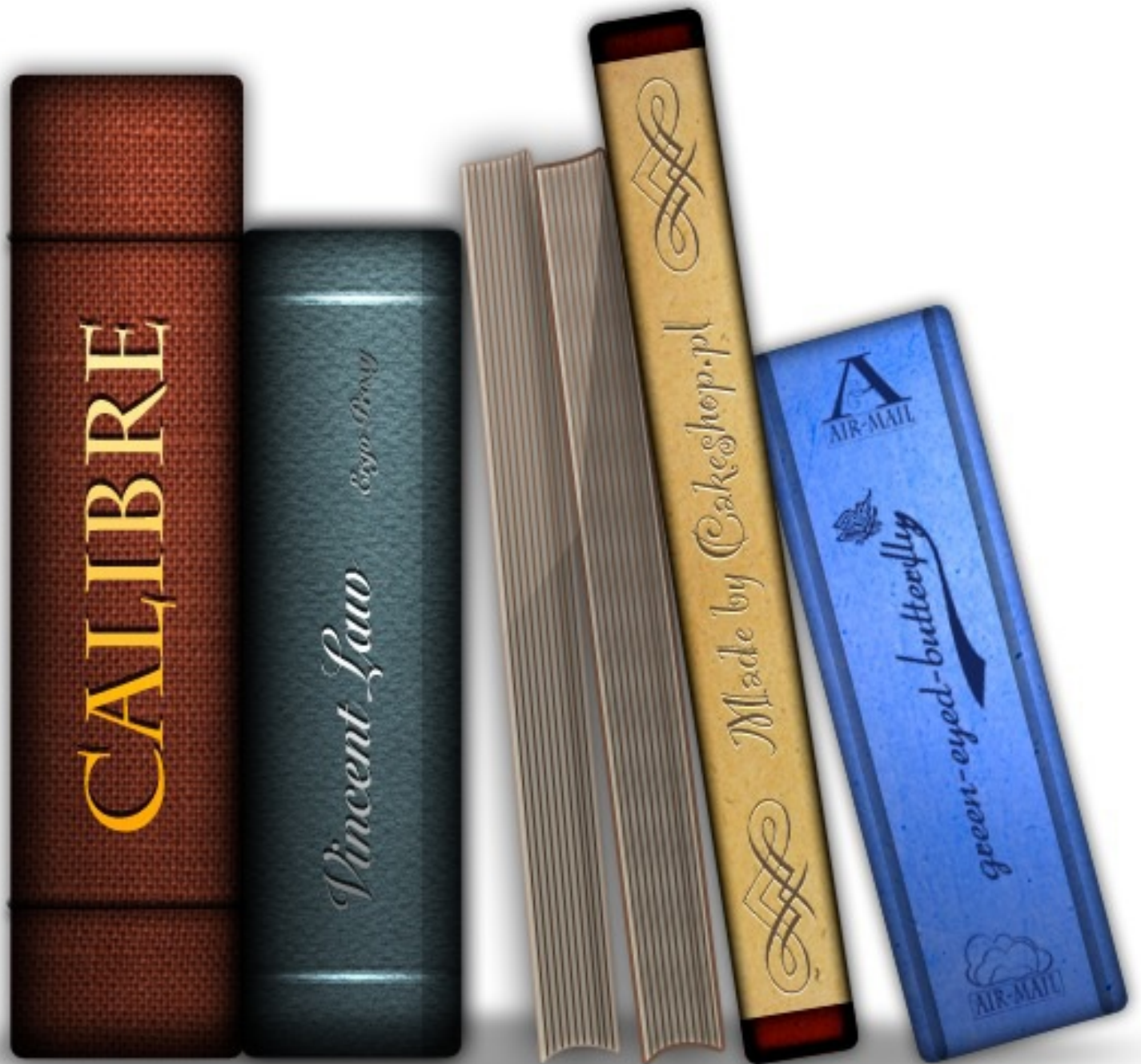


Biały Jaguar

Fiedler Arkady



calibre 0.7.3

Arkady Fiedler

Biały Jaguar

Kilka słów wstępnych

W Gujanie Brytyjskiej byłem dwa razy, za pierwszym razem w czasie drugiej wojny światowej, w 1942 roku, i wtedy dzięki wojennym perypetiom zahaczyłem nie tylko o Georgetown, ale wpadłem także na Trynidad i do wenezuelskiej Cumany. Tu los zetknął mnie w jakimś klasztorze z pożółkłymi kronikami z osiemnastego wieku i doszła mnie wieść o niejakim Johnie Boberze Polonusie, który według wzmianek sprzed dwóch wieków wyrył w drzewie łodzi swe nazwisko w roku 1726 na wyspie Cocha, leżącej na północ od Cumany.

Idąc po zawilej nitce do zamglonego kłębaka, zdobyłem kruche wiadomości o owym półlegendarnym Janie Boberze i stąd kilka lat później powstały moje dwie książki: „Wyspa Robinsona” (1954) i „Orinoko” (1957).

Bujne dzieje Gujany i owego tajemniczego Jana Bobera nie dawały mi spokoju i w latach 1963/4 zapędziłem się ponownie do Gujany Brytyjskiej, by powłóczyć się wśród kilku szczepów indiańskich w interiorze. Szczególnie zaprzyjaźniłem się z ujmującymi Arawakami (moja książka: „Spotkałem szczęśliwych Indian”), a gdy przebywałem u nich nad rzeką Pomerun, zaszedł niezwykle i doniosły wypadek. Mianowicie radio w Georgetown podało wywiad ze mną, nagrany na taśmę magnetofonową przed kilkunastu dniami, w którym to wywiadzie mówiłem serdecznie o moim postanowieniu napisania historycznej powieści z pierwszej połowy XVIII wieku, traktującej o ówczesnych wydarzeniach wśród Arawaków i dzielnej tychże walce o byt.

Gdy ów wywiad nadawano, byłem właśnie w Cabacaburi, ludnej wsi Arawaków nad rzeką Pomerun, a arawaski naczelnik owej wsi, „kapitan” William, słysząc mój wywiad (miał dostęp do aparatu radiowego u pastora), wielce moją sprawą się zaciekawiał, po prostu zapłonął. Chwalebny ferworem zaraził także kilku najstarszych mieszkańców Cabacaburi, którzy niemal na wyścigi zaczęli sobie przypominać to i owo, co kiedyś zasłyszeli od swych dziadków i pradziadków.

Arawakowie oczywiście nigdy nie mieli pisanych kronik, natomiast żywą zachowali tradycję w pamięci, a podania oraz klechdy wędrujące z ust do ust, nie zawsze zmyślane, a często bliskie prawdy lub półprawdy, sięgały wielu, wielu pokoleń wstecz.

–A o takim bohaterskim Białym Jaguarze czyście coś słyszeli? zapytałem się ich z uśmiechem.

Pytaniem byli zaskoczeni, coś tam pod nosem niewyraźnego mruknęli. Ale zaczęli się namyślać i domyślać i już po dwóch, trzech dniach mogli mi coś powiedzieć. Zrazu niewiele, potem trochę więcej, później jeszcze więcej.

Uroczę Cabacaburi! Ileż mi tam naopowiadano rzeczy!

Więc opowieść o Białym Jaguarze – podobnie jak w „Wyspie Robinsona” i w „Orinoku” – ująłem tak, jak gdyby sam Biały Jaguar swe niezwykle przejścia nam ujawniał.

ARKADY FIEDLER

1. Po klęsce wroga

Szedł w gujańskiej puszczy rok 1728.

Lubo nasze zwycięstwo na wyspie Kaiiwie było całkowite, a klęska napastniczych Akawojów druzgocąca, to przecie straszny wróg nielecho utoczył krwi nam także. Naszych zginęło kilkunastu Arawaków, a przeszło dwudziestu padło Warraulów, naszych sojuszników, którym przy płynęliśmy z pomocą.

Jak Gujana Gujaną nie było od pokoleń tak zażartego zabijania się i takiego pogromu. Całą zbójcką wyprawę wroga, blisko stu wojowników Akawojów, wybiliśmy w pień, do nogi, krom ośmiu pojmanych żywcem. A przecież owi Akawoje należeli dotychczas do niezwycięzonych i byli postrachem wszystkich inszych szczepów Indian gujańskich. Wódz ocalonych Warraulów, Oronapi, nie wiedział, jak się wywdzięczyć, chciał nam dawać zdrowe dziewczki na żony i służebnice, alem za jego dar grzecznie podziękował.

Natomiast chciwie zagarnęliśmy wszelką od wroga zdobycz, a było tam siedem wielkich łodzi itaub i cztery mniejsze jaboty, dalej: siła oręża, włóczni, oszczepów, luków i strzał, maczug, tudzież holenderskich toporów, a czemu byłem szczególnie rad, dwanaście strzelb. Aliści zaraz ostygłem, bo rusznice były ohydnie zaniedbane, rdzą zapuszczone: Akawoje dostali je od Holendrów znad rzeki Esseąuibo.

W drodze powrotnej do naszej sadyby Kumaka mieliśmy, nie gnając, a z przyływu morza robiąc użytek, trzy dni wiosłowania rzeką Orinoko. Było nas teraz mniej, niespełna stu dwudziestu Arawaków i kilka niewiast, a łodzi mieliśmy więcej, toteż na czołno przypadało mniej wiosłarzy. Przyjaciele chcieli mi zaoszczędzić wiosłowania, jako żem ich wódz, aleć ja, żartobliwie zaperzony, szpetnie ich spiorunowałem i pozostałem przy wiosle jak oni.

Ochoczej waśni przysłuchiwała się rozbawiona Lasana, moja indiańska żona, wiosłująca wedle mnie.

–Biały Jaguarze, czy ty nie chcesz być nazbyt dzielny? – zaśmiała się ze mnie.

–Nie, Czarowna Palmo! – odparłem kłótliwie. – Chcę, być równy wam wszystkim, moim druhom. I tobie równy!

–Nie jesteś nam równy!

–O, carramba, jak mówią Hiszpanusy! To mi niespodzianka!

–Jesteś wyższy...

–Głupstwo!

–Jesteś wyższy od nas prawie o całą głowę...

Wszyscy na naszej itaubie buchnęli śmiechem, ja też. Bo to prawda, byłem wyższy wzrostem.

Duch odniesionej wiktorii wciąż w nas żywo siedział i panował na naszych łodziach. Jużem dostatecznie poznał mych Arawaków, by wiedzieć, jak wśród Indian zawsze blisko życia czyhała śmierć i jak im się widziała rzeczą powszednią. Utrata dwudziestu bez mała współbraci była w ich oczach rzeczą nieodzowną, przeto zwykłą, przeto już teraz nie umniejszającą naszej radości ze zwycięstwa. A przy tym spostrzegłem z zadziwieniem, że i ja nie lepszy od nich i już jakoby pół Indianin z usposobienia. Straciłem z mego hufca dwóch bitnych wojenników-przyjaciół, co mi szczególną żalność sprawiło, a jednak teraz na itaubie, płynąc potężną rzeką, brzegiem niezgłębionej puszczy, jużem podzielał szumne nastroje towarzyszy.

A byli to moi najbliżsi: hoża Lasana pracowała wiosłem tuż wedle mnie, pod bokiem; przed nami, tyłem do nas, wiosłowali wspólnym rytmem wierny i szlachetny Arnak, mądry doradca i chyba najbliższy mi sercem junak dwudziestoletni; tudzież nieco młodszy od niego Wagura, trzpiot i mądrała, a chwyt nieustraszony i już doświadczony w dziele wojennym; tudzież Pedro Martinez, Hiszpan wzięty na llanosach Wenezueli do niewoli, a potem nieodstępny przyjaciel nas wszystkich. Przy tym Pedro był pilnym moim nauczycielem mowy hiszpańskiej, tak jak Arnak i Wagura byli mi, lubo mimowolnymi, nauczycielami arawaskiego; tudzież na łodzi dzierżył wiosło kulawy Arasybo, kuty na cztery nogi czarownik szczepu Arawaków, zezowaty i brzydki jak ostatnie niebożę z gęby, a z mózgu najprzemyślniejszy znawca jaźni indiańskiej i wszelakich tajemnic puszczy; poza tym żarliwy mój zwolennik i sprzymierzeniec, bom kiedyś na wenezuelskich llanosach nie pozwolił go porzucić; tudzież był na naszej itaubie jeszcze Murzyn Miguel, olbrzym, siłacz i niechybny oszczepnik, duszą i ciałem oddany mi z tego samego źródła co czarownik Arasybo, a człek ze wszech miar dobroduszny.

Na sąsiedniej itaubie płynął inny towarzysz, szczery przyjaciel ze szczepu Warraulów, waleczny Manduka na czele swych dziesięciu rodaków. Ich wódz Oronapi oddał nam całą ową grupę ludzi do rozporządzenia, ażebyśmy tych chwatów przekształcili w doskonałych, bitnych wojenników. Warraulowie, szczep na błotach u ujścia Orinoka do morza żyjący, wojownikami ani zuchami nie byli, rybożery bić się nie umieli. Toteż wojaki, że pożał się Boże, dawno by wyginęli od drapieżniejszych szczepów, gdyby nie ochronne moczary. Ale Manduka był inszy, i tacyż byli jego towarzysze, których miał przy sobie.

Na czele naszych czólen i na ich zadzie pruły wodę itauby reszty wojowników. Płynęły tam drużyny Arnaka i Wagury, a także wojownicy z rodów wodza Jokiego i wodza Konaury. Onże Konauro, mąż w sile wieku, a osobliwie godny i pocziwy (jak mi się zdawało), poniósł z nas wszystkich najdotkliwsze straty w boju z Akawojami i jego grupa żalostnie zeszczupiała, on sam zaś, przejęty zgryzotą, nie mógł wciąż wyzwolić się z ponurego oszołomienia.

Wszyscy oni byli moimi przyjaciółmi, wzajemnie znaliśmy swe radości i troski, ufaliśmy sobie nawzajem i cieszyli się sobą. Aleć tuż wedle nas na całym brzegu rzeki jeżyła się okrutnymi

milami jedna ciągła puszcza. Nieustanna, groźna tajemnica. Tam na wschodzie bowiem, gdzieś w gąszczu nad rzeką Cuyuni, oddalonym o dwadzieścia dni chybłą łodzią od nas, szczerp Akawojów będzie oplakiwał śmierć swych wojowników, gdy dowie się o ich pogromie.

Czy wezwie demona zemsty, kanaimę, by nas ukarał? Czy, przeciwnie, przerażony skuli się? Od sędziwych drzew puszczy wyrastały srogie konary nad wodą i sięgały ponad nasze itauby, jakby chciały nas porwać swymi pazurami. Albo ochrony udzielić.

2. Ważkie postanowienie

Okolo południa przyływ od morza zawahał się i osłabł, wkrótce ustał do cna, rzeka stanęła, a po godzinie zaczęła płynąć w przeciwnym niżeli dotychczas kierunku, ku morzu. Śpieszno nam nie było. Tedy gdy znaleźliśmy nieco wyższy brzeg, nie bagnisty, wylądowaliśmy tam wszyscy, ilu nas było, ażeby rozłożyć się przejściowym obozowiskiem; za kilka godzin zaś, okolo północy, ruszyć dalej. Wówczas od nowa prąd będzie nam pomyślny: obróci się od morza w górę rzeki i poniesie w głąb kraju. Manduka i jego Warraulowie, znający tu każdy skręt i każdą zatokę tudzież odnogę, mieli nam w nocy wskazywać drogę.

Jakże w tym obozie przydały nam się zdobyte na Akawojach holenderskie siekiery! Były poręczne, snadno wchodziły w garść i kilkunastu nas migiem ochędożyło kawał lasu z krzewów i podszycia. A tymczasem kobiety, wzniciwszy ogniska, przygotowywały strawę: Oronapi, wódz Warraulów, przy odjeźdym hojnie nas zaopatrzył w żywność; smakowały nam osobliwie owoce i suszone ryby.

Kiedym wśród krzaków spotkał na uboczu Arnaka, zapytałem go szeptem:

–Arnaku! Czy pomyślałeś o zabezpieczeniu obozu? Młodzian aż zachnął się serdecznie:

–Ależ tak, Janie!

–Czy wystawiłeś czaty?

–Tak, tak! Jedną nad rzeką, drugą w puszczy!

Najchętniej uściskałbym go: nauka nie szła w las. A on był rzeczywiście moją prawą ręką i zaufanym przyjacielem.

Gdy wszyscyśmy się najedli i napiili, był jeszcze pełny, jasny dzień. Wtedy najbliższym z mego rodu oświadczyłem, że chciałbym niezwłocznie zwołać wojowników na wspólną naradę i powiedzieć kilka ważkich słów do nich, a szczególnie do wodzów i wojowników starszych, najdoświadczeńszych.

–Jaka szkoda, że nie masz tu swej skóry jaguara! – wyskoczył z pewnym żalem bystry jak zwykle Wagura.

–Prawda! – przyznał Arnak. – Szkoda!

–Nie ma szkody! – wtrąciła się Lasana. – Mamy skórę pumy, ubitej przed tygodniem. A ta wystarczy!...

–Więc serdeczna czeladź jednomyślnie orzekła, że skóra pumy to dostateczna tu oznaka wodza, i jak tylko ludzie zaczęli się schodzić i siadać na ziemi dokoła, przerzuciłem przez ramię pumę, dodającą mi ponoć uroczystej powagi.

–Chcę z wami pogadać o tym, co niedawno było, i o tym, co wkrótce

będzie! – przemówiłem po arawasku, bom językiem władał już niezgorzej. – A że to sprawy doniosłe, dotyczące całego naszego szczepu, wszystkich was proszę na wspólną rozmowę i żądam od was rozważnej rady...

Z zaciekawieniem łowili Indianie me słowa i spoglądali na mnie nader życzliwie, aleć nie wszyscy: grupa Konaury, siedząca najdalej, na szarym końcu ciżby ludzkiej, patrzyła na mnie spode łba, niechętnie.

–Nie ulega wątpliwości – mówiłem dalej – że ostatnie wydarzenia na wyspie Kaiiwie były tak rzetelnym zwycięstwem, że muszą napawać dumą cały nasz szczep Arawaków; więcej, wiem, że jeszcze wasi prawnukowie po stu latach was wszystkich tu obecnych wojowników z należną czcią będą wspominali. Z chlubą będą sławili wasz czyn...

Lubo z nikim wprzód nie umawiałem się co do przedmiotu naszego spotkania, to przecie Arnak, który był jednako rozumny, jak i bojowy, uznał za wskazane, by mi w tej chwili przerwać, dając do zrozumienia, że chciałby też coś powiedzieć.

Nieco zdumiony, kiwnąłem głową.

–Znam niezgorzej – oznajmił Arnak – dzieje wszystkich szczepów w Gujanie, bo nie tylko Arawaków i Warraulów, ale tak samo dzieje Akawojów, Karibów, Arekunów, Patemonów, Makuszi i z całej duszy potwierdzić mogę, że wszystko, co przed chwilą powiedział Biały Jaguar, jest najprawdziwszą, świętą prawdą: nigdy w Gujanie, między

Orinokiem a Amazonką, nie było tak diabelnej klęski, jaką zadaliśmy

przed kilku dniami napastnikom...

–To prawda, to szczerą prawdą! – krzyknął ktoś za moimi plecami.

Znowum się zadziwił: krzyknął Pedro, ów młody Hiszpan, wzięty

przez nas na wenezuelskich llanosach do niewoli. On nas tak polubił, a my jego, że nie chciał wracać do swych pobratymców. Przystał do Arawaków i do mnie. A że zaprzyjaźnił się z

rówieśnikiem Wagurą, umiał już niezgorzej mówić po arawasku.

–To prawda! – jeszcze raz zawołał Pedro. – Historii uczono mnie w szkole w mieście Cumana. W Ameryce Południowej śmiesznie małe ilości wojaków czy żołnierzy często rozstrzygały los niepomernie dużych państw. Stu osiemdziesięciu pięciu Hiszpanów skruszyło olbrzymie państwo Inków. Tu w boju na wyspie Kaiiwie walczyło razem ćwierć tysiąca wojowników, a napastników było około stu, i wszystkich do ostatniego Akawoja wytłuczono. Kto wie, czy to zwycięstwo Arawaków nie przesądziło na dziesiątki lat o tym, kto będzie władał całym ujściem Orinoka...

–A zabici na Kaiiwie! Nasi zabici bracia?! Kto ich nam zwróci?! Kto? Przekleństwo! – przerwał nagle słowa Pedra ostrym głosem ktoś z drużyny Konaury, siedzącej z daleka od nas.

–I to niepotrzebnie zabici! Niepotrzebnie!! – ryknął z tej samej grupy Konauro, którego poznałem po głosie.

Byliśmy wszyscy na brzegu puszczy. Między nami stały liczne pnie leśnych olbrzymów, że nie sposób było widzieć rozdrażnionego Konaury. Zresztą owe pnie i panujący półmrok stwarzały niesamowity nastrój, może nawet urok, przypominający mi tragedie greckie, które czytywałem za młodu w domu rodzinnym w Wirginii.

Słowa Konaura i jego człowieka wywołały pomruk niezadowolenia, nawet niecierpliwe okrzyki, bo wszakże tego dnia ogólna panowała radość w naszej wyprawie, i to uzasadniona radość, jako że unieszkodliwiliśmy tak groźnego wroga. Już zabierałem się do odpowiedzi Konaurze, gdy wtem uprzedził mnie Joki. Był to dowódca drużyny młodszy niż Konauro, a starszy ode mnie, wojownik pełen ognia i brawury.

–Konauro! – wybuchnął Joki potężnym głosem. – Czyś ty oślepl? Czy rozum ci odjęło? Czy nie byleś w naszej siedzibie nad zatoką Potaro i czy nie widziałeś, że Akawoje przygotowywali wtedy napaść na nas?...

–Ale nie napadli! – odkrzyknął ktoś z grona Konaury. – Poszli na Kaiiwę, na Warraulów!

–Nie napadli – huczał Joki – bo byliśmy tęgo przygotowani do walki i o tym, jak wiesz, przekonali się Akawoje. O tym, że mieliśmy strzelby i inszą broń, i że mieliśmy i mamy bitnego, przewidującego wodza...

–A czy ten przewidujący wódz – zajazgotał któryś z popleczników Konaury – już przewidział, że Akawoje, po zrabaniu Warraulów i nabraniu siła niewolników, wróciliby zadowoleni do swej rzeki Cujuni i daliby nam spokój?

–Hola, wolnego, moi bohaterzy! – parsknąłem gniewnie. – Warraulowie są naszymi sojusznikami i nieść im pomoc było naszym trudnym, acz koniecznym obowiązkiem...

–Głupstwo!!...

Wśród Arawaków zawrzało z oburzenia jak w złym roju os. Arnak starał się dojść do głosu; ostatecznie dorwał się:

–Konauro, głowo rodu zuchwałych Kajmanów, mylisz się! – fuknął Arnak. – Tyle się nasłyszałem o Akawojach różnych rzeczy z najróżniejszych stron, że wiem, jacy oni dumni i zarozumiali. Ukłuliśmy ich butę, bo zmusiliśmy ich do zaniechania napaści. Akawoje po zawojowaniu Kaiiwy, upojeni łatwym zwycięstwem, z całą pewnością rzuciliby się na naszą sadybę Kumakę i na pobliską Serimę. Więc mylisz się, wodzu Konauro!

–A jednak – odparł Konauro gdzieś spod odległego drzewa jakimś zmienionym głosem – jednak obstaję przy swoim i wiem, że straciłem tylu bliskich ludzi z mego rodu na próżno! Przekleństwo na tych, co temu winni!...

Na to nasz czarownik Arasybo, siedzący tu wedle mnie ze wzrokiem dotychczas spuszczoneym, gwałtownie podniósł głowę i silił się zobaczyć z daleka Konaurę. Widocznie uważał, że przeklinanie i temu podobne magie to wyłącznie jego, czarownika, dziedzina.

–Konauro chory! – rzekł Arasybo w moją stronę. – On niepoczytalny szaleniec!

–Zgadza się! – mruknąłem z ubolewającym uśmiechem. – Markotno mi!

Nie wszyscy wiedzieli, jak doszło do morderczej walki ludzi Konaury z Akawojami, i wołali, żeby im wyjaśnić. Powstał Murzyn Miguel, sprawny w języku arawaskim, a oszczepnik niedościgniony, i zaczął tłumaczyć:

–Akawoje lądowali na Kaiiwie, jak wiecie, w dwóch miejscach, od strony Orinoka i od strony odnogi Guapo, i w tych dwóch miejscach zostawili swe itauby przy niewielkiej straży. Zadaniem drużyny Jokiego i Konaury było szybkie zawładnięcie tymi łodziami, które lądowały od strony Orinoka, ale niestety akawojskie straże wcześniej odkryły zbliżające się itauby i stawily czoła. Trwało to chwilę, zanim nasi zaczęli zduszać ten opór i wylądowali, gdy wtem całkiem nieoczekiwa nie zjawilo się od skupiska chat na wschodzie, z głębi wyspy, kilkuna stu nowych Akawojów, którzy do łódek przypędzali grupę około trzydziestu złapanych Warraulów. Należałem, jak wiecie, do drużyny Białego Jaguara i spieszyliśmy wówczas w kierunku wsi. Ale kiedyśmy

ujrzeli owych kilkunastu Akawojów, rzuciliśmy się wszyscy w drużynie

piorunem co sił w nogach w stronę, gdzie Akawoje pędzili swych jeńców. Nie było daleko, chyba dwieście kroków, i wszystkich tam Akawojów, wziętych w tym miejscu w kleszcze, chybkosmy wytłukli. Ale jednak zanim doskoczyliśmy, zanim ruszyły cyngle, a nasze włocznie i strzały świsnęły, maczugi uderzyły, Akawoje, srogie zabijaki, w tym krótkim czasie dali naszym, a osobliwie wojownikom Konaury, twardo w skórę...

–A szybciej nie mogliście przylecieć z pomocą? – warknął ktoś z drużyny Konaury.

–Nie mogliśmy! Jeno cośmy Akawojów ujrzeli, jużemy w te pędy co tchu na nich! Szybciej nikt by nie potrafił...

Na to z upartą zaciekłością Konauro wrzasnął:

–A jednak ludzie moi daremnie zginęli! Przekleństwo na tych, co nas do tego namówili, przekleństwo na tego, który najwięcej winien!...

I jak gdyby tego dosyć nie było, zaczął się miotać w oblędnym gniewie i wzburzony wykrztuszać koszmarnie jakoweś groźby, niby pod moim adresem.

–Ależ go chwyta kanaima! – szepnął zaniepokojony Wagura. – Trzeba go uśmierzyć!

–Trzeba! – sarknął Arasybo, a był upiorny i bezlitościwy w ślepiach. Czarownik powstał z ziemi i powoli zaczął przedzierać się przez tłok ludzi ku Konaurze.

–Idź za nim! – szepnąłem do Arnaka. – Żeby go nie skrzywdził! Konauro musi żyć!...

Po pewnej chwili Arnak wrócił oświadczając, że wszystko w porządku.

–Co to znaczy: w porządku? – spytałem.

–Arasybo magicznym tytoniem dmuchnął kilka razy w twarz Konaury i ten padł nieprzytomny.

–Do diabła! Zatruty?

–Nie! Przyjdzie do siebie dziś albo jutro, nie ma obawy...

Zdarzeniem z Konaurą zainteresowali się tylko niektórzy z Arawa

ków, najbliżsi, za to inni domagali się dalszego ciągu narady.

–Zapowiedziałeś nam – ktoś z otoczenia mnie zagadnął – że chcesz pogadać z nami także o tym, co wkrótce będzie...

–Tak, chcę! Jakże słusznie wódz Joki powiedział, że Akawoje zaniechali napaści na naszą Kumakę, bo byliśmy przygotowani do walki. Tak, byliśmy zdolni do walki, i to okazało się najważniejszą naszą obroną.

–Jak to mądrze było – oznajmił Arnak wskazując na mnie – że od samego początku, jeszcze na wyspie, zwanej przez nas Wyspą Robinsona, pilnie uczyłeś nas strzelania z rusznic i doskonalenia się w różnych rodzajach broni, jak mądrze to było!

–Umiesz, Arnak – odwzajemniłem się – patrzeć sprawom życia prosto w oczy, to się chwali! I przyznasz, że szczerp Arawaków, Lokonów, jak wy siebie nazywacie, to szczerp rozumny i

łagodny, nie zadziorny, lecz pokojowo usposobiony. Aleć zaczepiony, zdolny w obronie zdobyć się na waleczność, jakiej nie znajdziesz wśród inszych szczepów, inszych prócz chyba dwóch nieublaganych burzycieli: Akawojów i jeszcze sroższych od nich Karibów. Jaka z tego nauka?

Pytanie skierowałem nie tylko do Arnaka, lecz do wszystkich obecnych wojowników. Nastąpiło pełne napięcia milczenie.

–I jeszcze coś powiem! – dodałem. – Niewykluczone, że Akawoje nad rzeką Cuyuni, rozsierdzeni zadana im klęską, będą chcieli zemścić się

na nas i w dogodnym czasie, może w następnej suchej porze, zechcą ruszyć na nas z siłą trzykrotnie większą niż ta, która zginęła na wyspie Kaiiwie, i z przebiegłością, jakiej dotychczas u nich nie było. Przeto jaka stąd nauka?

. – Uprzedzić ich! – wrzasnął Warraul Manduka. – Nam pomknąć nad Cuyuni i wytluc ich, ile się da...

–Niemądrze! – zawołałem. – Byłaby to nowa długotrwała wojna, szkaradny rozlew krwi i nie wiadomo, jaki byłby wynik. Mam lepsze wyjście, jedyne w naszej sytuacji i na pewno skuteczniejsze!

–Jakie? Jakie? Mów nam! – odezwały się głosy zewsząd.

–Nauczyć się walczyć lepiej, lepiej aniżeli walczy każdy ze spodziewanych wrogów...

–Czyż to możliwe?

–Nie tylko możliwe, ale ko-nie-czne!

Arnak, Wagura i Pedro w lot uchwycili doniosłość takiego wojennego wyszkolenia w niepewnych warunkach, w jakich żyliśmy dotychczas nad naszą rzeką Itamaka, dopływem Orinoka. Ogarnął trzech młodych przyjaciół zapal. Stworzenie najbitniejszego hufca indiańskich wojowników w Gujanie widziało im się nad wyraz urzekającym i okrutnie pożytecznym zadaniem, a przecie osiągalnym. Ich młodzieńczy ferwor przeszedł na resztę, udzielił się wszystkim zebranym wojownikom, nawet niektórym ludziom z rodu Konaury.

Jeszcze słońce dnia tego nie zapadło, lubo cienie wśród pni puszczy już mroczyły się mocniej niż wprzód, na początku naszej obrady, a stanęła uroczysta uchwała przez wszystkich przyjęta. Uchwała, by nie zwłócząc ani tygodnia czy dnia, po powrocie nad Itamakę pracować pilnie nad stworzeniem takiej siły odpornej, jakiej dotychczas nie za

znał szczep Arawaków. A tę ważną pracę powierzono mnie, bom w oczach towarzyszy był ich wozdem, tudzież powierzono dzielnym, choć młodym druhom Arnakowi, Wagurze, Pedrze, Murzynowi Miguelowi i Warraulowi Manduce.

W leśnym obozowisku krążyło w powietrzu komarów i różnego paskudztwa siła, miliony, ale był już do tej plagi zaprawiony nie gorzej niż sami Indianie. Natomiast Manduka ostrzegł nas, że w nocy czyhała tu na nas groźniejsza udręka, krwio pijne nietoperze, zwane przez Hiszpanów wampirami, ale i temu skaraniu boskiemu można było opędzić się od biedy: zanim nadszedł czas spania, kazalem porozwieszać hamaki jak najbliżej siebie, w jednym ciasnym kręgu, a dokoła rozpaść cztery ogniska, podtrzymywane przez całą noc. Bo tam, gdzie błyskała choć odrobina światła, wampiry trzymały się z dala, nie atakując.

Z wampirami mieliśmy spokój, ale mniej więcej na godzinę przed opuszczeniem obozu nasza insza paskudna plaga i wszystkich przedwcześnie wyrwała ze snu. Oto olbrzymia, wielotysięczna wędrówka mięsożernych mrówek przetoczyła się przez sam środek naszego obozu i okrutny poczyniła rozgardiasz. Hamaki nasze były przywiązane do pni drzew, pod którymi obozowaliśmy, więc natarczywe mrówki wlażyły setkami najpierw na pnie, a stamtąd do naszych hamaków. Przypuściły wściekły atak na śpiących. Żuchwy miały diabelnie kąśliwe, gryzły jak złe psy. Nie było innego sposobu jak z hamaków wyprysnąć niby z procy, uskoczyć co najmniej kilkanaście kroków i gwałtownie strząsać ze siebie złośliwe diablice, wgryzające się w ciała. Trwało sporo czasu, zanim pozbyliśmy się prześladowczyń i całe mrowisko przedelfowało przez nasz obóz, by dorwać się do dalszego rabunku.

Owe drapieżne mrówki niosły pewną śmierć każdej żywej istocie niezdolnej do natychmiastowej ucieczki, chociażby to nawet był człowiek, tapir czy jaguar. Słyszeliśmy, że podobno gujańscy plantatorzy, chcąc przykładowo ukarać krnąbrnego niewolnika, mocno przywiązywali go na drodze owadzych oprawców i snadnie sprawę przesądzali: po godzinie straszliwych katuszy niewolnik ginął pożarty na amen.

Po północy zmienił się kierunek prądu rzeki i pokrzepieni snem jako tako pomimo mrówczej przygody, zwinęliśmy obóz i ruszyli dalej, aby szczęśliwie dotrzeć na trzeci dzień do naszej Kumaki nad zatoką Potaro. Tam serdecznie, bardzo serdecznie witali nas naczelny wódz Manauri i wszyscy obecni Arawakowie, nasi pobratymcy.

3. Stworzyć siłę

Wśród mnóstwa zalet, jakie przejawiali Arawakowie, jedną mieli wadę osobliwie przykrą: do pijaństwa niezmożony ciąg. Tedy nie dziw, że ku uczczeniu zwycięstwa na Kaiiwie trzy doby trwała pijacka orgia, chlali do nieprzytomności wszyscy z wyjątkiem nas kilkorga: Lasany i jej młodszej siostry, Symary, Arasyba, Arnaka, Wagury i kilku przezorniejszych przyjaciół. Pilnowaliśmy w osadzie porządku. Gdy uroczystości i tańce minęły, a ludzie wytrzeźwieli, zwołałem mieszkańców Kumaki na naradę, tym razem wszystkich wraz z wodzem naczelnym Manaurim, głową rodu Żółwi: chciałem dowiedzieć się, co myśleli o zamiarze wyćwiczenia w Kumace takiej siły zbrojnej, by już nikt nigdy nie ośmielił się na nas uderzyć.

Pomysł przyjęto jednomyślnie z radością, a Manauri był mi szczególnie wdzięczny i zaofiarował wszelką w każdej dziedzinie pomoc, toteż nie zwłócząc wszyscyśmy zabrali się do poczesnego dzieła. Także kobiety. Srodze były ohotne, lubo że osobliwie trudne przypadło im

zadanie, a to z tej przyczyny, że nie wszystkie, jeno część pozostała przy pracach na roli teraz podwójnie znojných. Musiały one wyręczać te liczne chwatki, które pragnęły nabyć wprawy wojackiej na wzór legendarnych amazonek tudzież kobiet Karibek, walczących równie zawzięcie jak sami Karibowie.

Do rzemiosła wojennego przywykłem od lat chłopięcych, kiedym jeszcze mieszkał w lasach Wirginii u stóp gór Alleghańskich. W ostatnim roku tamecznego pobytu byłem dowódcą kompanii ochotników, walczących o swoją ziemię przeciw siepaczom lorda Punbery. Przeto żołnierka nie była mi obca, bom wiedział, co to karność, umiał podchodzić wroga, gustował we wszelkiej broni, osobliwie broni ogniowej, słowem, z krwi, z usposobienia i umiłowania byłem żołnierzem, po prostu duszą i ciałem.

Swe umiejętności postanowiłem teraz przelać na przyjaciół Arawaków. Czy to mi się uda? Bez kwestii tak, bo Arawacy nad Orinokiem wiedzieli, że to dla nich sprawa przeżycia lub zagłady.

Nasze osiedle Kumaka nad zatoką-jeziorem Potaro liczyło przeszło pięciuset mężczyzn, kobiet i dzieci, natomiast o trzy mile oddalona Serima, leżąca tak samo jak my nad rzeką Itamaka, dopływem Orinoka, miała niespełna trzystu znękanych mieszkańców. Serima podupadła na skutek zabójczej ospy, niedawno złośliwie zawleczonej tam przez Hiszpanów z miejscowości Angostura, oraz na skutek domowych zamieszek i zgubnych intryg starszyny.

Do ćwiczeń wojennych zgłosiło się przeszło stu dwudziestu ochotników i pięćdziesiąt ochotniczek, przeważnie młodych żon lub bliskich krewnych onych wojowników. Kobiety podlegały rozkazom Lasany, natomiast całość szkolących się mężczyzn i kobiet – mnie. Mężczyzn było osiem drużyn, na których czele stali Arnak, Wagura, Mabukuli, Joki, Konauro, Miguel z kilkoma Murzynami, Manduka z dziesięcioma Warraulami i ja z moją osobistą eskortą; do niej należało kilkunastu przodujących zwiadowców, a także czarownik Arasybo i młody Pedro. Nie wymieniłem Manauriego, gdyż on sprawował władzę naczelnego wodza nad wszystkimi nad Orinokiem żyjącymi obecnie Arawakami.

Ćwiczenia nabrały od samego zarodku ostrego tempa i co mnie i nas wszystkich przyjemnie ukontentowało, wręcz podziwem napelniało -nie okazało się to ogniem słomianym. Przeciwnie, zapal z każdym tygodniem rósł i pogłębiał się, Arawacy uważali to za ponętą rozrywkę. Sroga a zdrowa rywalizacja ponosiła dumne dusze, każdy chciał być lepszym, najlepszym. Najlepszym strzelcem z muszkietu czy pistoletu, i to do coraz ruchliwszego celu. Toż samo zostać łucznikiem czołowym, oszczepnikiem najdalej i najcelniej rzucającym, pływakiem najchyższym, nurkiem w wodzie najwytrwalszym, wioślarzem najprędszym, biegaczem sarnę doganiającym, zapaśnikiem o mięśniach niezwykłych, czytelnikiem śladów nieomylnym, słuchaczem głosów puszczy i ich naśladowcą wszechstronnym, wyrocznią nieba, wody i ziemi niedoścignionym, znawcą najgruntowniejszym roślin w puszczy i ich mocy leczniczej, posiadaczem wzroku harpii najprzenikliwszym. Ale to nie wszystko. Należało jeszcze dogłębnie osiąść umiejętność walki z wrogiem: jak współdziałać bojownik z bojownikiem w drużynie i jak drużyny drużynom nieść wzajemnie pomoc. I jeszcze nie wszystko: jak wzmacniać nie tylko hart ciała i wytrzymałość, ale spotęgować odwagę, pogłębiać moc charakteru, a nigdy nie

zapominać o prawości duszy. Karność narzuciłem od pierwszej chwili surową, wprost spartańską w przekonaniu, że plewy szybko odpadną; węższe jednostki zachwieją się i odejdą, a pozostaną jeno jędrni i mocni. Nic podobnego. Nikt się nie zniechęcił. Aż dziw brał, jak niezłomne budziło się wśród Arawaków zacięcie, by stworzyć siłę i nie dać się zdusić wrogom. A najwięcej zasłużonego uznania doczekały się kobiety: wstąpił w nie istny duch bitnych amazonek, o których wiele rozprawiało się w puszczech Orinoka i Amazonii. Oneż to we władaniu bronią tudzież w wytrzymałości na trudy chyba dorównywały mężczyznom. Kilkanaście pistoletów i kilka guldynek, im dostarczonych, stało się groźną w ich ręku bronią. Rzecz znamienna, aleć przecie zrozumiała, że do mego rodu, rodu Białego Jaguara, najbardziej garnęli się ci, którzy najwięcej doznali krzywd w życiu. Byli to Arawacy i Murzyni, poznani jeszcze na Wyspie Robinsona, a więc dawni hiszpańscy niewolnicy i niewolnice z wyspy Margarity. I oni to we wszystkim najwierniej mi pomagali. Wszakże nie tylko oni: niedawna napaść Akawojów na szczepy nad Orinokiem była wstrząsem dla nas wszystkich i nauką nie idącą na marne. W trzecim, czwartym miesiącu owego wojennego przysposobiania już widziało się dobre wyniki, wybijało się wyraźnie dwudziestu kilku przodujących strzelców, łuczników, biegaczy, wioślarzy, oszczepników, ale także i ci insi nie szli w gorszym ogonie. Tak samo podziw budziły kobiety, a już prawdziwie dumny byłem z postępów Lasany i jej młodszej o dwa lata siostry Symary. Miała osiemnaście lat i szelma cuda wyprawiała z pistoletu i łuku. Pędząc jak strzała (słowo „symara” znaczyło po arawasku strzałę), dziewczyna z odległości czterdziestu kroków niechybnie trafiała w biegu z pistoletu czy łuku w każdy cel duży jak postać ludzka, i to w okolicę domniemanego serca. Tęgi zapal i karność szły ręką w rękę u Arawaków nad rzeką Itamaka. A poza tym, czego dotychczas okrutnie mało było, budziło się w nich poczucie bezpieczeństwa. Nie byli już zdani na kaprysy wrogiej przyrody i na drapieżność wrogich ludzi jak wprzód, do niedawna.

4. „My wiemy wszystko!”

Bojowe ćwiczenia odbywały się w bliższej lub dalszej okolicy zatoki Potaro, gdy w południe pewnego dnia, na początku pory deszczowej w tych stronach, spadło na nasze osiedle Kumakę takie podniecenie, powstał taki popłoch, kiejby piorun uderzył. Bobrowałem właśnie ze swoją drużyną w puszczy o pół mili od naszych chat, gdy przybiegł od nich zziębnięty i przerażony chłopczyk z wieścią, że na Kumakę napadli Hiszpanie potężną, zbrojną bandą.

–Hiszpanie? Napadli? Zbrojną bandą? Ilu ich? – spytałem zdziwiony, bom żadnych strzałów z broni palnej nie słyszał, a przecie daleko nie było.

–Siła ich! Mnóstwo Kilkudziesięciu! Stu! – odpowiadał młodzik, ledwo łapiący oddech.

–Samych Hiszpanów?

–Nie... Hiszpanów było kilku, ale Indian całe mrowie...

–Czy rzucili się na naszych?

–Nie. Wcześniej zobaczyliśmy ich, jak zbliżali się na swych itaubach, i wszyscyśmy zdążyli uciec z chat do puszczy...

–Czy Hiszpanie strzelali?

–Nie wiem. Nie słyszałem...

–Czy gonili kogo?

–Nie wiem. Chyba nie...

W samym osiedlu owego dnia było niewielu naszych, bo przeważna większość mieszkańców rozproszyła się po pobliskiej puszczy, odbywając ćwiczenia wojenne albo pracując na pólkach rolnych, licznie rozsianych w leśnym gąszczu.

W pobliżu mego boiska zaprawiali swe drużyny Arnak i Wagura, toteż kazałem im wszystkim w te pędy przybiec do mnie. Społem skoczyliśmy nad brzeg zatoki, skąd widzieliśmy jak na dłoni wieś Kumakę na przeciwnym brzegu wody.

Ukryci w gęstwinie przed cudzym okiem, widzieliśmy, że chaty nasze nie tknięte stały jak dotychczas, nic się nie paliło, nie było też gwałtu, a żem miał tego dnia akurat perspektywę przy sobie, snadnie odkryłem Hiszpanów i obcych Indian, tudzież koriale przybite do brzegu. Widziało mi się, jak gdyby Hiszpanie nie przybyli w zamiarach rozboju, aleć wiadoma rzecz, ufać im byłoby wywoływaniem wilka z lasu.

Przecież w pamięci jeszcze miał haniebny najazd Hiszpanów na nasze okolice. Wówczas, przed blisko rokiem, w podobnej jak obecnie sile przybyli z Angostury, hiszpańskiej miejsciny warownej nad środkowym biegiem Orinoka, by tu, u ujścia rzeki, nałapać Indian niewolników do swych plantacji i kopalni srebra. Udało im się porwać kilkudziesięciu Warraulów, aleśmy jeńców w nocy po kryjomu uwolnili

(w tym także Mandukę i jego dziesięciu chwatów). A gdy Hiszpanie chcieli z Arawakami w Serimie to samo zrobić, tam również nie wyszło: mając strzelby i odważnych przyjaciół i ochotę do bójki, pokrzyżowałem ich machinacje. Don Esteban, ich dowódca, wściekły, żeśmy im nosa utarli, chciał nas potem wygubić odrazą, podstępnie podrzuconą nam w zakażonych kocach, ale zabójcza choroba dosięgła tylko część Arawaków. Reszta usłuchała moich przestróg i uszła zdrowo. Wtedy to Manduka ze swą grupą puścił się w pogoń za Hiszpanami i zanim ci dotarli do Angostury, podstępny zdrajcom utoczył w nocy krztynę krwi, jak się patrzy.

Tacy to Hiszpanie prawdopodobnie zjawili się obecnie w naszej Kumace, wywołując słuszne poruszenie. Z niepokojem śledziłem ich przez perspektywę, ale młotrą don Estebana nie odkrył. Nie spostrzegłem go wśród przybyłych. Hiszpanie, stojąc na brzegu zatoki, zdawali się czekać na kogoś, przypuszczalnie na mnie.

Zarządzenia były proste: biciem bębnowym według ustalonego wśród Arawaków sposobu kazałem

ostrzec wszystkich w puszczy rozproszonych wojowników, dając jednocześnie rozkazy, by szybkim marszem wrócili do Kumaki. Nie zauważeni przez Hiszpanów mieli ich otoczyć półkolem w gąszczu półwyspu, na którym leżała nasza wieś, a broń mieć gotową do działania. Sam na czele kilkunastu z mego orszaku podkradłem się pod osadę i nie wychodząc z chaszczy, żwawo pchnąłem dwóch szybkołapów do mej chaty, by mi przynieśli galowy mundur kapitański, zdobyty swego czasu na tonącym statku u wybrzeża Wyspy Robinsona. Nie wypadło pokazać się Hiszpanom na pół nago, po indiańsku, jedynie z nadbiodrnikami na ciele.

W pół godziny później, ubrany i pewny, że przybysze zostali już otoczeni przez nasze drużyny, wyszedłem z gęstwiny i miarowym chodem podążałem w stronę Hiszpanów. Kilkanaście kroków za mną postępowała moja asysta szerokim wachlarzem, nie ukrywając swej broni. W ostatniej chwili doskoczył do niej filuternie uśmiechnięty trzpiot, młodzieńca Symara, siostra Lasany. W rękę miała swój łuk i strzały i zabawnie pokazywała, że będzie mnie broniła. Niemal że zakląłem. Niestety przepędzić jej już nie było okazji: nasz pochód stałby się mniej ceremonialny.

Hiszpanie na nasz widok ruszyli z niejaką pompą w moim kierunku. Było ich trzech jeno, za to wygalowanych jak gdyby na paradę. Czegóż oni, do licha, ode mnie chcieli? Nowego guza oberwać? Około pięćdziesięciu Indian, ich wioślarzy, ale wszystkich uzbrojonych w łuki i maczugi, nie wyglądało na niebezpiecznych przeciwników. Strzelb nie mieli żadnych, co najwyżej Hiszpanie ukrywali pod mundurem pistolety. Wszakóż twarze im jaśniały uprzejmym uśmiechem. Gdyśmy zbliżyli się do siebie na odległość dziesięciu kroków, przystanęliśmy, a oni trzej, kawalerowie niezmiernie uprzejmi, powitali mnie zamaszystym gestem, nieomal zamiatając ziemię upierzonymi kapeluszami. Prawie jednocześnie i jam uczynił to samo, kłaniając się nisko kapeluszem. Środkowy z nich, mężczyzna około trzydziestopięcioletni, słusznej postawy, szlachetnej twarzy i bogatego stroju, nisko trzymając kapelusz z grzecznym nad wyraz uśmiechem na obliczu, przedstawił się donośnym głosem:

–Jestem don Manuel Parras Gallegos Godoy Torres Vaugues, wysłannik jego mości corregidora w Angosturze, a przedstawiciel jego ekscelencji, gubernatora w Caracas...

Nie mogłem wyjść ze zdziwienia na tyle okazanej mi kurtuazji i o małym nie osłupiał. Czegóż ci wytworni lawiranci gładsze ode mnie chcieć mogli?

A ten środkowy, don Manuel Parras i tak dalej, nie przerywał swej grzecznej tyrady i mówił jednym ciągiem:

–...Jestem do usług waszej mości, kapitanie, don Juanie Bober, sławny zaszczytnym przydomkiem Białego Jaguara!...

Widząc, że zanosi się na prawienie miłych duserów i napuszone celebrowanie, i że to nie złośliwe drwiny z ich strony, poczułem ulgę. Żartobliwie wyraziłem im swój podziw, że tak dokładnie znali moje nazwisko. Jużem nieźle władał językiem hiszpańskim dzięki lekcjom licznie pobranym u naszego Pedra.

Gdy trzej Hiszpanie usłyszeli moje słowa, spoważnieli, twarze ich przybrały wyraz dostojności, a don Manuel zamilkł na długą chwilę, zanim wypowiedział z dużą emfazą trzy słowa:

–My wiemy wszystko!

A że owa wiadomość wydała mu się tak bardzo ważna, jeszcze raz wyrzekł to samo:

–My wiemy wszystko!!

Powtarzam: spłynęła na mnie ulga, napięcie minęło. Widząc ich okrutnie poważne a uprzejme twarze, a słysząc tak dziwne słowa, odezwał się we mnie chochlik figlarności. Miły przybrałem uśmiech i westchnąłem z wesołym zdumieniem:

–To wy jesteście samym Panem Bogiem?!

–Panem Bogiem?! – z lekka zachnął się don Manuel. – Jakże mam to rozumieć?

–Po prostu! – wybuchłem teraz już głośnym śmiechem. – Przecież tylko Pan Bóg jest wszechwiedzącym, a wy, mości dzieje, sami twierdzicie, że wiecie wszystko!

–Bo też wiemy wszystko o waszmości, szanowny don Juanie!... I dlatego tu przybyliśmy...

5. Dziwny pomysł Hiszpanów

Widząc, że nie grozi nam bezpośrednio niebezpieczeństwo ze strony Hiszpanów, częściowo odwołałem alarm, tylko częściowo, bo w pobliżu, w samej Kumace, pozostało jednak pięćdziesięciu obcych Indian z łukami i maczugami. Nad niepewną zgrają trzeba było czuwać, tak samo zresztą jak nad samymi Hiszpanami. Ci robili wielkie oczy na widok wylaniających się z przyległej kniei naszych drużyn, wcale nie ubogo w godną broń zaopatrzonych.

Hiszpanie, zachowując się ciągle z wyszukaną grzecznością, oświadczyli, że przybyli do mnie, aby odbyć ważną rozmowę. Na te słowa zaprosiłem ich do mego cienistego benabu, przewiewnej chaty o rozległym dachu, a bez bocznych ścian. Zaprosiłem także Manauriego, jako wodza naczelnego, tudzież Pedra, Arnaka, Wagurę i Murzyna Miguela. Wszystkim gościnnie kazałem siąść na tobołach przyniesionych przez kobiety. Lasana podrzuciła pode mnie skórę jaguara, po czym skromnie przykucnęła za moimi plecami.

Chciałem obecnych poczęstować paiwarim, trunkiem okazującym gościnność, ale don Manuel zapytał, czy mógłby nas uhonorować butelką rumu przywiezioną z Angostury.

–Bardzo proszę! – odrzekłem jowialnie. – Byleby nam przy tym nie zabrano głowy, ani nas... nie zatruto...

–Przysięgam! – uderzył don Manuel w ten sam ton. – Głowy nikt nie straci!...

Rum był świetny, każdy upił kapinkę, a gdy się to odbyło, don Manuel, przechodząc do głównej rzeczy, znów nawiązał, prawie już maniacko, do starej piosenki, że oni, Hiszpanie, wszystko o mnie wiedzą.

–Ciesz się mnie to, ciesz się bardzo! Pełnym ja szczęścia! – odrzekłem z półgębnyim uradowaniem, przyjmując jego zapewnienia melancholijnym uśmiechem: albowiem byłem przekonany, że don Manuel będzie teraz rozwodził się w jakichś niepomiernych pochwałkach nad naszym zwycięstwem na wyspie Kaiiwie, które było poniekąd także zwycięstwem Hiszpanów. Przecie tu, na ziemi uważanej przez Hiszpanów za

ich bezsporną posesję, rozgromiliśmy do szczętu watahę napastujących

Akawojów nasłanych przez Holendrów, zajadłych adwersarzy Hiszpanów w Gujanie.

Ale nie miał racji, grubo się pomylił: don Manuel sięgnął z całkiem innej beczki. Nie pomniejszając swego ukontentowania z naszego zwycięstwa nad Akawojami, przywołał na pamięć co innego: wizytę u mnie w Kumace Anglika Jamesa Powella, kapitana angielskiego brygu „Capricorn”. Mianowicie Hiszpanie dowiedzieli się o rozmowie, jaką wtedy, w czasie owej wizyty przed kilkoma miesiącami, miałem z Powellem, a w której to rozmowie kategorycznie odmówiłem jakiegokolwiek współudziału w zaborczych planach Anglików: oniż to chcieli zagarnąć dla siebie cały kraj dokoła ujścia Orinoka, czemu ja ostro się przeciwstawiłem w obronie Indian. O mej ówczesnej postawie i replice Hiszpanie nad Orinokiem zasłyszeli jakimiś im znanymi drogami i oddali mi za to wielkie pochwały.

–Waszmości, panie kapitanie – rzekł do mnie don Manuel – uważamy za naszego sojusznika i gotowiśmy pójść jemu jak najbardziej na rękę...

–O los Indian mi chodzi! – oznajmiłem.

–Nam także! – odparł Hiszpan. – Jesteśmy absolutnie tego samego zdania. Waszmość będziesz ich protektorem i przyjacielem jak dotychczas!...

Po malej chwili zaczerpnął głęboko powietrza i odezwał się:

–A w związku z tym możesz waszmość wiele zdziałać dla dobra swych podopiecznych, skoro przyjmiesz zaszczytną propozycję, jaką postanowił uczynić waszmości nasz gubernator w Caracas...

–Zaszczytną propozycję?...

–Tak jest, zaszczytną, lubo niełatwą i nawet niebezpieczną. Ale wiemy, kim jest Biały Jaguar i że odwagi ani rozumu mu nie brak!...

Brzmiało to nad wyraz ponętnie i ciekawym był, cóż to za propozycja. Don Manuel nie zwlekał z wyjaśnieniem. Chodziło Hiszpanom ni mniej, ni więcej tylko o to, żebym ja, Biały Jaguar,

zwycięski wódz, sławetny już w całej Gujanie, sławetny i doznający ogólnego respektu, udał się do Holendrów nad rzekę Essequibo i tam w imieniu swych szczepów indiańskich, a także w imieniu Hiszpanów Wenezueli, zażądał poszanowania granicy tudzież dobrosąsiedzkich stosunków. Gubernator w Caracas był gotów zaopatrzyć mnie oraz moich towarzyszy w glejt, a ten list żelazny, wystawiony w trzech językach, hiszpańskim, holenderskim i angielskim, niewątpliwie zapewni wyprawie bezpieczeństwo u Holendrów...

Don Manuel zamilkł i spojrzał nam wszystkim w twarze zadowolony, iż słowa jego wywarły silne wrażenie.

Manauri, wódz naczelny, przerwał ciszę. Lata niewoli, spędzone u Hiszpanów na wyspie Margaricie, rozszerzyły jego umysł i doświadczenie, przeto teraz warknął cierpko, a gniewnie:

–U Holendrów może tak, papier zapewni może bezpieczeństwo, ale Kanaima, demon zemsty u Akawojów, nie umie czytać...

–To prawda! – przyznał don Manuel. – Ale my w Angosturze gotowiśmy wyposażyć Białego Jaguara i jego świętę we wszystko, co mu będzie potrzebne do obrony, a więc w strzelby, amunicję, sprzęt, pieniądze, a nawet w ludzi, Indian...

–Indian? – wmieszał się przekornie nasz śmieszek, Wagura, i wskazał ręką na indiańskich mizeraków, którzy przywiosłowali do nas trzech Hiszpanów. – Może tych wygłodniałych wojaków z maczugami chcecie nam dać? Ładnie by obronili Białego Jaguara przed Akawojami! ...

–Dlatego proponował Indian, bo hiszpańskich żołnierzy nie możemy tam wysłać! Ich widok niepotrzebnie rozjątrzyłby Holendrów nad Essequibo! – odparł don Manuel.

Przyznałem mu słusność, a nie chcąc dopuścić do zaostrzenia nastrojów w mej chacie ani do rozdrażnienia Hiszpanów, oświadczyłem, że ja osobiście nie miałbym nic przeciw wyprawie do Holendrów nad Essequibo, bo nade wszystko mam na sercu dobro Indian; ale cały szczep Arawaków w Kumace musiałby wyrazić na to zgodę. Więc poprosiłem, żeby don Manuel zechciał przedstawić nam bliższe szczegóły tej wyprawy tudzież sytuacji nad rzeką Essequibo.

–Mogę to natychmiast.zrobić! – odrzekł Hiszpan i jednemu ze swych towarzyszy kazał wyjąć z torby mapę Gujany i rozłożyć ją przed nami.

Urzekła mnie. Była znacznie dokładniejsza aniżeli mapa, pokazana mi przez kapitana Powella przed kilku miesiącami. Rzeki, o ile mogłem stwierdzić, płynęły dość precyzyjnie wrysowane. Nie było swawolnej fantazji w dolnym biegu Orinoka i w jego prawych dopływach Caroni i Itamaka; ani w łóżyskach Pomerunu oraz Essequiba z jego dopływami Cuyuni, Mazaruni i Rupununi; ani w korytach rzek Demerara, Berbice oraz Courantyne. We właściwych legowiskach zdawały się majaczyć pasma gór Imataka, Emeria, Otomung, Pakaraima oraz pozycja sławnej góry Roraima, a co najbardziej mnie ucieszyło, to wcale akuratne

umiejscowienie w terenie Gujany poszczególnych szczepów indiańskich: Warraulów, Arawaków, Akawojów, Arekunów, Karibów, Pata-monów, Makuszi, Wapiszanów. Cudo mapa!

–Bezsprzecznie – tłumaczył nam don Manuel – do korony hiszpańskiej należą źródła wszystkich prawych dopływów rzeki Orinoko, jak na przykład Caroni i Itamaka. Co zaś do osiedli holenderskich, to większość ich plantacji leży nad dolnym biegiem Esseąuiba, Demerary oraz rzek Berbice i Courantyne. Siedzibą gubernatora holenderskiego

czyli dyrektora generalnego, jak go nazywają, zdaje się być obecnie Nieuw Kijkoveral nad rzeką Esseąuibo. Zwracam uwagę na forty holenderskie, głównie zbudowane nad Esseąuibo, na przykład u ujścia tej, rzeki do morza, ale szczególnie ważny jest stary fort Kijkoveral. Leży o osiemdziesiąt mil angielskich od morza, tam gdzie do Esseąuiba do

plywają wielkie rzeki Mazaruni i Cuyuni. Kijkoveral, wzniesiony ongiś

na wyspie na rzece Mazaruni, uchodzi za fort nie do zdobycia. Do niedawna był stolicą całej kolonii holenderskiej, a tym samym siedzibą dyrektora generalnego. Dziś w okolicy tego dawnego Kijkoveral i poniżej, wzdłuż Esseąuiba, znajduje się szereg bogatych plantacji trzciny cukrowej, gdzie pracują setki niewolników murzyńskich. Z tymi niewolnikami, wyjątkowo okrutnie traktowanymi przez wielu plantatorów, Holendrzy mają nieustanne kłopoty, ciągle tam wrzenia i bunty...

~ Mówisz waszmość, że Kijkoveral był stolicą kolonii holenderskiej do niedawna, a zatem dzisiaj już nie jest...

–Podobno nie jest. Holendrzy założyli przed kilku laty nową siedzibę administracji kolonialnej, tak samo nad Esseąuibo, ale bliżej morza, i nazwali ją Nieuw Kijkoveral. Tam ponoć rezyduje teraz ich dyrektor generalny...

–Czy to prawda – zapytał Murzyn Miguel – że wielu Murzynów ucieka z holenderskich plantacji do bezludnej puszczy i tam żyje na swobodzie?

–To prawda! – powiedział don Manuel. – Uciekają, ale ta puszcza nie jest bezludna. Żyją w niej Indianie szczepu Karibów, Indianie najbardziej wojowniczy w Gujanie. Karibowie są gorliwymi sojusznikami Holendrów i nieustannie zawzięcie polują na czarnych zbiegów, a plantatorzy grubo im za to płacą: za złapanego żywego Murzyna-zbiega Karibowie dostają pięćdziesiąt florynów, to tyle co dwie strzelby z amunicją, a za ramię zabitego Murzyna dostają dwadzieścia pięć florynów. Równoległe do wybrzeża morskiego, na zapleczu holenderskich plantacji, na przestrzeni przeszło dwustu mil angielskich, wszędzie w lasach czyhają Karibowie i dla Holendrów łowią zbiegów. I wszędzie tam wrze zawierucha, pożoga się sroży. Mimo to nad rzeką Berbice wielu Murzynów w puszczy opędziło się prześladowcom białym i czerwonym i stworzyło niezależne skupiska nurzyńskie. To tak zwani Dżuka, groźna plaga dla plantatorów. Słowem, Holendrzy są stale w opałach, mają wszędzie bez liku tarapatów i w naszych rokowaniach będziemy mieli ogromną nad nimi przewagę...

–A gdybym się zgodził na propozycję wyprawy do Holendrów, to ilu ludzi, według waszmości, musiałbym zabrać ze sobą?

–Im więcej, tym lepiej. Orszak Białego Jaguara winien być imponujący, sprawiać wrażenie...

–Więc ilu, pięćdziesięciu?

–Może pięćdziesięciu, może nawet więcej.

–Teraz zaczyna się pora deszczowa i potrwa trzy lub cztery miesiące. Dopiero z nastaniem pory suchej można by wyruszyć...

–Tak i ja myślę! Wyruszyć za trzy, cztery miesiące!

–Jaką drogę by obrać? – zapytałem. – Chyba nie przez puszcę, przemykając rzekami na itaubach; lecz na pokładzie naszego szkunera, trzymając się wybrzeża Atlantyku, dopłynąć do ujścia rzeki Esseąuibó: sześć, siedem dni żaglowcem...

–Tylko szkunerem! – uznał don Manuel.

Popołudniowe słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Po dwugodzinnych obradach wszystkich prawie Arawaków nad Orinokiem, a więc tych w Kumace i wielu z tych w sąsiedniej Serimie, zapadło postanowienie, by zgodzić się na plan gubernatora w Caracas. Dowódcą wyprawy, płynącej na szkunerze, mianowano mnie, a udział w niej miało wziąć około sześćdziesięciu Arawaków, w tym mniej więcej dziesięć kobiet.

–Zgadzam się na tę wyprawę – oświadczyłem na końcu – ponieważ

mogę w ten sposób przysłużyć się sprawie bezpieczeństwa Indian nad dolnym Orinokiem. Chyba uda nam się przekonać Holendrów...

Lubo wyprawa wyznaczyła sobie cel wyłącznie pokojowy i przyjazny, wielka niewiadoma będzie wisiała nad nią w kraju ludzi niezbyt nam i przychylnych; przeto owych sześćdziesięciu należało wybrać spośród najbitniej szych i najdzielniejszych wojowników, a wyposażyć ich w broń najlepszą i wszechstronną.

Następnego dnia zawiadomiliśmy don Manuela o powyższym postanowieniu, żądając, oprócz przyrzeczonych trzech pism wprowadzających, trzydziestu nowych strzelb (10 muszkietów, 10 guldynków, dwóch garłaczy i 8 pistoletów) z amunicją na 1500 strzałów, dalej żądając 60 koców, funduszu w złotej monecie holenderskiej na trzy miesiące, pro-wiantu na ten czas dla

sześćdziesięciu ludzi oraz podarków dla Indian na wypadek zetknięcia się z nimi w kolonii holenderskiej.

Don Manuel przyjął to wszystko szczerze do wiadomości, przyrzekł wiernie powtórzyć władzom hiszpańskim każde słowo i wkrótce powró-] cić do nas, po czym pełen dobrej myśli, żegnany przez nas jak przyjaciel, opuścił z towarzyszami Kumakę.

Gdy wsiadał na swą itaubę, jeszcze go zagadnął pogodnie, acz

uszczypliwie:

–A co do tych sześćdziesięciu koców, to czy mógłbyś waszmość mi powiedzieć, co się teraz dzieje z don Estebanem? Ów łajdaczny caballe- 1 ro kilka miesięcy temu chciał nas wszystkich zdradliwie wytępić, pod- i rzucając Arawakom zatrute koce!...-

–Nie ma go w Angosturze! Wysłano go karnie daleko na zachód, w Kordyliery... Ręcę, że koce teraz będą czyste!

6. Symara zastępczynią

Po wyjeździe Hiszpanów przystąpiliśmy od razu do dzieła. Wybraliśmy sześćdziesięcioro najlepszych wojowników i kobiet, mających mi towarzyszyć do Holendrów, aleć na samym wyborze nie poprzestaliśmy: owych najlepszych poddano w następnych tygodniach jeszcze tęższym niż dotychczas ćwiczeniom. Serce rosło na widok, jak z tygodnia na tydzień tych sześćdziesięcioro przeobrażało się w coraz doskonalszych wojowników, w jakąś doborową gwardię niezrównanych bojowców.

A wraz z podnoszeniem sprawności orężnej szło w parze pogłębianie ostrości zmysłów tudzież przymiotów wojennego ducha.

Wśród owej sześćdziesiątki byli moi najbliżsi przyjaciele i współpracownicy, na których mogłem polegać: więc byli Arnak, Wagura, Pedro, Joki, Murzyn Miguel, także czarownik Arasybo, była oczywiście Lasana, nieodstępna żona. Nie brakło również Fujudiego, Arawaka znad rzeki Pomerun, władającego językami akawojskim i karibskim tudzież jako tako holenderskim.

Nie zaniedbaliśmy także stworzenia uczciwych zapasów dodatkowej broni, jak oszczepów, maczug, luków, strzał, które zamierzaliśmy zabrać ze sobą. Ażeby zaś zabezpieczyć Kumakę w czasie naszej nieobecności przed jakąkolwiek wrogą niespodzianką, otoczyliśmy główną, środkową część osady przyzwoitym częstokolem z solidnych pni, u góry zaostrzonych i trucizną zaprawionych. Ufałem czujności Manauriego i jego wodzów i byłem spokojny o los tych, którzy zostaną w Kumace.

Tarcz dotychczas Arawakowie nad Orinokiem nie używali. W rodzie Jokiego było kilku zręcznych wyrobników skór zwierzęcych. Gdy upolowano dwa tapiry, okazało się, że z ich

twardej skóry, odpowiednio przegarnowanej i wysuszonej, można było wykonać poręczne i lekkie tarcze, chroniące od oszczepów i strzał z łuku. Dla kilkunastu wojowników były wielce korzystnym nabytkiem.

Pod koniec drugiego miesiąca po opuszczeniu Kumaki powrócił don Manuel i przywiózł całe żądane przez nas wyposażenie. Widocznie władzom hiszpańskim bardzo zależało na tej wyprawie. Arnak i Wagura natychmiast rzucili się do sumiennego wypróbowywania wszystkiej broni: była bez zarzutu. Muszkiety, guldynki i pistolety były niechybnie, w ręku wyborowego strzelca były niezawodną bronią, a wyborowym był każdy z naszej sześćdziesiątki. Garłacze równie dobrze prażyły.

Także owych innych produktów, przez nas zażądanych, dostarczono nam w niezłym gatunku i szczerzej obfitości: prochu, ołowiu, nawet zapasowych krzemieni do skalkówek, prowiantu, głównie mąki i suszonego mięsa, dalej: niezłych koców, błyskotek dla Indian i słuszny trzos obiegowych monet w szczerym złocie.

Z Manduka, wodzem grupy Warraulów, wynikły przyjacielskie kłopoty. On i jego dziesięciu ludzi chcieli koniecznie płynąć z nami do Holendrów, wszakże szkuner był zbyt mały, ledwo pomieścił naszych sześćdziesięciu ludzi. Arasybo, czarownik, podsunął dobrą myśl. Dwie 1 itauby i dwie jaboty mieliśmy zabrać ze sobą, przywiązane do szkunera na cumach, więc Warraulowie, na tych łodziach umieszczeni, mogli wygodnie przepłynąć ów tydzień czy dziesięć dni do ujścia Esseąuiba. Zbliżał się koniec pory deszczowej i dzień naszego wyruszenia, gdy powstały nowe tarapaty, tym razem z Lasaną: zaszła w ciążę. Ona i ja 1 bardzośmy się ucieszyli, ale nie wolno jej było opuścić Kumaki. Dość surowy obyczaj szczepu narzucał kobiecie w ciąży wykonywanie szeregu rytualnych obrzędów, jak przyjmowania specjalnego pokarmu, ceremonialnych kąpiei, a spełnić to było można tylko na miejscu, w Kumace.

–Trudno – zgodziłem się z losem – obyczaj obyczajem: do Holendrów pojedę sani, bez ciebie...

–Sam nie pojedziesz!-odrzekła Lasana z zagadkowym uśmiechem. – Mam przecież młodszą siostrę...

–Myślisz o Symarze?

–Tak, o Symarze. Ona pojedzie z tobą i zastąpi mnie we wszystkim.

–We wszystkim?...

–A jakże, we wszystkim, dobrze zrozumiałeś!

–Przecież ja ciebie kocham i nikogo innego. Taka naszych, białych j ludzi, obyczajność...

–Wiem. Ale, Biały Jaguarze; żyjesz w szczepie Arawaków. My mamy inną obyczajność, bynajmniej nie gorszą niż wasza, i musisz dostosować się do naszych pojęć, naszego życia!

–To znaczy, że mam mieć dwie żony?

–Nic podobnego! – obruszyła się Lasana, a twarz jej zapłonęła, oczy roziskrzyły się niespodziewanym ogniem. W tym raptownym wzburzeniu była szczególnie pociągająca.

–Jesteś piękna, Czarowna Palmo! – przyskoczyłem do niej i chciałem ją objąć jak zwykle.

Nie dopuściła do tego i, zwinna jak wiewiórka, wyślizgnęła mi się z rąk.

–Nic podobnego! – powtórzyła zaperzona. – Żadnych dwóch żon!

Symara, która pojedzie z tobą i będzie ci służyła we wszystkim, jest moją

młodszą siostrą, a więc moją prawowitą zastępczynią. Jest moim drugim wcieleniem, jest duszą mojej duszy, krwią mojej krwi, jest cała moim drugim ja. Ona to to samo co ja...

Więc Symara weszła w skład naszej wyprawy.

7. Nad Pomerunem

W lipcu deszcze osłabły, burze zrywały się coraz rzadsze. Z każdym dniem ubywało chmur, coraz więcej było słońca. Któregoś poranku, żegnani nad zatoką Potaro przez wszystkich pozostałych w Kumace Arawaków, odbiliśmy od brzegu na szkunerze. Za statkiem sunęły, przycumowane do jego rufy, dwie itauby i dwie jaboty, łódki mniejsze.

Po trzech dniach minęliśmy wyspę Kaiiwę, dając z daleka przyjazne znaki wodzowi Oronapiemu, a czwartego dnia wypłynęliśmy z ujścia Orinoka na pełne morze. Było spokojne. Od zachodu dał pomyślny wiatr, chwycił nasze żagle i rażno pomknęliśmy ku południowemu wschodowi. Z prawej strony, na widnokręgu, prawie zawsze majaczyło niskie wybrzeże Gujany.

Na szkunerze panował tłok, szczególnie dlatego że wiele wieźliśmy prowiantu, zapakowanego w koszykach surianach. Mieliśmy także inne koszyki, wariszi, noszone w czasie pochodu na plecach, z przepaskami dokoła czoła. Pedro gospodarował żywnością, Arnak pilnował broni palnej, by nie rdzewiała, tudzież antalka z prochem i mieszków z ołowiem, a Symara strzegła mego okazalego munduru kapitańskiego wraz z kapeluszem i szpadą. Żegluga i paranie się żaglami należało do Manduki i jego Warraulów.

W czwarty czy w piąty dzień płynięcia na otwartym morzu zbliżyliśmy się do ujścia rzeki Pomerun, nad którą żyło wielu Arawaków. Z tych stron pochodził Fujudi, a Holendrzy byli już niedaleko, toteż postanowiłem przerwać tu nasz wjazd i odwiedzić krajanów, by zasięgnąć języka. Na zakotwiczonym szkunerze w ujściu Pomerunu pozostali Arnak, Pedro, Joki i ich ludzie, podczas gdy ja na itaubie wpłynąłem na rzekę. Towarzyszyli mi Fujudi, Wagura, Arasybo, ośmiu wioślarzy z mego rodu i nieustępliwa Symara, która na wszelki wypadek wiozła w koszyku wariszi mundur kapitański. Uzbrojeni byliśmy wszyscy po zęby, bo Arawakowie żyli tylko nad dolnym biegiem rzeki, nad środkowym zaś grasowali Karibowie, a nad górnym – Akawoje: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Dopiero po dwóch dniach wiosłowania w górę rzeki dotarliśmy do pierwszych osiedli Arawaków i wywołali nie lada poruszenie. Fujudi, wszędzie tu znany, torował nam drogę do ludzkich serc i ufności. Fantastyczne słuchy o białym rębaczu, który przystał do Arawaków nad Orinokiem, już od miesiący dochodziły nad rzekę Pomerun i budziły zabobonną sensację. Białego Jaguara skwapliwie kojarzono z nieczystymi siłami, gdyż tylko takie mogły zabić tylu Akawojów. Na wieść o naszym przybyciu zbiegło się mnóstwo Arawaków z całej okolicy,

przełomiliśmy dostali siła cennego języka. Potwierdzono mi to, o czym już wiedziałem, że Arawakowie nad Pomerunem zawsze, od wielu pokoleń, żyli w najlepszej zgodzie z białymi przybyszami, a już w rzetelnej przyjaźni z Holendrami. Przyjaźń owa była konieczna dla Arawaków, bo jako tako chroniła ich od najazdów nieustannie napastliwych Karibów.

Czy ta przyjaźń wciąż istnieje? – zapytałem Waramaraki, wodza pomeruńskich Arawaków.

–Wciąż! – odpowiedział. – Często płynęliśmy morzem do ujścia rzeki Esseąuibo, a rzeką w górę przez blisko tydzień wiosłowania aż do fortu, zwanego Kijkoveral. Ten fort zbudowano na wyspie w miejscu, gdzie do Esseąuiba wlewają swe wody dwie inne olbrzymie rzeki, Mazaruni i Cujuni. Do niedawna onże Kijkoveral był równocześnie siedzibą władz kolonii holenderskiej, ale w ostatnich latach władze kolonii przeniesiono na stały brzeg Esseąuiba, gdzie powstało niewielkie miasteczko...

Wiadomości się zgadzały: Waramaraka potwierdził tylko to, co już powiedział nam Hiszpan Manuel Vasques w Kumace.

–Czy ta nowa siedziba holenderskich władz nazywa się Nieuw Kij-koveral? – zapytałem.

–Tak jest, Nieuw Kijkoveral. Tam też zawozimy nasze towary, a Holendrzy są nam radzi...

–Jakie to towary?

–Różne owoce leśne, oswojone zwierzęta z puszczy, surową bawełnę, garnki, ozdoby z piór...

–A co dostajecie za to?

–Narzędzia z żelaza, siekiery, noże, gwoździe, haczyki na ryby, paciorki kolorowe, czasem proch do strzelb...

–I nikt was nie gnębi, nie więzi, możecie chodzić po miasteczku wszędzie?

–Wszędzie chodzimy po miasteczku, całkiem swobodnie...

–A jak jesteście tam ubrani?

–Zwyczajnie, tak jak nas tu widzisz. Mężczyźni w opaskach na biodrach lub w krótkich spodenkach kupionych u handlarzy w miasteczku. Kobiety z fartuszkami keju z bawełny albo w spódnicach kupionych u handlarzy... – A inni Indianie? Czy też tam przychodzą?

–A jakże! Karibowie, Akawoje, Arekuna...

–Czy mają broń ze sobą?

–Zazwyczaj mają maczugi, luki, dmuchawki sarabany, czasem nawet strzelby... Karibowie chodzą zawsze uzbrojeni.

–Podobno Murzynów niewolników na plantacjach okrutnie dręczą, czy to prawda? – spytałem.

Raptownie wszyscy dookoła, speszeni, umilkli. Stało się cicho, jakby makiem zasiał. Zdumiony spojrzałem na nich. Nikt mi nie odpowiedział na pytanie, sprawiali wrażenie załęknionych. Nie ukrywałem kpiącego uśmiechu, gdym uszczypliwie sarknął im w oczy:

–Widzę, że strach was obleciał, jakby kanaima pojawił się w pobliżu.

Nie bójcie się, nie ma tu kanaimy!

Fujudi, który już dobrze znał innych Arawaków, tych nad Orinokiem, ludzi obytych, mężnych i zaprawionych przeciwnościami losu -poczuł sromotę za swych bliskich rodaków nad Pomerunem. Wydali się zacofani w swej głuchej puszczy. Fujudi coś im wyrzucał tak szybkimi słowami, że rozumiałem piąte przez dziesiąte, i musiał ich tego zawstydzić. W końcu najstarszy z nich, wódz Waramaraka, cieszący się poważaniem, przemówił do mnie:

–Nie bierz nam za złe, że żyjemy z Holendrami w przyjaźni. Oni nas od wielu lat przychylnie traktują, a co najważniejsze, nie pozwalają Karibom, by na nas napadali, jak to niegdyś się działo. My, Lokono, ludzie spokojni.

–Wiem – odrzekłem – i za to was cenię, więcej: pokochałem was i pokochałem waszą kobietę, Lasanę. Ale Hiszpanie mówili nam, że w holenderskiej kolonii plantatorzy straszne rzeczy wyrabiają z Murzynami! Tych niewolników mają tysiące! Na plantacjach ciągle zaburzenia, a wielu niewolników ucieka do puszczy. Słowem okrutne bezholowie, istny sądny dzień!...

–Czy to prawda?

–Tak, jakaś w tym prawda, aleć może i cokolwiek hiszpańskiej przesady! Tak, niektórzy Murzyni zabijają się sami, bo nie mogą wytrzymać udręki, inni uciekają do puszczy, która jest przecie blisko, ale mało im z tego pożytku. Bo w puszczy okrutnie na nich polują Karibowie. Ci są potworni! Holendrzy dogadali się z Karibami, płacą im za każdego złapanego Murzyna, a Karibowie jak zażarte psy. Na zbiegów urządzają nieustanne nagonki. Z Karibami trudno wojować! To wcielone jauhahu, niezwyciężone demony!...

–Niezwyciężone?! Wszyscy tutejsi Arawakowie nagle jak wystraszone istoty zaczęli zaklinać się, że na Karibów nie ma rady, że, są to wojownicy niepokonani, niepokonani, łowcy ludzi najzuchwalsi, jakich sobie można wyobrazić...

–Czy do Nieuw Kijkoveral można dopłynąć naszym szkunerem, statkiem co najmniej dwa razy większym niż największa wasza itauba? – zapytałem. Można, tam dopływają nawet wielkie statki morskie, przywożące czarnych niewolników. Tylko trzeba zważać na mielizny!...

–A wy znacie te mielizny? Znamy je, czemu nie! To dajcie nam pilota! Nie, nikt się nie chciał tego podjąć. Przepraszali, usprawiedliwiali się, ale żeśmy przybywali z polecenia Hiszpanów wenezuelskich, więc oni, zależni od Holendrów, woleli trzymać się z dala. Miejcie rozum,

przyjaciele! – – zawołał do nich Fujudi. – Przecież

pilot wasz będzie pod szczególną opieką Białego Jaguara, nic mu się nie stanie! Holendrzy szanują Białego Jaguara równie głęboko jak Hiszpa

nie! Widząc, że słowa Fujudiego obijały się daremnie o ich uszy, sięgnąłem po mocniejszy argument: szerokim gestem podałem wodzowi Wara-marace mój dobry muszkiet i rzekłem: Pilot, który nam wskaże drogę do stolicy kolonii holenderskiej, dostanie tę oto piękną strzelbę wraz z prochem i kulami na trzydzieści

strzałów!...

To była sowita zapłata, diablo ponętna; Arawakowie pomeruńscy tak zbaranieli, że zaległa cisza. Ale nikt się nie zgłosił.

Postanowiliśmy wyruszyć w drogę powrotną o świcie następnego dnia, a przenocować całą naszą dwunastką tuż pod bokiem osiedla nad brzegiem Pomerunu. Około północy Arasybo zbudził mnie lekkim dotknięciem i szepcząc, zwrócił moją uwagę na tajemnicze odgłosy w pobliskiej puszczy. Był to osobliwy dźwięk, niby melodyjny gwizd, dochodzący z kilku na raz stron.

–Głos kanaimy! – cicho wyjaśnił Arasybo.

Brzmiało to jak: chu-ri-sje-awi, i było chyba śpiewnym gwizdem nocnych ptaków.

–To ptaki! – mruknąłem.

–Nie! – zaprzeczył Arasybo. – To nie ptaki!

–A więc ludzie?

–Nie wiem; to istoty nam wrogie!

Noc nie była całkowicie ciemna, bo mgliście migotały gwiazdy. Bez szelestu zsunąłem się z hamaka, sięgnąłem po pistolet i zamierzałem odejść w kierunku najbliższego gwizdu.

–Zostań! – syknął Arasybo. – Nie chodź!

Wtem zerwała się Symara, a widząc, co się dzieje, bez słowa smyrnęła do mnie z łukiem w ręce.

Ostrożnie zaczęliśmy skradać się w stronę, skąd docierały owe najbliższe odgłosy. Gąszcz był okropny, przedzieranie wymagało niebywalej sprawności. Byliśmy sprawni, a jednak ci, którzy wydawali tajemnicze głosy, usłyszeli nas: o kilkanaście kroków od nas ruszyło się w krzewach coś uciekającego. Jeszczem nie zdążył strzelić, gdy za moimi plecami furknął łuk Symary.

Strzała jej musiała ugodzić, rozległ się jakby ludzki, tłumiony zgrzyt czy jęk i oddalający się trzask gałęzi: ktoś śpiesznie umykał. Strzeliłem z pistoletu w tę stronę, głównie dlatego żeby zbudzić towarzyszy.

Nie mogłem sobie wybaczyć. Bliskość przyjaznego osiedla Arawaków uspiła zwykłą moją czujność i w nocy nie wystawiłem straży. Całe szczęście, że Arasybo się obudził.

Lecz co to było? Kto to był? Cóż znaczył ów śpiewny gwizd rzekomego kanaimy?

Gdy następnego dnia się rozwidniło, szukaliśmy śladów w gąszczu, do którego strzelaliśmy. Odkryliśmy. Były to ślady kilku Indian. Strzała Symary zraniła jednego z nich. Znaleźliśmy strzałę w zielsku nieco dalej. Była zakrwawiona.

Zjawił się wódz Waramaraka, przyprowadzając swego młodszego brata, Katekiego.

–Kateki wskaże wam drogę do Nieuw Kijkoveral. Zna wszystkie wyspy i mielizny rzeki Esseąuibo. Złakomił się na twoją strzelbę...

–Świetnie! – uradowałem się. – Ale wytłumacz mi, wodzu, tych tajemniczych gości w nocy. Czego chcieli?

–Zabić ciebie. Nad górnym biegiem naszej rzeki żyją Akawoje...

8. Czy w jaskini lwa?

W dwie doby po opuszczeniu ujścia rzeki Pomerun dotarliśmy do olbrzymiej delty potężnej Esseąuibo, rzeki, jak wszystkie rzeki Gujany, płynącej z południa. W owej delcie, szerokiej na przeszło dwadzieścia mil, było kilka wielkich wysp. Słowo „Gujana” w językach indiańskich szczepów znaczyło: Kraina Wielu Wód.

Gdy zbliżyliśmy się do lewego brzegu ujścia Esseąuiba, dzień miał się ku końcowi. Korzystając z przyływu morza, szczęśliwie przebrnęliśmy przez pływającą u ujścia rzeki i znaleźliśmy się między dwoma wyspami.

–Ta po prawej stronie to Wyspa Tygrysów – objaśnił Kateki. – Ta po

lewej to wyspa Wakenaam...

Tygrysamii Europejczycy, przybywający do Ameryki Południowej, nazywali jaguary.

–Czy tam tak wiele tych drapieżników? – zapytałem.

–Nie wiem, panie. Tam ongiś byli Karibowie, też drapieżni.

–Teraz ich nie ma?

–Z Karibami nigdy nie wiadomo; może są jeszcze...

Gdy zapadły ciemności, Kateki wołał, żebyśmy się zatrzymali, więc zarzuciliśmy kotwicę z dala od brzegu, a dopiero o świcie ruszyli dalej. Pomimo korzystnego przypływu od morza przez całą dobę tłukliśmy się między mrowiem różnorodnych wysp, dużych i mniejszych, zawalających ujście Esseąuiba. Wszakże na trzeci dzień wydobyliśmy się z tej wyspowej gmatwaniny na otwarty ogrom rzeki, w tym miejscu szerokiej na dobre sześć mil.

Przez perspektywę przyglądałem się brzegom. Wszędzie puszcza okrutnie skłębiona i wroga. Wroga: raz tylko z dala pojawił się Indianin na maleńkiej jabocie. Zaledwie nas ujrzał, przerażony zawrócił niby dziki zwierz i ukrył się w nabrzeżnej gęstwinie.

Jak nad dolnym Orinokiem, tak i tu korzystaliśmy z przypływów morza, brnąc w górę Esseąuiba. Na czwarty dzień rzeka zwężyła się do dwóch mil szerokości i tak już pozostała. A wtedy na jej prawym brzegu ujrzeliśmy pierwsze wyręby puszczy, na nich zaś pierwszą, drugą plantację trzciny cukrowej. Tu Holendrzy osiedli, w bezpiecznej odległości od morza.

I tu następnego poranka, na tym samym prawym brzegu, wyłoniło się z puszczy większe osiedle i Kateki nam oznajmił, że to stolica kolonii holenderskiej, a siedziba gubernatora, przez Holendrów nazywanego dyrektorem generalnym. Stolica od kilku zaledwie lat tu istniejąca, bo przeniesiona z poprzedniej siedziby na niewygodnej wyspie na rzece Mazaruni. Stolica zwiąca się Nieuw Kijkoveral.

Zbliżywszy się do portu, zacumowaliśmy przy drewnianym nabrzeżu. Zaraz przybyło kilku zadziornych urzędników portowych z pyskiem, widząc na pokładzie taką hurmę Indian i nawet kilku Murzynów, ale gęby im złagodniały, gdy ujrzeli mnie w galowym mundurze angielskiego kapitana statku. Od kilkunastu lat, od czasu zawarcia pokoju w Utrechcie, panowały układne stosunki między Niderlandami a Anglią, przeto mój mundur swoje robił, bo i tu, w holenderskiej kolonii, Anglików respektowano.

Zwierzchnik owych urzędników dowiedziawszy się za pośrednictwem Fujudiego, że przybył w poselstwie do dyrektora generalnego kolonii, jeszcze bardziej zuprzejmiał i jednemu ze swych ludzi wydał rozkaz zaprowadzenia mnie do pałacu gubernatora.

Sporo czasu upłynęło, od kiedym opuścił Jamestown w Wirginii i nie widział od tej dawnej chwili żadnego miasta, tłukąc się bez przerwy po bezludnych wyspach, dzikich rzekach i dziewiczych puszczech. A tu nagle skupisko kilkudziesięciu domów i nawet murowanych budynków, niektórych jednopiętrowych; tu nagle kilka ulic, a na nich roz-gwar, który wydał mi się ogłuszający, tu nieznośne szумы, piekielne bieganiny, powozy zaprzężone końmi, przeróżni ludzie przeróżnych kolorów skóry. I handlarze, szereg sklepów z obfitością wszelakich towarów. Miasteczko nie było duże, aleć – powtarzam – ruch w tym mieście widział mi się kaduczny i przerażający.

Jużem od Arawaków nad Pomerunem się dowiedział, że panował tu zwyczaj, iż biały, jeśli był

dostojnym mężem, zawsze chodził w mieście pod eskortą kilku uzbrojonych sług, Indian lub Murzynów. Toteż udając się do dyrektora generalnego, wziąłem z sobą nie tylko Fujudiego jako tłumacza, lecz także Arnaka i pięciu zbrojnych wojowników z jego drużyny.

Gmach dyrektora generalnego stał na drugim końcu miasteczka i był parterową budowlą bardzo obszerną, bo mieszczącą w sobie zarazem biura administracji kolonialnej. Do gmachu weszliśmy tylko sami, ja i Fujudi, reszta została na ulicy. Przyjął nas sekretarz dyrektora, niestary Holender o rumianej twarzy i okularach na jasnych, dziwnie martwych oczach. Ucieszyłem się, że władał językiem angielskim, więc po wytłumaczeniu mu, z czym przychodzę, poprosiłem o rozmowę z dyrektorem generalnym. Sekretarz zrobił niewyraźną minę, jak gdyby mnie nie całkowicie zrozumiał, ale odrzekł:

–Jego ekscelencji dyrektora generalnego van Cheusesa obecnie nie ma w mieście, wróci dopiero za jaki tydzień z objazdu.

–A jego zastępca, czy jest obecny?

–Mynher Henrik Snyderhans jest obecny...

Sekretarz zmierzył mnie osobliwie niechętnym spojrzeniem spoza swych okularów i jakiś niedorzeczny uśmieszek pojawił się na jego cienkich ustach.

–Przepraszam! – wymamrotał mrukliwie. – Niezupełnie rozumiałem waszmości słowa... O co właściwie chodzi? Waszmość jest Anglikiem, prawda?

–Tak jest. Pochodzę z Wirginii...

–I przybywa waszmość z polecenia Hiszpanów wenezuelskich?

–Zgadza się.

–Żeby przeprowadzić jakoweś rokowania z nami? – ciągnął Holender i coraz mniej ukrywał swe kpiarskie rozbawienie.

–Nie inaczej! – odrzekłem.

–I koniecznie chciałby waszmość widzieć się z zastępcą dyrektora generalnego, mynherem Snyderhansem?

–Tak jest!

–To proszę chwilę poczekać! – co rzekłszy, mętnawo' uśmiechnięty sekretarz udał się do sąsiedniej izby. Chwila trwała diabelnie długo. Widać, trudną mieli naradę albo, co prawdopodobniejsze, chcieli pokazać, że nie brali mnie zbyt na serio.

Wreszcie wyszli obydwoj w figlarnych humorach. Henrik Snyderhans, pomimo poważnego stanowiska, jakie zajmował, był młodszy niż sekretarz, a równocześnie przystojniejszy; przy tym o rysach twarzy ostrych, zdradzających butną energię i chyba skłonność do okrucieństwa.

–A więc mamy zaszczyt – odezwał się do mnie także po angielsku Snyderhans z ironiczną wesołością – widzenia tu ambasadora hiszpańskiego w postaci angielskiego kapitana.

–Co najmniej potrójna przesada! – uderzając w jego ton, buchnąłem żartobliwie.

–Aż potrójna? – zdziwił się.

–Potrójna: co do tego ambasadora, co do tego zaszczytu i co do angielskiego kapitana.

–To waszmość nie jest angielskim kapitanem?

–Nie.

–Więc kimże, do diabła?

–Kimże, kimże! Oto pytanie! Prawie jak u Hamleta!...

Im nagle odechciało się żartobliwości. Uśmiech znikł z ich twarzy, stali się ponownie ważnymi urzędnikami.

–Dość żartów! – zajazgotał sekretarz rozdrażnionym głosem. – Jak waszmość się tu dostał do naszej kolonii?

–Szkunerm pełnym Indian.

Sekretarz przeszył mnie gniewnym wzrokiem, jak gdyby posądzał mnie o kpiny.

–Jakich Indian? – prychnął niecierpliwie.

–Arawaków – odrzekłem spokojnie.

–Skąd? – on podniesionym głosem.

–Znad Orinoka.

–Tam nie ma Arawaków! – zaprzeczył szorstko. Spojrzałem na niego pełen pozornego rozżalenia w oczach:

–Oho! Nie ma? A kto wytłukł niedawno temu stu waszych Akawojów? Zbójów nasłanych na nas?

Słowa te podziały cudacznie, prawie jak grom z jasnego nieba. Naraz w izbie zapanowała cisza, jakby makiem zasiał. Obydwaj Holendrzy wbili we mnie tak osłupiałe spojrzenie, jakby ujrzeli ducha albo nocną marę Wibanę. Sekretarz, który jeszcze przed chwilą miał ślicznie rumianą twarz, nieco przybladł.

Pierwszy ochłonął Henrik Snyderhans. Już przeszła mu szydercza figlarność.

–To waszmość jest... jest...? – i zaciął się, jak gdyby zmieszany.

–Tak, jestem nim! – pokiwałem jowialnie głową.

–Białym Jaguarem?! – zapytał zdławionym, wyraźnie zatrwożonym głosem.

–Jak najbardziej! – odrzekłem. – Biały Jaguar do usług waszmościom!

Byli wciąż, jakby stracili równowagę umysłu, i spozierali na mnie jak na dziwolągę nie z tego świata. Nie bacząc na ich zaskoczenie, zwróciłem się do nich z wielką uprzejmością:

–Jeszcze raz serdecznie proszę o ułatwienie mi rozmowy z jego

ekscelencją, dyrektorem generalnym van Cheusesem, lecz zanim do tego dojdzie, zechciejcie waszmościowie przejrzeć pismo od gubernatora w Caracas, które we właściwym czasie chciałbym przedłożyć van Cheusesowi. Oto ono!

I podałem im mój list polecający w języku holenderskim. Przeczytali w skupieniu, treść jego przyjęli z uznaniem.

–Przybywam w odpowiedniej asyście do waszej kolonii w intencjach jak najprzyjaźniejszych! – oświadczyłem bardzo uroczyście. – I byłbym wdzięczny, gdyby waszmoście mogli zapewnić bezpieczeństwo mnie i moim ludziom, których jest siedemdziesięcioro, w tym czterech Murzynów.

Snyderhans porozumiał się rzutem oka z sekretarzem i odpowiedział kurtuazyjnie, że chętnie to uczyni. Wszystkie władze kolonii będą odpowiednio zawiadomione, a skoro tylko dyrektor generalny wróci do stolicy, natychmiast mnie o tym powiadomią.

Następnie ich pożegnałem, serdecznie ściskając im dłoń. Byli niepokojąco podnieceni, dłonie im drżały, wyraźnie to wyczułem.

9. „Kapitanie, jesteś świnią!”

W drodze powrotnej do portu tu i ówdzie spotykaliśmy Indian gujańskich szczepów, a między innymi także grupę osławionych Karibów. Łacno poznawaliśmy ich po małych plamach białego puchu, przylepionego na czole i włosach wojowników. Był to puch sępa królewskiego, ptaka niezmiernie pięknego i dumnego, a przeto odpowiadającego dumie i wyniosłości samych

Karibów.

Oni, sojusznicy Holendrów, zachowywali się butnie niby władcy obszarów gujańskich i rzeczywiście nie było ponoć bitniejszych zawadiaków niż oni, niedoścignieni w dziele zabijania. Zarozumiali, mnie, białemu kapitanowi, na ulicy ledwo się usuwali, natomiast moją arawaska eskortę zmuszali, by schodziła im z drogi. Ludziom moim surowo zakazałem wszczynania burd.

Na szkunerze wszystko zastaliśmy w porządku.

W owym Nieuw Kijkoveral, jak zwykle i jak wszędzie indziej, spaliśmy w nocy pod gołym niebem w hamakach, do burt statku uwiązanych, i tak jak chodziliśmy za dnia, to jest nago, w nabiodrnikach jeno. Niektórzy przykrywali się luźno kocami dostarczonymi nam przez Hiszpanów.

Opisać nasze przykre zdumienie, gdy następnego dnia rano wielu z nas po zbudzeniu się ujrzało pod sobą, osobliwie pod nogami, na desce szkunera kałuże krwi, a równocześnie poczuło się słabo i bez chęci do ruchu: były to dokuczliwe skutki utraty krwi. To wampiry, obrzydliwe, krwiożerne nietoperze, napadły na nas w nocy, a zrobiły to tak tajemnie, że ofiary nic nie zmiarkowały.

Jedyną obroną, oprócz rozniecenia ogniska, było przykryć się nocą możliwie szczelnie kocami, ale jak tu się przykrywać, kiedy w gorącym i parnym powietrzu pociliśmy się kaducznie jak nieboskie stworzenia? Było to strapienie frasobliwe, dotknięci ludzie zaś zostali pozbawieni sił co najmniej na dzień, a przeważnie na dłużej.

Ów następny dzień głęboko wrył się w moją pamięć. Z Afryki nadpłynął statek niewolniczy. Był to angielski statek „Good Hope”, pochodzący z Liverpoolu, i szedł pod chlubną flagą Union Jacka; miał angielskiego kapitana i takżeż załogę: chłopcy rosłe, młode i brodate.

Jeszcze zanim statek przycumował do nabrzeża, zeszło się z miasta całe towarzystwo, około dwudziestu poważnych Holendrów. Byli to miejscowi kupcy oraz przybyli z interioru właściciele plantacji, bogato ubrani, zażywni i stateczni obywatele. Mieli dokoła siebie moc służby oraz personelu biurowego, zarządców, intendentów. Niektórzy zjawiali się z rodzinami, żony widocznie również zainteresowane nabyciem czarnego fraucymeru. Panował wesół nastrój oczekiwania, wybuchały w owym gronie radosne śmiechy.

Widząc takie ochocze zbiegowisko, podszedłem bliżej wraz z moją asystą i zmieszalem się z cizbą. Angielski kapitan, który już zszedł ze statku na ląd, ujrzawszy mnie, domyślił się po moim mundurze, że jestem jego rodak, i ucieszony, żywym krokiem zbliżył się do mnie. Był to jegomość już grubo ponad czterdziestkę o swobodnym rozmachu i rubasznym języku. Ściskając mi rękę, przyjaźnie huknął tubalnym głosem:

–Witam w tym podłym kraju godnego rodaka! Skądże waszmości przywiodło w te ohydne zapadliska?

–Z Wirginii, a ostatnio znad Orinoka...

–Co waszmości tu sprowadziło? Handel?

–Nie. Przyjaźń dla Indian.

–Goddam you, to interesujące! Zapraszam dżentelmena na kubek

whisky po wyklóceniu się z tą, za przeproszeniem, zgrają mynherów...

Co rzekłszy szybko odszedł, gdyż już wypuszczano ze statku pierwszych Murzynów.

Boże kochany, cóż to za straszni nędzarze byli! Nie wypuszczano, lecz brutalnie wypychano ze statku nie ludzi, raczej straszdyła tak osłabione, że niektórzy na czworakach się czołgali, niezdolni ustać na nogach; a wszyscy byli potworni chudzielce, że ledwo skóra im na kościach się trzymała.

To byli Murzyni, atoli już nie czarni, bo z wycieńczenia i choróbsk skóra im spleśniała, sparciała. Przez blisko pięć miesięcy leżeli pod pokładem statku w kajdanach, więc pokrywały ich wszystkich rany i wrzody, niektórych na całym, calusieńkim ciele. Twarze mieli okropne, obłęd i szaleństwo z nich wyglądały. Ci nieliczni, którzy potrafili opuścić pokład o własnych siłach, zaczęli zataczać się pod nagłym uderzeniem świeżego powietrza i słońca jak uchłani w pestkę, a niektórzy padali na ziemię.

–Patrzysz waszmość na nich ze zgrozą, z obrzydzeniem! – odezwał się do mnie po angielsku Holender, stojący obok, a sardoniczny uśmiech miał na gębie. – Proszę się nie obawiać! To twarda hołota! W ciągu trzech tygodni przyjdzie do siebie, gdy pozna zdrowy smak knuta, a potem będzie pracowała za dwóch, trzech! To odporne bydło!

–Czyżby? Czyżby?! – mruknąłem, co tamten wziął za uznanie.

Kapitan statku, mój świeży znajomy, uwijał się po nabrzeżu niezmordowany, był to bowiem jego najważniejszy dzień: chodziło przecież o to, by dobrze i korzystnie spieniężyć czarny ładunek.

Według przepisów, przez Holendrów ustanowionych, tylko statki Holenderskiej Kompanii Indii Zachodniej miały prawo dostarczania kolonii niewolników z Afryki. Ale że tych statków nie starczało, a popyt na czarnego niewolnika był tu ogromny, więc holenderskie władze, zamykając oko, chyłkiem dopuszczały do swej kolonii także insze statki niewolnicze, osobliwie angielskie.

A więc zaczął się wyladunek czarnego towaru. Owi Murzyni wylazili z kadłuba statku i ciągiem wylazili, ażem się dziwił, że ich tyle mogło się pomieścić: chyba leżeli przez pięć miesięcy jak śledzie w beczce.

Niektórych osłabionych musieli wynosić insi Murzyni; były nawet trupy, które natychmiast odrzucano na bok. Przy bardzo ciężko chorych Murzynach niecierpliwi Holendrzy, biegli ponoć w tych sprawach, kiwali głowami i żądali stanowczo, żeby ich zaraz zabić, bo na nic się już nie zdadzą. Było to nie na rękę kapitanowi, który na zabijanych nie chciał tracić pieniędzy, więc między nim a Holendrami wybuchały uparte kłótnie. Ostro spierali się niemal o każdego ciężko chorego; czasem, choć rzadko, kapitan wywalczał życie któregoś, ale częściej Holendrzy przeprowadzali swoje. Wtedy dawali ręką znak olbrzymiemu Murzynowi, pełniącemu u nich rolę zawodowego kata. On odrzuconego nieszczęśnika zanosił pod pachą jak prosiaka na miejsce, gdzie leżały trupy ze statku, i tam uderzeniem siekiery odcinał mu głowę. Czasem nieborak jeszcze zacharczał o litość, przecie daremnie.

Gdy ostatnich Murzynów wyladowano ze statku, a było ich około dwustu (drugie tyle poniosło śmierć w czasie przejazdu), przyszła kolej na Murzynki. Przywieziono ich znacznie mniej, a wszystkie wyglądały lepiej i zdrowiej. Żadnej nie wiązano na statku podczas przeprawy morskiej i niewątpliwie odżywiano je treściwiej.

Na samym końcu marynarze wyprowadzili blisko dwadzieścia kobiet, przeważnie młodych i wyraźnie ładniejszych. Kapitan statku przywiązywał do nich szczególną wagę, bo przedstawiały one większą wartość niż reszta: wszystkie były w ciąży. Za niewolnice zapłodnione uzyskiwało się znacznie wyższą cenę niż za niewolnice niezapłodnione. Takie niewolnice z dzieckiem w łonie przynosiły podwójny zysk dla swego pana; dziecko, które urodzi niewolnica, według prawa stawało się automatycznie niewolnikiem i własnością nabywcy jego matki.

Z przetargów i nabytku Holendrzy byli zadowoleni i w równie dobrym humorze okazał się kapitan. Użeranie z kupującymi miał za sobą. Tymczasem owych dwadzieścia młodych kobiet ciężarnych stało jeszcze na nabrzeżu. Kilku angielskich marynarzy otaczało je wesołym gronem i przyjaźnie z nimi gwarzyło. Niektóre dziewczyny, jak gdyby uśmiechnięte, im odpowiadały, inne, pogrążone w smutku, były markotne i milczały.

Podszedł do mnie kapitan w radosnym nastroju i westchnął z ulgą:

–Weil, rejs szczęśliwie zakończony, sprawy ubite. Jeszcze tylko

chwilę zaczekamy, aż mi Holendrzy przyniosą resztę pieniędzy, i odpoczniemy sobie w mej kabynie przy chłodnej whisky...

Intrygowali mnie owi angielscy marynarze, tak miło rozprawiający z grupą zapłodnionych dziewczyn.

–Czy te dziewczyny – zapytałem – też już poszły na sprzedaż?

–Ależ naturalnie, sprzedane, wszystkie sprzedane! – kapitan ucieszenie zatarł ręce. – Że każda z nich ma bękartą w sobie, dobrą sumę za nie wydebilem! Oplaciło się, niech mnie kule biją!...

–A ci marynarze tam? – zapytałem. – Czego oni się tak wdzięczą do tych kobiet?

–Mają powód do zadowolenia, ho ho! Każdy z nich dobrego dodatkowego florina sobie zarobił...

–Nie rozumiem.

–To oni zapłodnili te baby, a że je sprzedałem dzięki temu drożej, to i oni zasłużyli sobie na premię. Zuchy! Dostaną niezłą premię!

Zadowolenie i radość kapitana, jego sposób myślenia wydały mi się tak dziwne i odpychające, że własnym uszom i oczom nie chciałem wierzyć. Więc jakże to: ci marynarze, przecie Anglicy, cieszyli się nie tylko z tego, że ich dzieci będą niewolnikami, ale że oni, ojcowie, będą mieli jeszcze z tego korzyści materialne? Tak ohydne zboczenie moralności widziało mi się makabryczne i wręcz przerażające.

–Czy zauważyłeś waszmość – rzekł kapitan – tę ostatnią Murzynkę,

która tam stoi tak smutnie i żałośnie, a jest najdorodniejsza z nich?

Spojrzałem w tym kierunku i zauważyłem ją. W istocie nie była brzydka, lecz za to bardzo przygnębiona.

–To była moja! – wyjaśniał kapitan ucieszony. – Zrobiłem jej bobasa.

Dostałem za nią najlepszą cenę!...

Juzem tego paskudztwa nie mógł wytrzymać, było zbyt obmierzłe. W rozradowaną gębę kapitana musiałem bryznąć wściekłym głosem najsroźszej pogardy:

–Kapitanie statku „Good Hope”, „Dobrej Nadziei”! Jesteś ostatnią
świnia!!!

Było to tak nieoczekiwane dla niego, że zdrętwiał, dech mu zaparło.

–Co?... co?!... – krztusił się i ślepią wybałuszał okropnie.

–Jesteś ostatnią świnia i skończonym szuja! – dołożyłem jeszcze raz i spokojnie odszedłem do mych Arawaków.

10. Okrucieństwo Holendrów

Wyładowywanie ze statku niewolników wywarło także na moich arawaskich towarzyszach przejmujące wrażenie. Po naszym powrocie na szkuner przez całą resztę dnia mówiono tylko o tym zdarzeniu i wszyscy jeno zaciskali pięści, a osobliwie nasi czterej Murzyni z Miguelem na czele.

Ponieważ nie było wieści o rychłym powrocie dyrektora generalnego van Cheusesa do stolicy, postanowiliśmy spędzić pożytecznie czas na polowaniu na zwierza w okolicznej puszczy i na łowieniu ryb w Esseąiubo. Zwykle rano o świcie wypływały łódkami nasze grupy myśliwskie i rybackie w górę lub w dół rzeki kilka mil, czasem kilkanaście mil, by tam z dala od miasteczka i w ogóle od ludzi przetrząsać brzegi rzeki i głąb gęstwiny. Podwójna płynęła z tego korzyść: zdobywaliśmy strawę i równocześnie podtrzymywali cielesną sprawność.

Tym sposobem nieźle poznaliśmy zakamarki puszczy i wody, a między innymi odkryliśmy ścieżkę leśną, raczej dróżkę, wiodącą ze stolicy na południe prawdopodobnie do okolic, gdzie w odległości około dwudziestu mil od stolicy istniały holenderskie plantacje trzciny cukrowej. Owa drożyna miejscami zbliżała się do Esseąiuba.

W takim to miejscu pewnego dnia ujrzelśmy, sami nie zauważeni, niezwykle pochód: kilku uzbrojonych od stóp do głowy Karibów prowadziło w kierunku stolicy gromadę kilkunastu spętanych powrozem jeńców-Murzynów. Domyślaliśmy się, że to byli niewolnicy zbiegli z plantacji, a złapani w puszczy przez Karibów. Zaskoczeni, nie zdążyliśmy nic powziąć, a oni już przeszli. Wtedy pobiegliśmy co tchu do naszej itauby i szybko wiosłując przybyliśmy na szkuner, jeszcze zanim tamci, Karibowie i Murzyni, wyszli z lasów. Jeńców zaprowadzono do więzienia, a władze ogłosiły, że następnego dnia rano odbędzie się publiczne sądenie i ukaranie przestępców.

Nazajutrz pozwoliłem połowie załogi wyjść na ląd i być świadkiem wymierzania holenderskiej sprawiedliwości; reszta załogi pozostała na szkunerze, pilnując go z bronią w ręku. Nie chciałem mieć przykrych niespodzianek.

Do rozprawy sądowej, mającej odbyć się pod gołym niebem na centralnym placu stolicy, władze holenderskie przygotowywały się jak do ważnego obrzędu ceremonialnego. Dla sędziów ustawiono w cieniu długi stół, zieloną materią pokryty. Dla winowajców czeladnicy kata - wszyscy Murzyni tak samo jak kat - wbijali w ziemię jakieś pale, ni to szubienice, ni pale tortur, a tuż obok Holender z rudą brodą, konsyliarz-chirurg, na osobnym stoliku układał swe narzędzia, groźnie wyglądające obcęgi, piły, noże, topór. Zaczęli schodzić się niemal wszyscy biali mieszkańcy miasteczka tudzież cała ich służba obojga płci, Murzyni,

Mulaci, Indianie. Przyprowadzono pod dozorem zbrojnej straży także delegację niewolników z pobliskich plantacji, ażeby naocznie przekonali się o losie zbiegów.

Mnie, jako obcokrajowcowi i białemu w mundurze kapitana, oraz mej asyście wyznaczono jakby honorowe miejsce niedaleko stołu sędziowskiego, dano nawet stołek do siedzenia. Niezbyt mi się podobało, że ludzie z miasta wytrzeszczali na mnie gały jak na osobliwą sensację i wymieniali między sobą uwagi, jedni z ironią na gębach, inni raczej tylko z ciekawości.

Wcześniej wprowadzono pod więzienną eskortą winowajców, przy czym starszych z nich, uznanych widocznie za najwinniejszych, natychmiast przywiązano do pali, młodszym natomiast pozwolono stać w szeregu. Wszyscy byli wychudzeni, gnaty im sterczały, oczyska mieli zapadłe.

Wśród odgłosu gromkich werbli przybyli sędziowie. Było ich ośmiu, wszyscy, jak jeden mąż, zażywni obywatele, napuszeni, ogromnie dostojni i święcie pewni siebie i swej racji.

Jakże wobec zacnego i zasłużonego dla kolonii grona wyglądają plugawo i nikczemnie owi haniebni próżniacy, którzy, uciekając od pracy, łamali najświętsze prawa boskie i prawa kolonii!

Publiczny oskarżyciel tymi mniej więcej słowy jasno postawił sprawę i chyba w nie dłuższym czasie niż zmówienie „Zdrowaś Mario”, sąd wydał jednogłośnie wyrok: śmierć w torturach dla prowodyra, ucięcie prawej nogi pięciu zbiegom (rękoma mogli pracować dalej), reszta po trzysta uderzeń bykowcem, jeśli do trzystu przetrwają żywi.

Natychmiast zabrano się do wykonania wyroku, co trwało przeszło godzinę, godzinę pełną zadowolenia, niemal rozkoszy dla wszystkich obecnych Holendrów, także dla kobiet. Z nadmiaru przyjemności niektóre Holenderki popadały w frenezję. Owa zbiorowa zawziętość i objawy nienawiści dopiero otworzyły mi oczy na doniosłość zbrodni, jaką w mniemaniu Holendrów popełniali uciekający niewolnicy.

–Jaguarze! – szepnęła do mnie pobladła ze wstrętu Symara. – Nie mogę na to patrzeć! Przecież to potwory!

–Tak, to potwory! Ale zaciśnij zęby i Ładź silna! – warknąłem jej cicho do ucha. – Nie trać przytomności!

Mdli mnie!... A te Holenderki! Jakie one obrzydliwe! Wszystkie baby dławią się z zachwytem! ... Nie wytrzymam! Mocno, aż boleśnie, ścisnąłem Symarze ramię:

Wytrzymaj!!

Oprawcy, pomocnicy kata, chwycili pięciu nieboraków skazanych na odcięcie prawej nogi i pchnęli ich w ręce chirurga. Ówże nie patyczkował się. Ostrą siekierą w mig porozcinał mięso dokoła nogi powyżej kolana, potem jednym uderzeniem wielkiego topora kość – i koniec, noga odpadła. Oprawca podniósł ją wysoko, by publiczność widziała, i zerwała się burza oklasków. Chirurg nogę wyrzucił do kosza, po czym starał się zatamować krew płynącą z rany. Nie udało się. Podczas gdy pierwszy pacjent konał, chirurg już odrąbał nogę drugiemu. Były znowu oklaski.

W tym samym czasie siepacze kata batożyli bykowcami plecy innym skazańcom. Po pięćdziesiątym uderzeniu była jedna krwawa maź na plecach; setnego uderzenia większość bitych już nie odczuwała, straciwszy przytomność. Połowa chłostanych nie przeżyła wymiaru kary, siepacze bowiem, pod okiem sędziów i innych Holendrów, musieli kropić bykowcami z całych sił, ile wlezie.

Tymczasem hersztem zbiegów, starszym, potężnym Murzynem, przywiązany do pala, zajmował się osobiście sam kat, jeszcze potężniejsze Murzynisko niż tamten. Podczas gdy

dręczonemu przypalano nogi na powolnym ogniu, kat bardzo spokojnie i pomału ćwiartował jego ciało: obcęgami wyrywał całe kawały mięsa, nożycami obcinał ręce, nos i język, drągiem wylupywał oko. Torturowany długo żył, godzinę, i był to bohater, ani razu nie jęknął. Wszyscy inni ryczeli z bólu, przeklinali, rżęzili, łkali. Natomiast ów, który najwięcej cierpieć musiał, milcząc umierał.

Każda faza tortur i jęki katowanych wzniewały wśród Holendrów wybuchy entuzjazmu, tak zapiekła była ich nienawiść do czarnych zbiegów. Nasza grupa, arawaska, stała bez ruchu, całkiem skołowaciała, bacząc, by Holendrom nie zdradzić swego oburzenia. Stojąca pod moim bokiem Symara z obrzydzenia wymiotowała.

Gdy prowodyr uciekinierów, ów zamęczany starzec, wreszcie dokonał żywota, sędziowie powstali i żegnając się wzajemnie, pełni zadowolenia i uprzejmości światowców, rozeszli się do swych domów. Wtedy i my ruszyliśmy.

Po powrocie na szkuner Arnak, który niełacno tracił panowanie nad sobą, z pasją zawołał:

–Karibowie! Oni ich upolowali! Oni winni! Śmierć Karibom!

Wszyscyśmy przyznali mu słuszność, aleć jam nie mógł dość nadziwić

się: Przecież wiedział, że wielcy i szlachetni mistrzowie, geniusze malarstwa, jak Rubens i Rembrandt, też byli Holendrami, więc jakże to możliwe, że owi Holendrzy w Gujanie zdolni byli do takich potworności? Jakże to możliwe, że sławny Erazm z Rotterdamu, szlachetny humanista, myśliciel i bojownik o udoskonalenie ludzkości, był Holendrem tak samo jak tutaj owa holenderska dzicz kolonia! aa?

11. „Karibowie chcą wojny!”

W dniu okrutnej egzekucji Murzynów i w następnych dniach wrzało na naszym szkunerze srogim oburzeniem i gniewem. W Ameryce Południowej zazwyczaj Indianie i Murzyni niezbyt się lubili wzajemnie, natomiast u Arawaków nad Orinokiem było inaczej. Tu wspólna dola i niedola, sięgająca jeszcze czasów niewoli na wyspie Margaricie, związała Arawaków z Murzynem Miguelem i jego kilkorgiem towarzyszy rzetelną, wierną przyjaźnią. Stąd nasi Indianie głęboko przejęli się widokiem torturowanych Murzynów i zniechęcili srodze Holendrów. A chyba jeszcze większy wstręt poczuli do Karibów za to, że łowili murzyńskich zbiegów i złapanych nieboraków wydawali siepaczom na pastwę.

–Żałuję! – biesił się Wagura. – Żałuję, żeśmy wtedy, na drodze w puszczy, pominęli dobrą okazję! Można było uderzyć, uwolnić Murzynów, a posiekać Karibów!

–Nie wiedzieliśmy wówczas, że taki los spotka niewolników – ktoś słusznie zauważył.

–Ale dziś wiemy! – ktoś inny się zaperzył.

–Wiemy, wiemy! – zgrzytali różni dokoła, unosili się wszyscy.

Gdy nastala chwila ciszy na naszym statku, zapytałem:

–Więc właściwie co chcielibyście robić? Jakowaś wojnę zacząć? Tak przecież nie można!

–Białe Jaguarze! – odezwał się z wyrzutem w głosie pochopny jak zwykle Joki. – Czemu nie można? To ty nauczyłeś nas przecie walczyć z bronią i ty nauczyłeś nienawidzić krzywd!

–Nie zapominajmy – odrzekłem – że jesteśmy tu gośćmi...

–My gośćmi? My Arawacy gośćmi? To oni, Holendrzy, tu przyjechali do obcego kraju, i tak samo Karibowie przyplłynęli z wysp Karaibskich! My tu nie gośćmi...

–Do tutejszych Holendrów przybyłem, w oficjalnym posłannictwie i trzeba to szanować!...

–Aleś nie przybył z posłannictwem do Karibów! ~ uwziął się Joki.

Następnego In ia rano kilkoro nas wyszło na miasto, ażeby u handlarza zakupić tkaniny na uszycie sobie kubraków. Doszliśmy mianowicie do przekonania, że niektórym z nas, Arnakowi, Wagurze, Jokiemu, Fujudiemu, Miguelowi i także Symarze, nie wypadalo chodzić w mieś- I cie nago, tylko z nabiodmikiem dokoła lędźwi, jak chodziliśmy u siebie w puszczy. Także ja postanowiłem zmienić ciężki mundur kapitański na coś przewiewniejszego, na jakiś kubraczek z lekkiego materiału. Mie

liśmy pieniąc ty oi rzyjnane od Hiszpanów, więc nietrudno było nam nabyć w sklepie jasnozielony materiał na kilkanaście kubraków.

Gdyśmy opuszczali sklep, natknęliśmy się na grupę pięciu Karibów, właśnie przechodzących obok. Na czele tej zgrai kroczył ich prowodyr, | młody wojak, chyba tylko o dwa, trzy lata ode mnie starszy, chwata ' o muskularnym cieie, chmurnych, dzikich oczach i o butnej postawie, j Niósł sporą maczugę na ramieniu, a na głowie pęk' ptasich piór; poza ' tym zdobiły go różne bransolety z barwnych nasion leśnych i naramienniki, na szyi zaś widniał naszyjnik z szeregiem kłów,'zdobytych na wielkich kotach. Był to zatem wojak-strojnis, i nie brakło mu oczywiście- ' cie dumnej oznaki szczepu na czole, białego puchu sępa królewskiego. Skoro nas tylko ujrzał, zaśmiał się szyderczo, szepnął coś do swych towarzyszy i cała banda żywym krokiem ruszyła ku nam tak, żebyśmy jej zeszli na bok.

Aliści nie pierwszy to raz Karibowie spychali nas z drogi, więc byliśmy przygotowani. Gdy zbliżyli się rażno na cztery, trzy kroki, dwóch naszych znieacka wyciągnęło ku nim ostrze noży, a troje innych dobyło pistoletów. Pyszalki, tak powitani, stanęli jak wryci i po chwili, niepyszni, ustąpili, markotnie obchodząc nas dokoła.

–Głupcze! zawołałem rozbawiony do strojnisia.

–Ciesz się, że jesteś w mieście! W puszczy byśmy was inaczej zażyli!...

Mówilem oczyw iście po arawasku, ale Karib doskonale zrozumiał słowa z mojej miny i wymownych gestów...

Zajście zauważył handlarz, u którego przed chwilą kupowaliśmy. i wyszedł na dwór.

–Jak się nazywa ten gagatek? zapytałem go poprzez Fujudiego.

Panie – odrzekł kupiec niemalże z lękiem. – To wielki wojownik, jeden z wodzów karibskich.

Jak się nazywa ten wielki wódz?

–Wanjawaj, cała wieś mu podlega!

–Gdzie ta wieś?

–Na południu, niedaleko rzeki Essequibo...

Wkrótce zaszły wydarzenia, które rozstrzygnęły sprawę Karibów i nasz stosunek do nich. A zaczęło się zwadą o miłą Symarę, siostrę mej Lasany. młórlke uroczą i wielce pożyteczną.

Dziewczyna mocno wzięła sobie do serca obowiązek, włożony na nią przez Lasanę, że w czasie wyprawy będzie całkowicie zastępowała siostrę. I w istocie Symara pilnie dbała o moją wygodę i strzegła moich rzeczy, munduru kapitańskiego, broni, posiłków. Wieczorem przed spaniem zawieszała swój hamak tuż, tuż przy moim, ażeby wszyscy wiedzieli, że należała do mnie.

Osiemnastoletnia amazonka, nie tylko diabelnie biegła we władaniu wszelką bronią, ale kształtna ciałem, a bystra umysłem jak jej starsza siostra – wpadła w oko jednemu z Warraulów Manduki, młodzianowi imieniem Wanika. Onże zapalał do niej nagłym pożądaniem i czym prędzej, natychmiast, chciał ją mieć za żonę. Z tym wymaganiem zgłosił się do mnie, jako głowy rodu, do którego należała dziewczyna, i przy pomocy tłumacza Fujudiego wyraził dość gwałtownie swe pragnienie.

Był to młodzian o rok zaledwie starszy od Symary, jak na Warraula wyjątkowo przystojny, ale jakiś prostacki i nadmiernie zuchwały. Wprowadził mnie w zakłopotanie.

–Czy ona zgodziła się zostać jego żoną? – zapytałem Fujudiego.

–Twierdzi, że tak – odparł Fujudi.

Znałem niezłe zwyczaje małżeńskie Indian, więc zacząłem wypytywać się, co on umie: jaką łódź samodzielnie zbudował, jakiego grubego zwierza już upolował i przede wszystkim, czy ma gotowy okup za żonę.

–Mam, mam! – zawołał Wanika, pobiegł do itauby Warraulów i przyniósł strzelbę. Wanice, jako wyborowemu strzelcowi, dano do użytku guldynkę, należącą do szczepu Arawaków.

–Czyś zwariował?! – krzyknąłem na niego, wskazując na strzelbę. – To nie twoja własność.

Kazałem przywołać Symarę i zapytałem ją, czy zgodziła się zostać żoną Waniki.

–Łajdak! Kłamca! – zawołała porwana gniewem. – Nawet, słowa z nim nie zamieniłam! Nie chcę takiego ułamka!

–Ułamkiem to on nie jest! – zaśmiałem się i tak samo wszyscy się ubawili.

Oczywiście z chybionego amanta strojono niejedną kpinkę, a Manduka, jego zwierzchnik, tego natarł mu uszu.

Niestety na tym się nie skończyło. Zadurzonemu Wanice przewróciło się w głowie. Kaducznie obraził się na cały szkuner, porwał swój luk, strzały i nóż i opuścił nas razem z uzbrojonym rówieśnikiem Abore. Daleko nie poszli. Nasz szkuner stał przycumowany na samym końcu drewnianego nabrzeża, już nieco poza miasteczkiem, o niespełna dwieście kroków od pierwszych drzew puszczy. Tam, pod tymi drzewami, dwaj młodzi rebelianci na znak protestu założyli swój własny obóz: sklecili mały szałas z gałęzi i rozniecili ognisko.

Tak zeszedł dzień, słońce się schowało, półmrok zamienił się w noc i jak to w gorących strefach naszej ziemi, rozległy się w ciemności głosy przeróżnych nocnych istot: świerszczy, cykad, wielorakich żab, nocnych ptaków i plusk niektórych wielkich ryb, czasem chlupot tak grzmiący tuż za burtą, jak gdyby to była olbrzymia arapaima goniąca w nurtach swą ofiarę.

Indianom nie był obcy cały ów donośny, szumny, wrzaskliwy świat; doskonale wiedzieli, kto tam w mrokach wyje, kto kwiczy, kto świszczy, H kto skrzeczy, a kto kracze, a skomli, a grucha; każdy, nawet najcichszy odgłos był im zrozumiały, więc przyjazny.

Aliści bywały w niezgłębionej puszczy inne dźwięki, nieznanne, tajemnicze, więc wrogie i przejmujące lękiem. Biada, gdyby usłyszeć jęk demona Jurapury; biada, gdyby ulec morderczym diabolicom Jara i Majdana; gdyby usłyszeć krwiożerczego Orehu, czyhającego w wodzie... Nawet gdy dzielnej Symarze dochodził do uszu tajemniczy dźwięk nocny, a był jak ledwo dosłyszalny gwizd, a mógł to być świst mściwego kanaimy, nawet ona, nieustraszona, poczuła się niepewna: poprzez hamak chwytala mnie za rękę i chciała być jak najbliżej.

Okolo północy wszyscyśmy się zerwali ze snu: od brzegu rzeki, gdzie dwóch młodych Warraulów obozowało, zabrzmiał ostry, krótki okrzyk, tak ostry i gromki, że mógł to jeno być śmiertelny wrzask ginącego człowieka.

Noc nie była całkiem ciemna, księżyc i gwiazdy świeciły. Tam, gdzie

obozowało dwóch Warraulów, widzieliśmy w krzakach na chwilę jakowyś ruch.

–Zabrać pistolety, maczugi! – huknąłem wybiegając.

W oka mgnieniu przerzucono kładkę ze szkunera na brzeg i jużśmy pędzili ku puszczy. Kilku nas, kilkunastu.

Na miejscu, przy szalasiu, okropny widok. Obydwaj Warraulowie leżeli w krwi, z głowami rozbitymi maczugą. Abore był już nieżywy, Wanika dogorywał. Chciał coś powiedzieć, ledwo mamrotał niewyraźnym bełkotem:

–Kar... Kar...! – były jego ostatnie tchnienia.

Kilku naszych chciało gonić morderców, lecz powstrzymałem ich: ścigając, mogli snadnie wpaść w zasadzkę. Zwłoki zabraliśmy ze sobą na szkuner, na miejscu zbrodni pozostawiając dwóch na straży. Kilka godzin później, jak tylko się rozwidniło, podążyłem do tragicznego miejsca z trzema naszymi najlepszymi zwiadowcami. Odkryliśmy. Nie ulegało wątpliwości, że sprawcami byli Indianie, a nie Holendrzy, i więcej: że to byli Karibowie, nie Akawoje: w pobliżu szalasu wśród zielska znaleźliśmy odrobinę białego puchu, noszonego na czole i na włosach przez Karibów.

–Karibowie chcą z nami wojny! – rzekłem na szkunerze, gdy wszyscy

cy nasi mnie otoczyli. – Będą ją mieli! Musimy się bronić! Czy zgoda?

Zgoda! Nie było sprzeciwu. Był straszny gniew, była pasja, zawziętość.

12. Fortel i zasadzka

Jeszcze tego przedpołudnia, ubrany w mundur kapitański, udałem się do siedziby dyrektora generalnego, tym razem w rzetelnej asyście dziesięciorga uzbrojonych, i poprosiłem sekretarza o rozmowę. Niedługo czekałem, wpuszczono mnie. v

–I am sorry! – powitał mnie sekretarz. – Jego ekscelencja, dyrektor generalny van Cheuses nie powrócił jeszcze z objazdu kolonii i nie wiadomo, kiedy tu przybędzie...

–Czy to może trwać dwa, trzy tygodnie? – zapytałem.

–Niestety, może trwać dwa, trzy tygodnie...

–W takim razie myślę, że najlepiej będzie, gdy dziś jeszcze wypłyniemy stąd i wrócimy nad Orinoko do naszych siedzib, a pojawimy się dajmy na to za miesiąc...

–Znakomicie, tak będzie najlepiej...

–Zostawię tu w dyrekcji kopię mego listu polecającego od władz wenezuelskich do władz holenderskich, jeśli waszmość się zgodzi...

–Ależ oczywiście, zgadzam się!

Gdy zabierałem się do odejścia, na rumianej twarzy sekretarza

zaigrał zagadkowy uśmiezek, ni to ubolewający, ni to ironiczny, a jego martwe pod okularami oczy nabrały przebłysku jakby żartobliwości. Widocznie chciał mi jeszcze coś powiedzieć. I rzeczywiście, mina jego posmutniała:

–Dowiedziałem się o nieszczęśliwym wypadku nad brzegiem rzeki. Z całego serca wyrażam swe współczucie...

–Dziękuję! – odrzekłem. – Nie ukrywam, że zabicie dwóch Indian Warraulów przyczyniło się do naszej decyzji, by jak najprędzej opuścić te wybrzeża. Tu zbyt niebezpiecznie i niepewnie.

–Rozumiem, rozumiem! Nam także Murzyni sprawiają moc kłopotu. Wśród zbiegów z plantacji jest wielu morderców...

–Czyżby oni zabili owych dwóch Warraulów? – zdziwiłem się.

–Oni! Nie kto inny, tylko oni, Murzyni!

–Ale Warraulów zabito maczugami...

–A czy waszmość przypuszcza, że oni nie mają maczug?

–To prawda, mogą je mieć... – przyznałem.

–Powieć waszmości coś więcej: oni mogą się przebrać za Indian dla niepoznaki...

–Tacy chytry?

–Chytry, fałszywi, zdraclwi, okrutni...

–Nawet okrutni?!? – zrobiłem wielkie oczy i pożegnałem się. – Więc za miesiąc!

–Tak jest, waszmość kapitanie, za miesiąc!

Na dwie godziny przed zachodem słońca, w czasie najsilniejszego

odplywu morza, odcumowaliśmy szkuner i popłynęli z prądem ku ujściu rzeki, mając dodatkowo w żaglach przychylny wiatr. Wielu mieszkańców stolicy przechadzało się w owej podwieczornej godzinie na nabrzeżu i widziało nasz odjazd. Byliśmy temu radzi.

Gdy zachodziło słońce, odbiliśmy już daleko od Nieuw Kijkoveral. Aleć w połowie nocy, kiedy księżyc jeszcze nie wzeszedł i ciemność doskonała pokrywała świat, nie dopłynawszy do wysp u ujścia Esseąiba, zawróciliśmy. Korzystając teraz z przyplywu morza, wpłynęliśmy w górę

rzeki. Trzymaliśmy się ponownie blisko lewego, nie zaludnionego brzegu, podczas gdy po drugiej stronie stolica kolonii spała w mglistych oparach.

Tak wciąż wspierani przyływem morza, wartko przebyliśmy mniej więcej dziesięć mil i następnie przepłynęli na drugą stronę rzeki.

Tam w naszych poprzednich częstych wycieczkach poznaliśmy miejsce na idealną kryjówkę: w niedużą, acz dostatecznie głęboką zatoczkę można było wciągnąć nasz szkuner i wysmienicie ukryć go przed jakimkolwiek wścibskim okiem. Zatoczka leżała około czterech mil na południe od Nieuw Kijkoveral. Nieprzebyta gęstwina kniei zabezpieczała owo miejsce od wszystkich stron, także od strony rzeki. Byliśmy tu schowani niczym igła w stogu siana, bo otaczała nas puszcza dosłownie bezludna. Na kilka mil dokoła żadnych siedzib ludzkich, ani chat indiańskich, ani plantacji białych posiadaczy.

Za to w nocy nieprzychylna knieja nasłala na nas wroga podstępnego, paskudnego: wampiry. Nie rozpaliliśmy odstraszającego ogniska, ażeby nie zdradzić naszej obecności, a pod kocami było zbyt gorąco. Owe krwio pijce urastały do niebezpiecznego problemu, bo kto tracił zbyt dużo krwi, a przeważnie tracił, stawał się na kilka dni tak osłabiony, że nie był zdolny do akcji, a tym mniej do akcji wojennej.

–Arasybo, do kroćset! – zawołałem do czarownika. – Dajże nam coś, by odstrzążyć te paskudztwa! One nas zgubią!...

Arasybo bardzo się martwił, bo nie umiał nam pomóc, a okrutne wampiry nas nękały i tego, owego rzucały na hamak. Wiedziano, że zabijały wiele zwierza domowego, a bywało, że i człowieka zgładzić potrafiły.

Okolo mili od niezawodnej kryjówki prowadziła przez puszcę z północy na południe droga, a raczej szersza ścieżka, o której już wspomniałem. Drożyna wiodła niemal równolegle do brzegu Esseąuiba i łączyła ze stolicą szereg holenderskich plantacji, leżących o piętnaście, dwadzieścia mil na południe. To tu przed niedawnym czasem ujrzeliśmy owych nieszczęsnych niewolników-zbiegów, prowadzonych przez kilku Karibów na tortury do stolicy.

Nad tą drogą postanowiliśmy zaczajać się i likwidować wszystkich przechodzących Karibów. Ażeby nie zdradzić istnienia naszej zatoczki, staraliśmy się zachować w tajemnicy wszystko, co czyniliśmy: przeto itaubą płynęliśmy w górę Esseąuiba jakieś dobre dwie mile od zatoczki i dopiero tam lądując, przedzieraliśmy się przez puszcę do drogi.: A przedzierając się, kroczyliśmy gęsiego, jeden za drugim, i baczyli, i żeby jak najmniej pozostawić za sobą śladów.

Na zasadzki wybieraliśmy takie ustronia drogi, z których był otwarty widok w jedną i w drugą stronę na odległość co najmniej dwustu i kroków: należało zapobiec jakiegokolwiek przykrej niespodziance. 1 W każdej z tych wycieczek uczestniczyło około piętnastu naszych i tak się rozstawiało z jednej i z drugiej strony drogi, ażeby równocześnie, | zaraz w pierwszej chwili można było kropnąć wszystkich Karibów i, przebóg, nie dopuścić do ucieczki któregoś z nich.

W tym miejscu postanowiliśmy strzelać wyłączając z łuku. Z pistole-1 tu lub guldynki tylko w razie nieodzownej konieczności, chociaż broni j palnej zawsze mieliśmy pełny ryszunek.

Głęb owej puszczy, leżącej nad tak olbrzymią rzeką, była na wiele mil poprzecinana niezmierną ilością starorzeczy, wodnych ścieków, 1 mniej lub więcej szerokich, za to przeważnie dość długich, tasiemco-1 wych. Jeśli głębsze, trzeba je było obchodzić aż do końca wodnego I łożyska, co nieraz diabelnie utrudniało pochód przez las.

Na drugi dzień zbliżania się do miejsca zasadzki, przebrodziwszy do | połowy takie ciemne, błotniste starorzecze, nie głębsze niż do kolan, j doznaliśmy straszliwej przygody. Kilku nas już było w wodzie krocząc | gęsiego, gdy nagle okrutne wodne stwory, raczej potwory, zaatakowały | nas w makabryczny sposób. W mętnej wodzie były dla nas niewidzialne, j lecz kotłowały się między nami i pod nami. Nie gryzły, nie rozdzierały 1 zębiskami (jak to na przykład czyniły żarłoczne piranie, przez Indian! zwane huma), natomiast lekko nas dotykając, powodowały piekielny j wstrząs ciała, bolesne porażenie. Obezwładnieni, całkowicie sparaliżo- j wani, ledwo żywi padaliśmy w wodę jak nieruchome glazy. Niechybnie 1 potonęlibyśmy nawet w tej płytkiej wodzie, gdyby nie to, że połowa j naszych towarzyszy jeszcze nie weszła do wody. Będąc na ziemi mogła 1 porażonym pomóc, by wydostali się z kaducznej wody.

Nieszczęsne ofiary, jeszcze przez długie godziny na pół ogłuszone,! czuły bóleści w całym ciele i dopiero następnego dnia dźwigały siei z niemocy, lubo jeszcze przez kilka dni odczuwały pewną słabość.

Był to atak drętów, ryb podobnych do węgorzy, dość pospolitych! w gujańskich wodach, a działających na człowieka niby uderzenie! gromu. Zresztą owe drętwy i ich porażenie znałem już z własnego doświadczenia, gdy przed rokiem napadły na mnie podczas kąpieli w jeziorze-zatoce Potaro, niedaleko naszej Kumaki. Całe moje szczęście, że byli wtedy w pobliżu przyjaciele i wyciągnęli mnie z wody.

Także i teraz wszystkich wyratowano, a jednak pozostał we mnie, i na pewno również w moich towarzyszach, przejmujący osad w duszy. To świadomość, że w tej srogiej puszczy nieustannie, na każdym niemal kroku, wisiała nad człowiekiem niezgłębiona, złowroga tajemnica. Czy nijakiej nie było przed nią ucieczki, nie było obrony? Ależ była, była: zacisnąć zadzierżycie pięści, nie-dopuścić do siebie lęku, zwielokrotnić czujność, nie tracąc zuchwałości.

Byłem obecny przy każdej zasadzce, lecz w samej akcji udziału brać nie zamierzałem. Natomiast wraz z kilkoma zwiadowcami miałem pilnować, by nikt z Karibów nie uszedł. Był to nieodzowny warunek powodzenia. Czatowanie trwało od świtu do wieczornego mroku i z podziwem odkrywałem hart charakteru mych Indian: ich nieludzką wprost cierpliwość. Całymi godzinami, potem dniami mogli siedzieć w ukryciu bez ruchu, wpatrzeni z czujnością w jeden punkt drogi. Tak trwali nieznużenie.

Pewnego dnia mieliśmy niezwykle przeżycie. Usłyszeliśmy coś, co zbliżało się do nas. To coś nie było na ścieżce, pustej jak zwykle, lecz w gęstwinie leśnej. Nagle wydobyło się z gąszczu i

ujrzeliśmy dziwaczne zwierzę. Wysokie jak wyrośnięty brytan, ale dwa razy dłuższe, włochate, czarne jak diabeł, miało pysk groteskowo wydłużony, niby zwężającą się rurę, miało wzniesiony ogon z ogromnie długimi włosami, a przednie nogi uzbrojone w tak długie pazury, że owe czupiradło posuwając się kroczyło na przegubach, a nie na pazurach. Osobliwe dziwadło!

Po raz pierwszy je ujrzałem w tej puszczy, chociaż słyszałem już niejedną gadkę o nim. Był to wielki mrówkojad, stwór niezaczepny, ale rozjątrzony, w obronie ponoć straszny gwoli pazurom, rozrywającym łącno napastnika, także człowieka. Owymi pazurami zdolny był drzeć niby kruchy papier twarde jak kamień ściany mrowisk i termitier.

Ponieważ mrówkojad, który przeszedł przez ścieżkę, nie posuwał się szybko, podążyłem za nim w gąszcz, by zwierzę z łuku ustrzelić. Wnet go ujrzałem przed sobą o kilkanaście kroków i już napinałem cięciwę, gdy ktoś inny mnie uprzedził: jaguar. Zaszleściło w krzewinie, Cętkowany drapieżnik rzucił się na łup, ale zanim dopadł swej ofiary, mrówkojad zdążył powstać na tylne łapy, a przednie pazury rozpostrzeć szeroko w kierunku napastnika. Jaguar potężnym skokiem obalił mrówkojada na ziemię, ale jednocześnie dostał się w objęcia straszliwych pazurów. Urwany ryk, rżenie, chrobot, szarpanie ziemi.

Gdym doskoczył, bestie akurat wzajemnie się wykańczały. Dogorywały. Mrówkojad miał przeżarte gardło i już nie żył, a j jaguar z rozdartymi aż do żeber plecami jeszcze się ruszał, ale powstać już nie mógł. Gasły mu ślepia, leżał w ostatnich podrygach. Niebawem zdechł.

Okazało się, że był to młody jaguar, jeszcze niezupełnie wyrośnięty. Całkiem wyrośnięty i silny z pewnością dalby radę mrówkojadowi.

Oto puszcza na chwilę odkryła swoją przyłbicę. Walka dwóch tęgich bestii nie trwała ani minuty. Jakże to wszędzie blisko była nagła śmierć. Także i tam, na ścieżce naszych zasadzek. Jakże w tej okrutnej puszczy człowiek, ażeby istnieć, musiał przyswajać sobie cechy dzikiego zwierza, musiał wdrażać się w jego instynkt.

Droga, przy której się zaczailiśmy, widocznie ważna arteria, nie była pusta. Co kilka godzin ktoś przechodził: to trzech Murzynów z tobołami, to kilku Indian nieznanego nam szczepu, to idąca ze stolicy banda pięciu uzbrojonych Karibów. Ci na pewno bez zmazy nie byli, ale nie chciałem ich uśmiercać: minęli nas cało, nieświadomi, że życie ich przez chwilę wisiało na nitce.

Drugiego czy trzeciego dnia naszego czyhania pojawiła się idąca z południa grupa Murzynów, która na noszach dźwigała starszego Holendra: jego bogata odzież i gęsta mina pozwalały domniemać, że to jakiś tuz, prawdopodobnie właściciel plantacji. Kilku Murzynów szło luzem i nie dźwigało, lecz stanowiło ochronę: kroczyło obok ze strzelbami na ramieniu.

. – Chętnie wpakowałbym Holendrowi strzałę w gruby zadek! – szepnął mi do ucha Wagura.

–Ja chętniej wpakowałbym – odezwał się Miguel – tym ze strzelbami: to zdrajcy swoich czarnych pobratymców...

Grupa Holendra i Murzynów minęła, nic i nikogo nie zauważywszy.

13. Pierwszy celny cios

Cierpliwość popłacała. Wreszcie doczekaliśmy się. Nadszedł dzień działania. Rano owego dnia, ukryci jak zwykle w zasadzce, ujrzelśmy z dala na drodze wylaniającą się gromadę ludzi.

Poprzez perspektywę ujrzałem jak na dłoni: czterech Uzbrojonych Karibów prowadziło około dziesięcioro spętanych Murzynów i Murzynek, przywiązanych do jednego powroza. Świsnąłem na znak alarmu, nałożyliśmy na twarze prymitywne maski: zależało nam na tym, by jak najdłużej pozostać w tajemnicy.

Zbrojna akcja rozegrała się w oka mgnieniu i bezbłędnie, tak jak było w planie. Gdy Karibowie i Murzyni doszli do miejsca, gdzie staliśmy w ukryciu, Murzyn Miguel wyskoczył jakie pięćdziesiąt kroków przed pochodem z gąszczu na drogę. Podnosząc rękę, krzyknął na całe gardło, by ludzie stanęli, a głos miał jak lew. Tamci stanęli jak wryci. Wtem z gęstwiny furknęły strzały i celne na tę niedużą odległość niewielu kroków przebiły wszystkich czterech Karibów niemal jednocześnie. Padli rżąc w konaniu.

Wyskoczyliśmy na drogę i nie tracąc ani chwili, niektórzy z nas odnieśli zwłoki o jakieś sto kroków od drogi, inni odprowadzili także powiązanych Murzynów i wtedy dopiero rozcięli im więzy, a jeszcze inni szybko zebrali broń po Karibach i zatarli na drodze wszystkie ślady napaści. Część Arawaków pozostała nadal w zasadzce, natomiast ja z resztą udałem się do oswobodzonych niewolników. Byli przy mnie Miguel, Fujudi, Arasybo i nieodstępny Arnak. Masek dotychczas nie zdjęliśmy.

Murzyni wciąż stali oszłomieni, jakby nie mogli pojąć, co się z nimi stało. Wszyscy, a osobliwie ów najstarszy, mieli na plecach od biczowania srogie rany, ledwo co zaschnięte. Były wśród nich cztery młode kobiety, raczej dziewczyny, i jak widziało się po skaleczonych plecach, ich także nie omijała chłosta. Poleciałem Fujudiemu i Miguelowi, żeby dogadali się z tymi ludźmi i uzyskali od nich bliższe szczegóły.

Byli to niewolnicy z plantacji Blenheim, leżącej mniej więcej piętnaście mil na południe od stolicy Nieuw Kijkoveral, a przeszło dziesięć mil od nas.

Właściciel plantacji i jego rodzina, a także wszyscy zarządcy wyjątkowo okrutnie postępowali z niewolnikami, tak że niektórzy woleli popełnić samobójstwo, inși myśleli o ucieczce. Wiedzieli, że nad rzeką Berbice, daleko na południowym wschodzie, żyło w lasach wielu zbiegów i byli tam wolnymi ludźmi. Do nich to grupa, przez nas odbita, chciała uciec przed kilku dniami. Ale Karibowie, grasujący w pobliżu plantacji, złapali zbiegów i na rozkaz plantatora prowadzili teraz do stolicy dla przykładowego ukarania.

–Czy oni wiedzą, co ich czekało w stolicy? – spytałem.

–Zdaje mi się, że wiedzą coś niecoś o śmierci wśród tortur... odrzekł Fujudi, rozmawiający z nimi po holendersku.

–Powiedz im, że są wolni i mogą robić, co chcą. Jakie mają zamiary?

Biedacy, zupełnie otumanieni niedolą i wycieńczeni na skutek bicia, do tego wygłodniali, nie wiedzieli, czego chcieć. Mieliśmy ze sobą sporo żywności i kazałem ich nakarmić. Gdy się najedli, napili, poczuli się raźniej. Wobec tego postanowiliśmy ich uzbroić, zaopatrzyć w żywność i puścić w drogę. Arasybo wyszukał w puszczy jakoweś zielska, które, przyłożone do ran, nosły dobroczynną ulgę. Czterej Karibowie mieli strzelby, ale okazało się, że tylko jeden z Murzynów, ów najstarszy, umiał obchodzić się z bronią palną. Więc ten jeden dostał strzelbę i amunicji na trzydzieści mniej więcej strzałów. Reszta Murzynów otrzymała łuki i strzały, a wszyscy po jednym nożu.

Cztery młode Murzynki stały nieco na uboczu i z posępnymi minami przysłuchiwały się naszej rozmowie, przy czym rzucały do siebie półgębkiem ciche słówka, jak gdyby się naradzając. Z wyraźnym zaciekawieniem spoglądały na naszego Miguela, Murzyna tak samo jak one. Widocznie onże, choć wciąż w masce jak my wszyscy, budził w nich szczególne zaufanie i jakoweś nadzieje. Zaiste w porównaniu z wynędzniałymi niewolnikami nasz wspaniały oszczepnik wyglądał jak silny, zdrowy tur, jak gladiator.

Wreszcie jedna z kobiet, odważniejsza i umiejąca po holendersku, oświadczyła, że one cztery nie chcą uciekać do puszczy razem z innymi, lękając się niepewnej tułaczki; pragnęłyby pozostać z nim, pod jego opieką – i młoda niewiasta wskazała ręką na Miguela.

Miguel był zaskoczony, dokładniej przyjrzał się dziewczynom, były sobie niczego. Dotychczas on i jego czterech przyjaciół Murzynów miewali z Indiankami amory, ale przelotne. Teraz nastęczała się dla nich dogodna sposobność, by ustatkować się i zdobyć stałe żony. Miguel spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Z ochotą skinąłem głową, że zgoda, brać je. Zatem Miguel uśmiechnął się do kobiet życzliwie i kazał im odejść na bok.

Na to zerwał się jeden z młodszych niewolników, mizerak o najbardziej skrwawionych plecach i niezmiernie wyczerpany, i z furją, która wprawiła nas w niemałe zdumienie, głośno się sprzeciwił: że jedna z dziewczyn to jego dziewczyna, i on nie chce, żeby mu ją odbierano.

Miguel się zmieszał. Niepewnie spojrział na oponenta, ale widząc, że to słabeusz ledwo stojący na nogach, zawrzał gniewem:

–Ty ledwo gonisz resztkami sił, więc jak ją obronisz? Będziecie mieli trudną przeprawę. A czy ty nie wiesz, że was prowadzono do stolicy na pewną śmierć?!...

Pomimo oburzenia Miguel nie zatracił poczucia sprawiedliwości: zapytał się dziewczyny, dokąd chce iść.

–Chcę iść z wami! Chcę z wami! Z tobą! – odparła i w swym podnieceniu z przejęciem przyłgnęła do boku Miguela.

Wtem do sprawy wmieszał się najstarszy Murzyn i chuchrakowi, który wystrzelił z tak niewczesną gorącością, kazał być cicho: w żmudnym przebijaniu się do rzeki Berbice taka młoda dziewczucha byłaby tylko krępującą przeszkodą. Chłopak skulił się, ucichł.

Zanim Murzyni odeszli, ów stary podszedł do mnie i widząc, że jestem jedyny biały, odezwał się poprzez Fujudiego:

–Uratowaliście nas od śmierci! Powiedz nam, jak się nazywasz? Komu zawdzięczamy życie?

–Widzisz, żeśmy zakryci maskami. Nawet wy nie powinniście wiedzieć!

–Słyszeliśmy tylko o jednym białym człowieku zdolnym do tego, coście dziś zrobili. Ale on daleko stąd, nad rzeką Orinoko.

–Czy znasz jego nazwisko?

–Znam. Biały Jaguar...

–Ale sam mówisz, że on daleko stąd!

–To prawda, daleko stąd! To prawda!...

Gdy uwolnieni Murzyni, pełni otuchy, nas opuścili, a myśmy się przekonali, że nikt z nich nie wrócił, dopierośmy zdjęli maski i ochoczo odetchnęli. Czekana nas jeszcze jedna powinność, przykra, acz nieodzowna: pozbycie się czterech zwłok Karibów. Kazałem wszystko zebrać skrupulatnie i zachować, co do nich należało i co mieli na sobie, osobliwie ich charakterystyczny puch sępa królewskiego na czole i na włosach głowy. Ich strzelby były pośledniej jakości, za to

maczugi znakomite.

Pozostało jeszcze zniszczyć zwłoki.

–Może je głęboko zakopać w ziemi! – podsunąłem.

–Za nic w świecie! – zaperzył się Fujudi.

–Dlaczego nie? – zdziwiony spojrzałem na niego.

–Zabici nie powinni pozostawić po sobie żadnego śladu! – zapewniał mnie Indianin. A zakopanie w ziemi, choćby nie wiem jak głęboko, to niepewna rzecz! Leśne zwierzęta łatwo wykopią. Mamy niezawodny sposób: mrówki...

Wyszperanie w puszczy mrowisk mięsożernych mrówek było łatwą rzeczą: znaleziono ich kilka w obrębie stu kroków. Następnie odcięto głowy od tułowi i to wszystko, rozproszone, z dala od siebie, zakopano w mrowiskach, po czym zapobiegliwie zatarliśmy wszystkie nasze ślady, zarówno na drodze, jak i w lesie. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że w ciągu dwóch dni po Karibach nic nie zostanie prócz kości.

Po zapadnięciu nocy wróciliśmy na szkuner, pełni zadowolenia. Symarze powierzyłem tymczasową opiekę nad czterema Murzynkami. Szybko z nimi się zaprzyjaźniła.

14. Drugi cios, celniejszy

Młode Murzynki, otoczone życzliwymi ludźmi i lepszą widząc przed sobą przyszłość, niemal z godziny na godzinę przychodziły do siebie i dorodniały. W ciągu trzech dni doszły do równowagi i z nędznych pólisot przemieniły się w pełnych ludzi. Ja, jako dowódca wyprawy, życzyłem przyjacielowi Miguelowi i trzem jego kompanom szczęścia po wybraniu sobie towarzyszek życia.

Nie zaniedbywaliśmy zasadzek na leśnym trakcie. Ale przez szereg dni nic ciekawego nie przechodziło, nie było sposobności do zbrojnego działania.

Na szczęście po zachodzie słońca podnosiły się teraz rześkie wiatry od Atlantyku. Noce stały się nieco chłodniejsze, co pozwalało nam opatulać się całkowicie w koce. Ale napastliwe wampiry wciąż krążyły dokoła. Kto spał do samego rana szczelnie owinięty, budził się cały; natomiast komu choć trochę odchyłał się koc w czasie snu i obnażał się kawałeczek ciała, najczęściej noga, to pożałuj Boże: kałuża krwi pod nim świadczyła o nocnej robocie makabrycznego potworka. Krwiożerczy wampir był to mały nietoperz, tak ostrożny i delikatny, że nigdy nie przebudzał ofiary, gdy siadał na niej i ostrymi ząbkami zadawał ranę bezbłędną, za to suto krwawiącą. Ponoć spijał tylko trochę krwi, może jedną dziesiątą tego, co z ranki wypływało długotrwałą stróżką pod ciało ofiary.

Którejś nocy nad ranem chlusnął na walny deszcz, a gdy ustał, już dniało. Zwykle grubo przed

świttem opuszczaliśmy szkuner, aliści tego dnia wszystko się opóźniło. Rano mgła osnuła brzegi puszczy, przeto odważyliśmy się na ryzyko i wyruszyli na rzekę za widnego dnia.

Ponad mgłą i ponad wierzchołkami drzew słyszeliśmy poranny krzyk przelatujących papug, aleć niestety zlekceważyliśmy ową przepowiednię ptaków. Wierząc w mgłę, kupiliśmy kota w worku, nawet Indian pogoda zwiodła: Jeszcześmy nie dotarli do miejsca lądowania, gdzie zwykle wchodziliśmy do puszczy, gdy mgła dziwnie szybko się ulotniła i jasny dzień zaskoczył nas na widnej zewsząd rzece. –

Nie pustej rzece. Perspektywą odkryłem po drugiej stronie Esseąuiba, w odległości chyba trzech mil od nas, dwie nieduże łodzie Indian rybaków. Jednak mało było prawdopodobne, żeby nas odkryli z tej 1 odległości. Natomiast nie dalej niż o milę przed nami spostrzeżliśmy inną łódź, płynącą wprost na nas. Wiosłowało w niej dziewięciu Indian i nie ulegało wątpliwości: rozpoznałem w nich Karibów. Za kilka minut musieliśmy się zbliżyć do siebie na odległość strzału. Szybko podąłem perspektywę Wagurze, którego drużyna tego dnia ze mną płynęła, by sprawdził. Potwierdził: Karibowie. Jak zwykle rozporządzaliśmy trze- i ma muszkietami bijącymi daleko, reszta były to guldynki, pistolety i jeden garlacz nabity siekańcami.

–Ci Karibowie płyną w łodzi, którą nazywają korial – wyjaśnił Wagura.

Nie mieliśmy innego wyjścia, sytuacja stała się groźna: należało zlikwidować do szczytu całą załogę owego korialu.

–Dwie trzecie drużyny, najlepsi strzelcy, niech się chowają za burty i przygotowują strzelby. Między nimi trzy muszkiety! – wyjaśniłem.

–Reszta drużyny, sześciu chłopów, niech dalej spokojnie wiosłuje, jak gdyby nic...

Ja, sternik, nie ukryłem się, bom wyglądał jak Indianin. Byłem nago i opalony na brąz, jeno miałem długie, jasne włosy. Nie mogli we mnie poznać białego, bom włosy zakrył chustą.

–Wagura! – zawołałem. – Ilu ich naliczyłeś?

–Myślę że dziewięciu...

–Ja też tak myślę!

Wszelką broń palną, jaka była u nas, schowaliśmy obok burty, ale tak, żeby strzelby były pod ręką do natychmiastowego strzału.

Zwróciłem naszą itaubę bliżej brzegu, by mieć Karibów po prawej ręce, a słońce w chwili potyczki w naszych plecach. Jednej rzeczy się obawiałem: że Karibowie, zaciekawieni naszą

itauba, będą chcieli płynąć wprost na nas, a nie minąć nas bokiem. Bokiem mijających mogliśmy snadniej unicestwić jedną salwą z wielu strzelb. Natomiast płynących wprost na nas trafilibyśmy tylko tych na przodzie łodzi, reszta pozostałaby nie tknięta: wynikłaby niebezpieczna dla nas walka. Karibowie na pewno mieli strzelby, a ponoć dobrymi byli strzelcami.

Oni żwawo wiosłowali, naszych sześciu wioślarzy też nie próżnowało; łodzie chyżo zbliżały się do siebie. Szczęście nam sprzyjało: Karibowie nie zamierzali dążyć na naszą itaubę, lecz, nie zwracając na nas uwagi, chcieli minąć wedle nas. Nie podejrzewali dla siebie żadnego niebezpieczeństwa.

Gdy zapowiedziałem naszym ukrytym strzelcom, że za pięć sekund Karibowie będą nas mijali w odległości około trzydziestu kroków, i gdy nadeszła owa chwila mijania, strzelcy na mój znak wzniesli się ze strzelbami przy oku i wymierzywszy plusnęli gęstym ogniem. Z muszkietów, z guldynek, z garłacza. Tam zrobiły się istne jatki, trysnęła obficie krew. Od dymu zamroczyło się powietrze.

Ale nie wszyscy Karibowie od razu padli. Dwóch, trzech ratując się, wyskoczyło do wody. Byli może ranni, ale mieli łuki i strzały w ręku. Ku nim spiesznie skierowałem naszą itaubę. Oni, pomimo że w wodzie, zdołali wystrzelić z łuków i nie chybili. Dwóch naszych tego dostało. Aleśmy szparko dopłynęli do nich i zanim mogli narobić więcej szkody, maczugami wszystkich trzech unieszkodliwiliśmy..

–Wciągnąć ich do itauby! – krzyknąłem, a gdy to migiem zrobiono, szybko skierowałem itaubę do koralu, czy czasem któryś jeszcze nie żyje. Gdyśmy dopłynęli, obok trupów ujrzeliśmy leżącą na dnie łodzi żywą postać z przerażeniem w nas wpatrzoną. Pierwszy z brzegu Arawak chciał do niej strzelić z łuku, ale powstrzymał go gromki okrzyk

Wagury:

–Nie strzelaj! To dziewczucha.

Przeto nie ubito jej.

Należało jak najprędzej zniknąć z rzeki, gdzie złym przypadkiem nietrudno było nas odkryć, więc połowa załogi przeskoczyła na koral i co sił w wiosłach szurnęliśmy do brzegu. Tu, tuż tuż w cieniu nabrzeżnych drzew, podążyliśmy w górę rzeki do miejsca, gdzie była znana nam płytka zatoka i gdzie przed kilkoma dniami zauważyliśmy siła pirai, ryb okrutnie łasych na krwiste mięso.

Po drodze kazałem zrobić trzy rzeczy: Arasybie, żeby naszych dwóch lekko rannych opatrzył;

Fujudiemu, naszemu lingwiście, żeby wy badał dziewczynę; a tym Arawakom, którzy nie byli przy wiosłach, by zebrali całą broń uśmierconych Karibów i zdjęli z ich zwłok wszelką odzież oraz ozdoby, pióra, puch i bina, jakie mieli na sobie. Bina to magiczne amulety chroniące od złego (ale tym razem nie uchroniły od śmierci).

W zatoce pirai staraliśmy się zwabić ryby niezawodną przynętą, mianowicie, wlewając do zatoki wodę zmieszaną z nie okrzeplą jeszcze krwią zabitych Karibów. Próbowaliśmy daremnie w kilku miejscach, aż jednak powiodło się i wykryliśmy ławicę pirai. Zaledwie rzuciliśmy do wody jednego trupa, tyle naraz ryb śmignęło ze wszystkich stron, że nie tylko się zakotłowało: po prostu zwała się tak zbita masa rybich drapieżników, że nie wszystkie mogły dopchać się do żeru. Wiele w zajądłości wyskakiwało nad wodę. Gdy natychmiast wrzuciliśmy drugie zwłoki, pirai jak gdyby przybyło i od razu powstało drugie makabryczne skupisko żarłoczności.

Atakujące piraje nie były większe niż łokieć, tylko niektóre wyrastały więcej. Szczęki miały tak silne, zęby tak ostre, że jednym cięciem wrywały ofierze spore kawałki mięsa. Rzucone zwłoki do wody, w kilku minutach wyżarte z ciała, stawały się koszmarnym, rozszarpanym kościotrupem, już przez nikogo nie rozpoznawalnym. Po tak porozrywającym człowieku ginął z powierzchni ziemi raz na zawsze wszelki ślad.

W owym unicestwianiu dziesięciu ciał (okazało się, że Karibów zabiliśmy dziesięciu, a nie dziewięciu) było coś tak niesamowitego, że porażało zmysły, nieledwie odbierało przytomność. Oszalała w tej okrutnej krainie łatwość przechodzenia z życia w nicość śmierci. Jeszcze przed godziną dumni wojownicy z butnym puchem na czole patrzeli hardo na cały świat indiański jak na łup im należny, a oto teraz ohydne ryby rozrywały ich członki jak nędzne rupiecie. Ironio losu ludzkiego!

I owa makabryczna dzikość, ukryta w tej wodzie, owa niepojęta drapieżność, zaczajona w zielonej przyrodzie dokoła nas! Oblędna zachłanność, wywołująca u człowieka zgrozę, a równocześnie melancholijną zadumę!...

–Co zrobimy z tą Indianką? – wyrwał mnie z zamyślenia Fujudi.

–To chyba nie Karibka? – zapytałem.

–Nie! – odrzekł Fujudi. Nie potrafię się z nią porozumieć. To chyba dziewczyna ze szczepu Makuszi...

–Z tak daleka?

Szczep Makuszi – wiedziałem to z opowiadań i także z mapy, ofiarowanej mi przez Hiszpana don Manuela Parrasa – żył na sawannach daleko na południu, już poza trzystumilowym obszarem gujańskiej puszczy. Ongiś liczny i wojowniczy, w ostatnim pokoleniu wielce podupadł na skutek częstych napaści ze strony lepiej uzbrojonych Karibów. Aż w owe odległe strony zapędzali się straszni wojownicy, by łapać niewolników dla Holendrów.

Indianka była młodą dziewczyną, nie starszą chyba niż osiemnastoletnią, a widząc, że wpadła w ręce ludzi, którzy byli jej życzliwi, a wrodzy Karibom, nabrała otuchy. Wnet pojawił się na jej dotychczas oswialej twarzy przebłysk uśmiechu. Szybko budziło się w niej zaufanie do nas, podobnie jak przed kilkoma dniami u czterech młodych Murzynek. Nie była brzydka, raczej ponętna.

Fujudi, widząc u niej tak korzystne zmiany, zaczął jeszcze na koria-lu ciągnąć ją za język. Zasięganie wiadomości okazało się, zawiłą sprawą, bo jedynym ich wspólnym językiem były wszelkie wygibasy gestów i wyrazów twarzy. Na szczęście dziewczyna była domyślna i bystra.

A oto, co Fujudi wydostał: dziewczyna należała w istocie do szczepu Makuszi. Mniej więcej przed miesiącem Karibowie napadli w nocy na jej wioskę, leżącą u źródła rzeki Burro, dopływu rzeki Esseąuibo. Złapali tylko ją i jej brata, reszta mieszkańców zdążyła uciec. Brat broniąc się, został ciężko ranny. Napastnicy wrzucili go do łodzi, przekonani, że rychło wyzdrowieje. Płynęli przez wiele dni w dół rzeki Burro i potem Esseąuibo, ale że brat czuł się coraz gorzej i słabiej, Karibowie zatłukli go maczugą, po czym niektóre części jego ciała spożyli...

–Czy to na pewno? – przerwałem sprawozdanie Fujudiego.

–Wnosząc z tego, co i jak dziewczyna donosiła, nie ulega to w wątpliwości – odrzekł Fujudi.

Karibowie żądali, żeby ona też jadła, dali jej ramię brata. Odmówiła; bili ją, ale nie dali rady, nie uległa. Niektórzy chcieli ją zabić, ale inni przeciwstawili się, bo przyrzekli taką dziewczynę Holendrowi w stolicy, ich patronowi.

Tak płynęli w dół rzeki Esseąuibo przez przeszło tydzień, przebrnęli szczęśliwie przez rozległe bystrzyny powyżej ujścia rzeki Mazaruni do Esseąuibo i już byli niedaleko celu, osady Nieuw Kijkoveral, gdy napotkali nas i ponieśli śmierć.

–Zasłużoną śmierć – warknąwszy odezwał się Wagura, który sły

szął słowo Fujudiego.

Gdy Fujudi skończył sprawozdanie, pozostały jeszcze dwa trupy Karibów do wrzucenia do wody pirajom na pożarcie. Przyjrzałem się zwłokom. Indianie owi, atletycznie zbudowani, muskularni, zgrabni, aczkolwiek nieco przysadziści, uchodzić mogli z takim ciałem za ideał indiańskiej urody. Ale ich twarze! Nawet po śmierci na ich niebrzydkich twarzach przebijała się wyniosłość, pycha, a przede wszystkim wyraźny ślad okrucieństwa. To byli wojownicy, świetni wojownicy, i nic więcej.

Piraje pożarły ostatnie zwłoki, ale jeszcze nie odpływaliśmy do szkunera. Był wciąż jasny dzień, do nocy dwie godziny. Nade wszystko należało zachować tajemnicę naszej obecności, przeto dopóki widno, nie wytykaliśmy nosa.

Przystąpił do mnie ociągający się Wagura, miał minę niewyraźną, coś go onieśmialo.

–Co masz na sumieniu? – zagadnąłem go żartobliwie.

~ Na sumieniu nie! ~ odparł.

–A co? A gdzie?

–Na sercu! – palnął:

–Daj mi tę Indiankę!

–Czy ona moja, że ci ją mam dawać? – obruszyłem się.

–Jesteś naszym przywódcą.

–Ale nie od spraw sercowych. A ona, czy ona chce?

–Chce!

–O rety! Jakim językiem się z nią dogadałeś?

–Uśmiechnęła się do mnie... Chcę ją mieć za żonę...

–Prawdziwą żonę czy tylko na niby?

–Prawdziwą, na stałe! Wszyscyśmy wiedzieli, że Wagura, jako wojownik jeden z naszych

najbitniej szych, zresztą rozgarnięty dowódca całej drużyny wojowników, był łasy na babi ród jak kot na myszy. Ale przecież marzył o amazonkach, o ujarzmieniu dzikiej amazonki.

–A twoje wydumane amazonki, Waguro? Gdzie one? Gdzie sny o nich?

–Ta Makuszi to'prawie amazonka, pochodzi z głębi kraju! – odparł. – A poza tym zdobyłem ją: zastrzeliłem Kariba, który stał najbliżej niej...

Machnąłem wesoło ręką:

–Bierz ją, ale tylko pod warunkiem, że i ona ciebie chce z dobrej woli!... Tak Wagura doszedł do swej żony.

15. Sroga plantacja Blenheim

Następnego dnia nie wypłynęliśmy na zasadzkę, natomiast zwołałem na szkunerze wszystkich na naradę.

–Czternastu wrogich Karibów – zagailem posiedzenie – zginęło tu

bez świadków i bez śladu...

'-. Oby tak dalej! – ktoś z werwą zawołał.

**–Oby! – potwierdziłem. – Ale żeby tak dalej szczęście nam sprzyjało,
musimy coś zrobić! Musimy stąd zniknąć!**

Nastalo milczenie.

–Czy nie za wcześnie? – bąknął Joki.

–A ty, Arasybo, co sądzisz? – zwróciłem się do czarownika.

–Sądzę, co rozum mówi: musimy stąd zniknąć już teraz!

–A ty Arnak?

–Mniemam tak samo!

–Tak i ja myślę – rzekłem.

–Ale dokąd? – powstało zewsząd pytanie. – Dokąd pójść?

–Jest tylko jedna na to odpowiedź: mamy przecież cztery młode Murzynki, które, o ile się nie mylę, znakomicie żyły się ze swymi mężami...

–To prawda! Ale co z tego?

–To, że one znają plantację Blenheim i będą nam pomocne. Przeprowadzimy się w okolice tej plantacji i tam wyszukamy dogodną kryjówkę dla szkunera.

–Świetna myśl! – ucieszył się Miguel. – Puścimy plantację z dymem albo...

–Powoli, powoli, nie tak ogniście! – hamowałem jego ferwor.

–Albo – ciągnął Miguel nie speszony – ułatwimy niewolnikom ucieczkę...

–To już lepsza myśl!

Plantacja Blenheim leżała nad samą rzeką Essequibo, w pobliżu było jeszcze kilka innych plantacji. Cztery Murzynki okazały się wielce pożytecznymi sojuszniczkami. Ogromnie się ucieszyły, że mogą nam pomóc. Znały nieźle teren plantacji, wiedziały komu ufać, kogo się wystrzegać, a kto wyraźnym zdrajcą, a kto katem i okrutnikiem. I nie tylko to wiedziały. Znały mniej więcej położenie najbliższej wsi Indian Karibów, oddalonej o kilkanaście mil od Blenheim, i nieobce im były ścieżki owych łowców ludzi. Wobec tych cennych i ważnych wiadomości wszyscy byli za tym, by jak najszybciej opuścić naszą zatokę i znaleźć nową kryjówkę w

poblizu plantacji Blenheim.

Pod koniec owej doniosłej narady na czterech mężów młodych Murzynek, nade wszystko zaś na Miguela, i także na Pedra, nałożyłem pilny obowiązek, ażeby jak najszybciej nauczyli się języka holenderskiego. Okazało się, że z czterech Murzynek jedna nieźle nim władała, a że wszystkie były ożywione najlepszymi chęciami, owa nauka ruszyła rażno z kopyta. Fujudi częściowo im pomagał, częściowo sam się douczał.

Jeszcze tego dnia onej decydującej narady czterech najbystrzejszych zwiadowców wyruszyło na rekonesans w górę rzeki na dwóch naszych jabotach, małych acz zwinnych dłubankach. Do każdej łódki przydzieliłem po jednej Murzynce obeznanej z położeniem plantacji Blenheim, ażeby informowały zwiadowców, gdzie co jest. W tym czasie nie zaniedbywaliśmy zasadzek na leśnym trakcie i zaiste na trzeci dzień cierpliwego czyhania powiodło nam się zakatrupić trzech Karibów wracających ze stolicy na południe, prawdopodobnie do swej wioski w poblizu plantacji Blenheim. Gładko poszło ich zlikwidowanie i gładko kompletne usunięcie śladów napaści i zwłok. Mrówki mięsożerne dokończyły dzieła.

Jaboty miały zbadać obydwie brzegi Esseąuiba, jedna płynąc wzdłuż lewego brzegu, druga wzdłuż prawego. Gdy po czterech dniach wróciły (był to dzień po ustrzeleniu trzech Karibów), sytuacja jako tako się wyjaśniła. W odległości około dziesięciu mil od dotychczasowego miejsca ukrycia, a około trzech mil od plantacji Blenheim jabota, przetrząsająca lewy, zachodni brzeg Esseąuiba, znalazła kryjówkę niemalże idealną. Było to głębokie wklęsnięcie brzegu, gdzie wcisnąć się mógł szkuner, a że zewsząd straszna kłębiła się gęstwina, statek, niby w worku, był tu doskonale ukryty. Powtarzam, stąd o jakie trzy mile leżała plantacja Blenheim po drugiej stronie rzeki, w tym miejscu szerokiej na półtora mili. Natomiast nieco wyżej po naszej stronie wpadał do Esseąuiba dopływ potężnej rzeki Mazuruni i prąd jak gdyby się zwiększył: do wiosel wypadało nam teraz przykładać nieco więcej siły.

Przeprowadzka do nowej kryjówki odbyła się pomyślnie w okresie przyływu morza i w nocy wyjątkowo ciemnej. Nic nie zdradziło naszej tajemnicy. Szkuner zapadł w gąszczu niby kamień w wodzie i tak samo naszych pięć łódek: dwie j aboty, dwie itauby i jeden duży korial zdobyty na Karibach.

Cały dzień przetrwaliśmy w ukryciu, a następnej nocy, uzbrojeni tylko w pistolety, noże i perspektywę, przepłynęliśmy jabota na drugą stronę rzeki: ja, Fujudi jako tłumacz i Maria, najstarsza i najbardziej rozgarnięta z uwolnionych Murzynek. Świetnie знаła rozkład całego Blenheim.

Podpłynęliśmy wśród ciemności pod samą plantację o niespełna pół mili od niej. Po wylądowaniu ukryliśmy w wodnych zaroślach jabotę, po czym Maria jakąś jej znaną ścieżką podprowadziła nas niemal na brzeg puszczy, tam gdzie zaczynała się plantacja.

Jeszcze było jakie pół godziny do pierwszego świtu, gdy niedaleko skraju puszczy wspięliśmy się na drzewo, by z nastaniem dnia, w gałęziach ukryci, z góry lepiej ogarnąć wzrokiem okolicę.

Gdzieś na plantacji uderzono w dzwon i w jakieś gongi; zabrzmiały ludzkie głosy, rozległy się ostre krzyki, rozkazów. Słyszeć było bieganinę ludzi. Działo się to jeszcze w porannym półmroku, a gdy słońce wstało, oczom naszym przedstawiła się jak na dłoni cała plantacja. Zajmowała chyba obszar jednej mili kwadratowej i była potężnym karczowiskiem wydartym puszczy, jedną stroną przylegającym do rzeki. Prawie na całym obszarze rosła trzcina cukrowa, jedno morze zielonej trzciny, pocięte wzdłuż i wszerz siecią ścieżek i drożyn.

Natomiast pośrodku plantacji widniały liczne zabudowania: siła niskich baraków dla niewolników, spichrzy, szop i bud dla jakowychś narzędzi; nieco z boku zaś rozległy, dostojny, choć parterowy dwór ^vwłaściciela plantacji. Była to pompatyczna siedziba z kolumnami przy frontowym wejściu na wzór feudalnych rezydencji ery kolonialnej. Wszystkie budynki, jeśli gorsze, były z trzciny i liści palmowych, jeśli lepsze, to z drewna, i tak samo z drewna okazały dwór plantatora.

Czarni niewolnicy spiesznie rozproszyli się wraz z nadzorcami po polach uprawnych, lecz mimo to wśród chałup krzątało się moc ludzi, zapewne jacyś włodarze, rzemieślnicy tudzież moc przeróżnej służby, zwłaszcza domowej, wśród której najwięcej było kobiet. Wielu harowało przy prasach do wyciskania soku cukrowego. Odkryliśmy także niewolników Indian, chociaż tych nie zapędzano do najcięższej pracy w polu przy trzcinie cukrowej; pozostawali w obejściu.

Uderzył mnie brak jakiegokolwiek ochronnego ogrodzenia czy palisady; widocznie dwór, przymykając okiennice, mógł sam się obronić w razie wrogiego najścia. Natomiast dostrzegłem kilku uzbrojonych w muszkiety i szable Murzynów, krzątających się tu i ówdzie wśród chałup. Jak mi wytłumaczyła Maria za pośrednictwem Fjudiego, była to stała straż plantacji, Murzyni uwolnieni, uprzywilejowani, a wierni plantatorowi jak psy.

–Oni są naprawdę jak psy! Zwłaszcza ich prowodyr! – mówiła Maria.

–To ostatni szubrawiec! Dla swego pana zamęczy na śmierć z zimną krwią każdego z niewolników...

Niewolnicy i niewolnice chodzili właściwie nago, tylko z wąską przepaską dookoła bioder, i tą nagością różnili się od wszystkich innych, szczęśliwszych, chociażby od owej uzbrojonej straży, noszącej obdarte lachmany niby mundury. W pewnej chwili pojawił się jej dowódca, ów „ostatni szubrawiec”, który był Mulatem z pretensjonalnymi epoletami i w nieco lepszym mundurze niż jego bandziory.

–Jak się on nazywa? – spytałem Marii, przyglądając mu się przez perspektywę.

–Nazywamy go mynher Dawid! Wszystkie młode niewolnice muszą być na jego usługi. Były takie, co nie chciały, bo miały swoich mężów: ginęły, powoli żywcem palone...

–A plantator na to się godził?

–Plantator nie lepszy od tego lobuza...

Zapamiętałem sobie twarz owego Dawida, wyrażającą chamstwo i bezwzględność, i pomyślałem, że jeśli ktoś będzie tu musiał zginąć, to chyba on pierwszy, ów mynher Dawid.

–Jak się nazywa plantator? – spytałem.

–Mynher Hendrik.

–A nazwisko?

–Nie wiem, panie, naprawdę nie wiem.

W pewnym momencie wypadło z dworu na dziedziniec troje białych dzieci, ładnie ubranych i roześmianych.

–To dzieci plantatora! – wyjaśniła Maria wylęknionym, jak mi się zdawało, głosem.

Spojrzałem na nią nieco zdziwiony i przyjaźnie ją zapytałem, skąd u niej ta trwoga: przecież jej nic złego nie grozi i już grozić nigdy nie będzie.

–Ach, panie, panie! – wzdrygnęła się Maria. – To bardzo złe dzieci. A ten chłopak, najstarszy z nich, ma dopiero dziewięć lat, a już jest zły dla niewolników jak żmija najgorsza. Tak go wychowują rodzice...

–Nie rozumiem! Jak go wychowują?

–Uczą go, żeby zawsze bił niewolników i niewolnice przy każdej sposobności. Żeby nie przestał nimi pomiatać i żeby zawsze ich nienawdził...

–Mario, chyba przesadzasz! Przecież to dzieci jeszcze.

–Tak, dzieci, ale rodzice nauczyli je mieć wielki wstręt i pogardę do nas, niewolników...

Maria, widząc w mej twarzy, że jej słowa przyjmuję z powątpiewaniem, złożyła ręce jakby do modlitwy.

–Przez cały rok – rzekła, niemalże skomląc

–musiałam być niańką tych dzieci, a zwłaszcza tego chłopca, ale to nie była niańka jak zwykle, żeby pilnować dzieci i uczyć je czegoś, tylko niańka, żeby codziennie ją bić. Musiałam klękać albo jak długa kłaść się na ziemi i on uczył się jak mnie tłuc kijem albo smagać różgą, albo kopać w plecy, w nogi, w głowę. I tak dzień w dzień byłem żywym przedmiotem, na którym te szkaradne dzieci uczyły się okrucieństwa do nas, czarnych niewolników...

Dlatego chciałam uciec, bo już odchodziłam od rozumu z bólu, ale indianie z białym puchem na czole mnie złapali...

Marii zaszły oczy łzą, gdy opowiadając mi te historie, zaczęła we wspomnieniu przeżywać jeszcze raz bolesne chwile.

Widzieliśmy, jak na dziedzińcu przed dworem plantacji wyszły o-prócz trojga dzieci dwie czarne dziewczyny, niewątpliwie niańki, jedna starsza, druga bardzo młoda, może młodsza niż dwunastoletnia. Do tej młodszej chłopak natychmiast się zabrał i powaliwszy ją brutalnie na ziemię, z całej siły okładał prętem. Wkładał w to wiele zawziętości, pokrzykując przy tym wyraźnie coś obelżywego, czego oczywiście z daleka nie słyszeliśmy. Natomiast obydwie dziewczynki nie biły, lecz z przejęciem kopały leżącą ofiarę po całym ciele.

Gdy cała trójka się zmęczyła, przerwała zabawę, a nieco odpocząwszy, kazała położyć się starszej niani i teraz w nią waliła. Biła kijami i kopała. Ale nie trwało to długo: w drzwiach dworu pojawiła się ich matka, zażywna pani, i obydwie nianie odwołała do innej roboty w samym dworze. Na buziach dzieci, jak doskonale widziałem przez perspektywę, malowały się żal i pretensja, że im przerwano miłą rozrywkę.

–Do diabła! – wymknęło mi się z oburzeniem. – Że też te dziewczyny tak cierpliwie i cicho znoszą te upokorzenia!

–O panie, panie! – westchnęła Maria. – Jak ty nie znasz życia na plantacji! One uważają się za bardzo szczęśliwe, że je tylko tak biją, tak dziecinnie! Wszystkie niewolnice im tego zazdroszczą. Xx

–Aż zazdroszczą?

–Niektórzy dozorczy tak umieją się znęcać nad kobietami, zwłaszcza młodymi, że niejedną już zabili wśród okropnych tortur...

Wydarzenie z trojgiem dzieci rozgrywało się w godzinach porannych, a potem już nic osobliwego nie zaszło na plantacji. Ale musieliśmy przez cały dzień pozostać w ukryciu na drzewie aż do zapadnięcia nocy, ażeby przy schodzeniu na ziemię nie zdradzić swej obecności.

Plantacja dotykała rzeki i tu był rodzaj przystani z niedużym drewnianym pomostem. Znajdowało się tam kilka, może do dziesięciu, przymocowanych na linach łódek różnej wielkości. Warto było o nich pamiętać, stanowiły bowiem dla nas stałe niebezpieczeństwo.

O zachodzie słońca niewolnicy wrócili do swych baraczków po przepracowaniu w polu kilkunastu godzin, od świtu do zmroku. Widać było, że nogami ledwo włóczyli.

–Na plantacji niewolnicy dostają mało do jedzenia! – wytłumaczyła

Maria. – Opadają ze sił. Dlatego co chwila dozorczy ich biją, żeby

przynaglić do pracy...

Już będąc w stolicy kolonii, dowiedziałem się, na czym polegał holenderski system eksploatacji kolonialnej, system wyjątkowo bezlitosny, a koszmarniejszy niż systemy kolonialne innych państw, przecież nie grzeszących filantropią. Mianowicie holenderski system zakładał, że wystarczy, ażeby niewolnik, pracujący najciężej w polu trzciny cukrowej, żył tylko dwa do trzech lat, po czym umierał z wycieńczenia i upadku sił, i zastępowało go się nowym niewolnikiem. W tych dwóch, trzech latach morzono go głodem, oszczędzając na żywności, natomiast wynikłą stąd słabość fizyczną robotnika wyrównywano nieustannym biciem, podnosząc tym nieludzkim sposobem wydajność pracy. Robotnik był skazany na rychłą śmierć, ale rabunkowa gospodarka ludzką

pracą koszmarnie opłacała się plantatorowi, bo taniej było kupić nowego niewolnika przywiezionego świeżo z Afryki, niż tracić pieniądze na dostateczne karmienie starego niewolnika.

Okolo dwóch godzin przed zachodem słońca przeżyliśmy nie lada sensację. Niedaleko miejsca, gdzie siedzieliśmy na drzewie, musiała być jakaś ścieżka w puszczy, bo stamtąd wyszło pięciu Karibów na plantację. Spokojnie, jak zaufani znajomi, normalnie uzbrojeni w strzelby, maczugi i oszczepy, przeszli środkiem plantacji, przez nikogo nie zatrzymani. Na dziedzińcu przed dworem plantatora zatrzymali się i przyjaźnie pogawędzili z jednym z dozorców plantacji, po czym z całkowitą beztróską poszli dalej, w kierunku południowo-wschodnim, i zniknęli w puszczy. Ich pojawienie się na plantacji nie wywołało żadnego niepokoju, wiadomo: to byli sojusznicy Holendrów.

–Czy oni tam, gdzie weszli do lasu, mają swoją siedzibę? – zapytałem Marii.

–Tak, panie. Tam jest, ich wieś, nazywa się Borowaj...

–Czy jest daleko od plantacji?

–Jakieś pół dnia marszu ścieżką...

–Czyli około piętnastu, najwyżej dwudziestu mil?

–Pewnie tyle...

–To ludna wieś?

–Ludna, może stu Indian, może dwustu tam żyje... To oni właśnie polują na zbiegów niewolników. Oni nas dogonili i przemocą zawlekli z powrotem na plantację. Źli Indianie!...

Z nastaniem nocy zeszliśmy z drzewa, wyprostowali członki i jabota, dobrze ukrytą, wróciliśmy na szkuner.

Pomimo widzianych wstrętnych rzeczy byłem zadowolony, że poznałem plantację, a jeszcze bardziej, że ujrzałem na plantacji Karibów. Nasunęły się pomysły.

16. Zwiady i zwady

Tworzo spałem tej nocy. Symara przebudziła mnie dopiero dwie godziny po wschodzie słońca. Po wykąpaniu się i po przetrąceniu posiłku zwołałem wszystkich na statku dokoła siebie i zdałem sprawę z dnia poprzedniego. Znęcanie się białych dzieci nad dwoma Murzynkami obruszyło całą załogę. Po sumiennym przekazaniu moich spostrzeżeń przy czym pojawienie się Karibów na plantacji wywołało silne echo odezwałem się w te słowa:

–Nie ulega wątpliwości, że plantacja Blenheim to otchłań zła! Okrucieństwo i rozbestwienie tam panujące, są tak potworne, że proponuję aby nie tylko uwolnić tam wszystkich niewolników i wysłać ich nad Berbice, ale ukarać śmiercią winnych znęcania i męczenia, a całą plantację puścić z dymem. Czy jesteście za tym?

Wszyscy byli za tym.

–W pobliżu są – ciągnąłem – o ile mi wiadomo, dwie inne plantacje holenderskie i warto pomyśleć, jak uwolnić tamtejszych Murzynów. Murzyni, wysługujący się plantatorowi, a więc wszyscy dozorczy, strażnicy, kaci, donosiciele, winni być sądzeni jak złoczyńcy. Plantatora i jego rodzinę najchętniej złapałbym i trzymał jako zakładników. Przed jakąkolwiek akcją przeciw plantacji należy porozumieć się potajemnie ze starszymi niewolnikami zasługującymi na zaufanie. W tym pomogą

nam Maria i jej trzy przyjaciółki. Ale nie zapomnijmy o najważniejszej rzeczy!...

Umilkłem na chwilę i pytającym spojrzeniem obrzuciłem Arasyba i Arnaka. Jako moi niezawodni doradcy o najbystrzejszym umyśle powinni byli się domyślić, o co mi chodzi. Gdy zbyt długo się nie odzywali, z lekka kąśliwy uśmiech powstał na mej twarzy.

–Zanim zabierzemy się na serio do plantacji, musimy usunąć najważniejszą przeszkodę – oświadczyłem.

–Oczywiście, wiem! – zawołał Arnak.

–Wiem, że wiesz! – żywo skinąłem głową. – Karibowie! Musimy zniszczyć wieś Karibów!...

–To słuszne! – odezwał się Joki. – Ale poza plantacją i wsią Karibów miałbym na oku jeszcze

trzecią, wciąż równie ważną rzecz!

–No, jaką?

–Zachowanie tajemnicy, że tu jesteśmy!

–Ani chybi, to prawda!...

W związku z tym wyłoniła się dalsza sprawa, mianowicie uzupełnianie zasobów żywności. Puszcza za naszymi plecami, na lewym brzegu Esseąuiba, zdawała się na wiele dziesiątek mil pustkowiec do cna bezludnym. Niedaleko naszej kryjówki było ujście obfitej w wodę rzeczki i można tam było, wpłynąwszy w jej górę, polować, łowić i zbierać

jadalne rośliny tudzież pożywne owoce leśne. Kilka codziennie wyruszających partii po dwie, trzy osoby znakomicie urozmaiciłoby nasze posiłki. Ową rzeczkę nazwaliśmy rzeką Maipuri (rzeką Tapira).

–Ale mamy tylko dwie jaboty! – odezwał się Pedro.

–Słusznie! Aleć czy nie ma ich kilku zbędnych na brzegu plantacji? Jeśli tej nocy dwie albo trzy przypadkowo się oderwą, nikogo to nie zadziwi...

Tej nocy nie tylko zdobyto dwie łódki, ale Maria, wysadzona na drugi brzeg blisko plantacji, niepostrzeżenie wtargnęła między baraki i nawiązała kontakt z niewolnikiem Wiktorem.

Był to starszy wiekiem Murzyn, cieszący się dużym autorytetem wśród swoich i ogólną przychylnością, człowiek rozumny i obrotny, któremu przed kilku tygodniami nadłamano kilka żeber, gdy srogi zarządca plantacji, Holender nazwiskiem Cryssen, kazał swym zbirom obić go kijami.

Gdy nad ranem Maria wróciła, przyniosła jeszcze inną wartościową wieść: mianowicie Damian, młodszy przyjaciel Wiktora, człowiek również godny zaufania, zna ścieżkę przez puszcę do Borowaju, siedziby Karibów. A zna ją, bo dobrze sobie zapamiętał, gdy kiedyś tamtędy go wlekli łowiący zbiegów Indianie.

–Czy z nim rozmawiałaś? – zapytałem Marię.

–Tak, panie. On gotów jeszcze raz uciec z plantacji i was zaprowadzić do wsi Karibów, ale potem musielibyśmy go tu przyjąć na stałe...

–Dobrze, przyjmiemy.

W niewidzialne sieci, rzucone na tę okolicę, wpadały nam coraz cenniejsze wieści. Między innymi ustaliliśmy ilość ścieżek wychodzących z plantacji Blenheim. Były trzy: jedna wiodła niemal równolegle do rzeki Esseąuibo w kierunku północnym do stolicy kolonii Nieuw

Kijkoveral, druga była jej przedłużeniem na południe i łączyła Blenheim z drugimi plantacjami, leżącymi również nad Essequibo, mianowicie plantacją Blyenburg, oddaloną około pięć mil od Blenheim, i plantacją Wolwegat o trzy mile dalej. Trzecia ścieżka, wychodząca z Blenheim, prowadziła w kierunku południowo-wschodnim do wioski Karibów Borowaj, oddalonej o mniej więcej piętnaście mil. A zatem dla odcięcia Blenheimu od świata wystarczyłoby obsadzić trzy ścieżki, a od strony rzeki zagarnąć wszystkie łódki. Wszędzie tu kłębiła się gęsta, nieprzepuszczalna puszcza. Ucieczka przez nią była bezsprzecznie niemożliwa.

Przez szereg następných dni rozwinęliśmy w całym obozie intensywną działalność myśliwską i zwiadowczą. Grupy, składające się z połowy naszych Indian i" z prawie wszystkich -Indianek, wypływały przed każ- i dym świtem na rzeczkę Maipuri i polowały na zwierzynę albo na ryby, I lub zbierały owoce czy inne jadalne rośliny.

Któregoś z pierwszych dni owych wycieczek myśliwi donieśli mi fi o osobliwym miejscu, oddalonym od szkunera o jakie trzy mile. Tam r j rzeka Maipuri, rozszerzając się, tworzyła jezioro, a w tym jeziorze || i również na jego brzegach przedziwnie roilo się od różnego zwierza. Do [wody przychodziły z puszczy liczne stada dzikich świń, zwanych przez j Indian kairuni, i zjawiały się także kapibary, gryzonie duże jak świnia- \ ki, a jeszcze smaczniejsze. Sporo było nad wodą wielkich węzów, zwa- I nych przez Indian kamudi, a przez białych ludzi anakondy. Natomiast j woda tego jeziora bezmiernie obfitowała w potężne ryby arapaimy, okropnych kajmanów zaś grasowało tam istne zatrzęsienie.

Ponieważ to nie było daleko, pewnego dnia o brzasku wyruszyłem razem z myśliwymi, zabierając ze sobą perspektywę i celny muszkiet. Słońce już się wychylało ponad wierzchołki drzew, gdy dopłynęliśmy do onego jeziora. Trzymaliśmy się blisko brzegu w cieniu puszczy, a wiosłowaliśmy bez plusku, by nie płoszyć przyrody i, dalibóg, w pewnej odległości ujrzałem przez perspektywę stado dzikich świń kairuni, pijących wodę na brzegu jeziora.

Gdym tak patrzył, jakiś gwałtowny ruch tam się zrobił. To potężny kajman, dziwnie czarny, właśnie wychynąwszy się z wody, błyskawicznie swym najeżonym zębiskami pyskiem ucałił ryj jednej ze świń i wciągał ją do wody. Zapierała się wszystkimi racicami jak mogła, ale na nic: gad miał moc nieprzepartą i migiem wciągnął łup pod wodę.

Kilka minut później dopłynęliśmy do miejsca nierównej walki, aleśmy, rzecz prosta, nic już nie zastali krom mocnego zapachu potu czy piżma na brzegu jeziora: taki ślad po sobie pozostawiło przerażenie watahy dzików kairuni.

Myśliwi nasi, codziennie wdzierający się w górę rzeki Maipuri, jeszcze niejednen raz widzieli czarnego kajmana, który wydawał im się groźnym upiorem, nieuchwytnym widmem, wcieleniem złych demonów. Aż pewnego dnia z zadowoleniem opowiedzieli mi o jego śmierci.

Mianowicie kajman wygrzewał się onego dnia w słońcu, na piasku niedaleko brzegu jeziora, a tuż w pobliżu jakiegoś drzewa. W konarach tego drzewa czatował olbrzymi wąż kamudi, który, widząc śpiącą tak blisko gadzinę, a butnie przeceniając swą siłę, rzucił się na kajmana. W

normalnych warunkach wąż uległby i poniósł śmierć, ale tym razem kajman miał pecha: pobliskie drzewo. Wąż, długi na kilkanaście stóp, zaczepił się ogonem o pień drzewa i, zwielokrotniając tym samym swe siły, opasał łącno kajmana i zwojami ciała przydusił go do drzewa.

Na ten widok myśliwi ostrożnie się zbliżyli i pakując w węża kilkanaście strzał, obezwładnili go. Ale gdy odczepili jego ciało od ofiary, okazało się, że i z niej uchodziło już życie. Nietrudno było dobić obydwie bestie.

Myśliwi z dumą i ukontentowaniem przywieźli moc doborowego mięsa na szkuner, bo zarówno kamudi jak kajman uchodziły za wyśmienity smakołyk. Ale radość myśliwych miała jeszcze inszy powód: zabijając takie dwa monstra, człowiek, nie zawsze zwycięski w tej puszczy, zdobywał oto na chwilę przewagę nad bezlitosnym nieprzyjacielem, jakim była niezgłębiona potęga przyrody, budząca nieustanny lęk w ludzkiej duszy.

Co noc przepływało Essequibo kilku naszych Indian i dwie, trzy ' ' Murzynki, by następnie cały dzień z ukrycia śledzić wszystko, co działo się na plantacji Blenheim. Ja natomiast w towarzystwie Fujudiego, Arnaka, Wagury i Murzyna Damiana, który w tych dniach zdołał cichcem uciec z plantacji i przystał do nas na dobre, wnikalem, przyczajony na brzegu puszczy, w tajemnice wsi Borowaj i poznawalem wiodące do niej ścieżki. Nie była to łatwa ani bezpieczna sprawa, bo każdej chwili mogliśmy z nagła natknąć się na ścieżce lub w gąszczu na Karibów, więc nasza piątka uzbrajała się jak na wojnę: w guldynki, luki, noże i mniejsze maczugi, nie zapominając o perspektywie.

Wieś Karibów składała się z około dwudziestu chat, stojących dość blisko siebie na polanie wyciętej z puszczy. Wartki strumień, nie głęboki, przepływał przez polanę tuż wedle ostatnich chałup. Trzy ścieżki, prócz owej głównej, prowadzącej do Blenheim, wychodziło ze wsi i wiodło do małych uprawnych pól, rozsianych wśród okolicznej puszczy. Rano wyruszały na owe pola przeważnie kobiety z dziećmi, podczas gdy mężczyźni pozostawali w obrębie, wsi przy chatach lub opuszczali wieś na wiele godzin lub dni, przepadając w puszczy. Pod wieczór wszyscy, Indianie i Indianki, przeważnie wracali do wsi i pozostawali tam przez noc.

Wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy wsi Borowaj czuli się bardzo bezpiecznie. Słyszałem z wielu źródeł, iż Karibowie, żyjący w niepewnych okolicach, w których otaczały ich nieżyczliwe im szczepy (a gdzie były im życzliwe?), zabezpieczali ścieżki do swych wsi przebiegłym i kaducznie skutecznym podstępem: na ścieżkach w pobliżu swych osiedli zakładali liczne i ledwo widoczne kolce, zaprawione | zabójczą trucizną, a kto nieznajomy do takiej siedziby podchodził, i narażał się na ukłucie i śmierć. Badaliśmy ścieżki do Borowaju w kilku *m* miejscach, nigdzie nie znajdując niebezpiecznych zasieków. Widocznie *f* w tych stronach Karibowie nie spodziewali się wrogów.

Kilkakrotne wycieczki do wsi Borowaj i do plantacji Blenheim osią-). *q* gnęły pożądany skutek. Dowiedzieliśmy się mniej więcej wszystkiego, czego potrzebowaliśmy do uderzenia. Na plantacji Murzyn Wiktor, działając ostrożnie, wciągnął kilku zaufanych niewolników do spisku i

tylko oczekiwał od nas hasła, by wszcząć bunt. Co do osiedla Borowaj, to wyruszając zawsze tą samą piątką, poznaliśmy jego położenie tak dokładnie, że pewni byliśmy wygranej. Raz tylko, co prawda na bardzo krótko, zawisła nad nami groza katastrofy, mianowicie obawa, że tajemnica naszego istnienia w tej okolicy wyjdzie na jaw. Otóż owego dnia krocząc ścieżką w pobliżu Borowaju, wpadliśmy raptem na dwóch Karibów, idących nam naprzeciw. Ujrzyliśmy ich w ostatniej chwili blisko, nie dalej niż o kilkanaście kroków. Na szczęście, na takie spotkanie byliśmy lepiej przygotowani niż oni. Furknęły strzały, ale z naszych luków wypuszczone, i obydwaj przeciwnicy, rzucając, osunęli się na ziemię. Nie zdołali dobyć krzyku, mogącego nas zdradzić innym. Zwłoki, obnażone ze wszystkiego, co miały na sobie, pogrzebaliśmy z dala od ścieżki głęboko w ziemi i tak niebezpieczna przygoda się skończyła... To już dziewiętnastu Karibów poległo.

Gdy nadszedł czas rozstrzygającego działania, zwołałem znów wszystkich na naradę. Zagailem:

–Jeszcze raz chciałbym przemówić wam do sumienia i do zdrowego instynktu. Już wiele dni temu, widząc krzywdę ludzi, uchwaliliśmy uwolnienie na plantacji Blenheim tych niewolników i niewolnice, którzy chcą być uwolnieni. Czy to postanowienie wciąż ważne?

Wszyscy odpowiedzieli, że tak, ważne.

–Ażeby niewolnikom otworzyć drogę do wolności – mówiłem dalej – I musimy wprzód usunąć przeszkodę, stojącą na tej drodze. Musimy

wpierw zlikwidować Borowaj i wytłuc Karibów w tej wsi. Innego sposobu nie widzę.

Wszyscy byli tego samego zdania.

–Którejś następnej nocy my wszyscy, z wyjątkiem trzech, czterech osób pozostawionych na straży szkunera, otoczmy Borowaj ze wszystkich stron, wzniesimy pożar w całej wsi i pozbawimy życia wszystkich mieszkańców, groźnych nam i groźnych uwolnionym niewolnikom...

–Jaką noc wybierzemy do tego, jasną czy ciemną? – zapytał Joki.

–Lepiej jasną, księżycową – odrzekłem. – Leśny gąszcz otacza wieś z trzech stron i osaczając ją zewsząd, nie wyjdziemy spod drzew. Stąd otworzymy ogień do Karibów. Ważne będzie, żeby żywego wojownika nie wypuścić z okrażenia. Dlatego jasna noc lepsza. Liczę na wywołanie paniki i na bezładną ucieczkę Karibów na wszystkie strony.

–Mówisz – odezwał się jeszcze Joki – że puszcza otacza wieś z trzech stron. A z czwartej

strony?

–Czwartą stronę stanowi szeroki strumień, za którym jest dopiero puszcza. Po tej leśnej stronie strumienia zaczają się nasi strzelcy...

Wtem młoda Symara poprosiła o głos i zapytała:

–Mówiłeś, Biały Jaguarze, że pozbawimy życia wszystkich mieszkańców Borowaju, nam groźnych. Kogo masz na myśli, czy także kobiety i dzieci?

–Kobiety tylko te, które rzucą się na nas z bronią w rękę. Mężczyzn wszystkich powyżej czternastu lat...

–A tych poniżej czternastu lat – złowrogo zajazgotał czarownik Arasybo – puścimy cało, żeby za trzy, cztery lata oni nam, Arawakom, podcięli nożem gardła? Żeby łowili Murzynów dla plantatorów i nieustannie zagrażali innym szczepom indiańskim? Tego chcesz, Biały Jaguarze?

Nagle zawrzało we mnie. Wpadłem w srogie oburzenie.

–Tego nie chcę! – odparłem zduszonym głosem. – Ale także i tego nie chcę, żebyśmy mordowali dzieci.

–Czternastoletnie to już nie dzieci! – krzyknął, nie, zawył Arasybo. Oczy mu zaświeciły się jak u rozdrażnionego tygrysa.

Raptownie wszczął się wielki harmider. Wszyscy na szkunerze chcieli przemówić, zaprzeczyć, tłumaczyć, przekładać. Tylko ich czworo nadal siedziało milcząco: Arnak, Wagura, Pedro i Symara.

Powstałem i Symarze poleciłem podać sobie skórę jaguara. Przerzuciwszy ją przez plecy, nakazałem ciszę, a gdy ustała wrzawa, oświadczyłem posępnym głosem, że odchodzę, a wrócę za dziesięć minut po ostateczną odpowiedź:

–Bywajcie, ludzie szczepu Arawaków, słynących dotychczas zawsze

ze szlachetności i wielkodusznych uczuć! – wygarnąłem im. – Dzikość zostawcie innym, gorszym!

Co powiedziawszy, oddaliłem się o kilkanaście kroków na rufę statku i tam siadłem. Stamtąd mogłem wszystko słyszeć, co mówiono.

Oczywiście Arnak, Wagura i Pedro przemówili ludziom do rozumu i wszyscy dali się snadno przekonać, że dzieci do czternastu lat oszczędzimy. Jeszcze przed upływem dziesięciu minut przykuśtykał Arasybo (miał, wiadomo, jedną nogę krótszą) i najserdeczniejszym głosem, na I jaki stać było tego chropowatego brzydala, starał się załagodzić kłopotliwą historię.

Podchodząc podał mi przyjaźnie obydwie ręce:

–Wybacz mi, Janie, Biały Jaguarze. Jestem i zawsze będę... Gdy się zawahał, dokończyłem:

–Wiem! Jesteś moim przyjacielem! I jeszcze dodał:

–Ale wiedz, że i ja chcę być twoim przyjacielem, przyjacielem godne

go Arawaka!

17. Zniszczenie gniazda łowców niewolników

Przez trzy pełne dni trwały przygotowania. Nie tylko sposobiliśmy żywność na zapas, i nie tylko Arasybo zbierał lecznicze zioła i owijacze na rany. Aleśmy oliwili wszelką broń palną (a przypadła jej więcej niżeli po jednej strzelbie na wojownika), przysposabiali tęgą ilość amunicji do owej broni, aleśmy ostrzyli toporki i noże, osobliwie te długie noże do wycinania przejścia przez puszcę, aleśmy zwiększali ilość strzał do luków i zacinali nowe włócznie i oszczepy, a kto miał maczugi i tarcze, przywodził je do porządku.

W planie było, że po pomyślnym zlikwidowaniu wioski Borowaj i spieszonym powrocie do rzeki Esseąiubo, zaraz tego samego poranku, nie zwłócząc ani godziny, załatwimy sprawę plantacji Blenheim: damy niewolnikom hasło do buntu i pomożemy im obezwładnić oraz ukarać tych, którzy znęcali się najwięcej, po czym, wzięwszy plantatora i jego rodzinę do niewoli, a uwolnionych niewolników wyprawivszy na wschód nad rzekę Berbice, obrócimy całą plantację w perzynę.

Na szkunerze wśród Arawaków i reszty panował taki zapal i taka

zawziętość bojowa, że chcieli wszyscy pójść na Borowaj, nikt nie chciał zostać na straży statku. T-ym czterem, wybranym do pozostania na szkunerze, starałem się cokolwiek ukoić żalność, powierzając im ważne zadanie: owej krytycznej nocy, w czasie naszej nieobecności mieli cichcem podpłynąć jabota do rzecznej przystani w Blenheim i po odczepieniu wszystkich znajdujących się tam łodzi zaciągnąć je do naszej szkunerowej kryjówki.

Niestety poza tymi czterema zdrowymi mieliśmy pięcioro tak steranych, że na razie, na kilka dni, nie byli zdolni do jakiegokolwiek wyprawy i musieli pozostać na szkunerze: owych czterech wojowników i jedna kobieta padło ofiarą wampirów, którymi zapługawiona była także i nasza kryjówka w pobliżu ujścia rzeki Maipuri. Nieustanne zagrożenie ze strony skrytobójczego napastnika w postaci wampira czyniło nam ogromne szkody również na duchu: nawet odważniejsi wojownicy ulegali osobliwym strachom i niepokojom, niektórzy bliscy byli jakiegoś obłędu. Widzieli niszczące nas demony – i to było najgroźniejsze. Przeciw złym mocom puszczy nie dawał rady nawet najzuchwalszy wojownik. Myśl o ludzkich wrogach, tych ze skóry i kości, o Karibach, już niosła ulgę.

Więc nadeszła owa brzemienna noc, mająca nam dać zwycięstwo albo zgubę. Jak tylko

ciemności zapadły, nas, przeszło siedemdziesięcioro, przepłynęło na dwóch itaubach i na jednym korialu przez rzekę. Tam, schowawszy łodzie w nabrzeżnych zaroślach, weszliśmy znaną ścieżką w puszcę. Prowadził na czele Arnak ze swą drużyną i Damianem przewodnikiem; za nimi dążyły zastępy Wagury i Jokiego, dalej mój poczet zwiadowców z Arasybem i Miguelem z jego Murzynami i Murzynkami, a pochód zamykał Manduka i jego ośmiu Warraulów. Kobiety Arawaiki szły wszystkie z nami, zaprawione do wojowania nie gorzej niż mężczyźni.

Nie było zupełnie ciemno, na czystym niebie gwiazdy migotały, a gdy przebrnęliśmy lasem milę, wzeszedł miesiąc i przebijał światłem przez gałęzie drzew. Z puszczy, jak to z tropikalnej puszczy, szły do nas donośne odgłosy różnych zwierząt i nie wiadomo, przyjazne to były witania, ostrzeżenia czy groźby. Dokoła nas kumkało, beczało, skoliło, jęczało, chrapało, ach, któż to wyliczy i kto wyzna się na tym wszystkim, co tam w ukrytym gąszczu gwałtownie wypowiedzieć się-chciało!

I jak różny i dziwny hałas był dokoła w puszczy, tak samo dziwne

i sprzeczne nachodziły człowieka myśli. Uczucia słusznego gniewu i konieczności niesienia pomocy uciśnionym Murzynom kazały nam iść na Borowaj i rozprawić się z wrogiem, ale mimo woli odzywał się trzeźwy, ludzki rozum i jakby się zastanawiał, czy to naprawdę dobrze, że szliśmy zabijać? Wiedzieliśmy wszyscy, że to dobrze, a jednak skąd się brało to namolne wahanie?

Rozejrzałem się po ścieżce i stwierdziłem, że nie było w pobliżu Symary, mego ducha opiekuńczego. Okazało się, że kroczyła o kilkanaście kroków za mną w towarzystwie czterech Murzynek, którymi się troskliwie zajmowała. Gdy mnie dogoniła, patrzyłem na nią z podziwem, chociaż mrok panował: kroczyła nago jak my wszyscy, tylko fartuszek keju zakrywał jej srom, za to ileż nosiła broni na sobie: luk ' mniejszy niż normalny, ale jakże zabójczy w mocnym ręku, przewieszony przez jej lewe ramię obok kolczanu pełnego strzał; do pasa przywieszony miała z jednej strony futerał z pistoletem i ładownicą, z drugiej strony pochwę z długim nożem i drugą pochwę z siekierką, na plecach zaś pleciony koszyk surianę z prowiantem.

Jak gdyby to nic nie ważyło, sunęła lekkim krokiem i miło się uśmiechała.

–Nareszcie spełnię swoje zadanie! – odezwała się cichym głosem, poważniejąc.

–Jakie? – szepnąłem.

–Będę ciebie broniła z tyłu. I w ogóle... '

–Ho ho, toś ty jednak taką zagorzałą amazonką? A co znaczy to: w ogóle?

–Przecież wiesz, co mi kazała Lasana.

–Że ją zastąpisz?

–No więc! Że ją zastąpię we wszystkim, we wszystkim, Janie, także jako żona!

–Ale ty, dziecisko, nie jesteś żoną, Lasana jest żoną...

–Jestem jej młodszą siostrą, a to to samo co żona, do wszystkich demonów!

–Nie dogadam się z tobą! – westchnąłem żartobliwie.

–Nie o gadanie chodzi – fuknęła, a tak się dziewczuszka zaperzyła, taki sierdzisty żal trysnął z jej oczu, że mi przykro się zrobiło.

Pomimo, że niosłem na lewym ramieniu dwa muszkiety, chwyciłem ją mocno za włosy i przytulilem do siebie. Chciała mnie szelma ugryźć, ale nie dałem się.

–Widzisz, jaka ty żona? Chcesz kąsać?

–Boś ty zły mąż...

Raptownie wybuchłem może zbyt głośnym śmiechem, nedorzecznym. Owo wesołe igranie wydało mi się nagle na tej ciemnej, leśnej ścieżce tak niesamowite, w tej chwili na krótko przed rozstrzygającą przeprawą tak absurdalne, że mi się aż przeląkł.

–Jeszcze porozmawiamy! – powiedziałem i wróciłem do rzeczywistości.

–Kiedy?

–Jak przyjdzie czas...

Miesiąc wzeszedł wysoko na niebie, stało się jaśniej. Gdy około

północy podchodziliśmy do wioski, wysłałem naprzód zwiadowców. Nic osobliwego nie zauważyli, wieś Borowaj spokojnie spała, czekały tylko psy. Aleć one często czekały, to nic nowego. Gdzie kto ze swoją drużyną miał zająć skraj puszczy, już przedtem uzgodniliśmy. Snadno otoczyliśmy cały Borowaj ze wszystkimi chatami, przeważnie benaba-mi bez ścian. Osiedle nie miało żadnego ogrodzenia, bo nawet strumyk, z jednej strony wioski płynący, był płytki, ledwo do łydek sięgający. Ów zupełny brak jakiegokolwiek zewnętrznej, ochrony należało sobie tłumaczyć jedynie karibską butą, chełpliwą pewnością siebie, że nikt na najbitniej szych wojowników Gujany nie śmie podnieść ręki.

Zabrane w ogniotrwałych pochwach tłące się luczywo spełniło swe zadanie. Rozdmuchane i przyczepione do grotu strzały, sprawnie wystrzelone z łuku, wbijało się w suchy dach chaty i natychmiast powodowało jej pożar. Strzały łącznie sięgały do środka wsi i tam zaczynało się piekło. Przerażeni ludzie wyskakowali na dwór, wojownicy chwyтали za byle broń pod ręką. Od strony puszczy rozległy się pierwsze strzały z guldynów i załopotaly zabójcze strzały z łuków. A wtem zagrmocilo potężnie w wierzchołkach nabrzeżnych drzew: to strzelcy, mający

dalekosiężne muszkiety, z góry walili do wojowników w środku wsi.

Zaskoczenie było zupełne, bezbłędne. Od samego początku popłoch, rozgardiasz, bezhołowie. Wszędzie od strony lasu raziliśmy jak gdyby tysiącem pocisków, puszcza stała się dla Karibów potworem ziejącym zabójczym gradem. A kule rzadko kiedy chybiały: oto plon wielomiesięcznej zaprawy.

Podczas gdy z trzech stron rozprążyła się puszcza, z ziemi i z konarów drzew prażąc ogniem, to czwarta strona, gdzie wieś dosięgała strumyka, była względnie spokojna. Tu czyhali Warraulowie, wzmocnieni

piątką Miguelowych Murzynów, a na lewym skrzydle moją, odwodową drużyną. Dopiero po pewnym czasie, po minucie czy dwóch, Karibowie się spostrzegli, że w tym kierunku panował spokój, i ruszyli biegiem ku strumieniowi. Za późno. Kilka chat stało tu już w płomieniach, oświetlając przedpole. Łatwo było ich wziąć na cel łukiem, a nawet pistoletem. Kobiety bez broni i dzieci przepuszczaliśmy cało, nie nagabywane, i one mogły uciekać w głąb lasu.

Ażeby trzymać Karibów w nieustannej panice i nie dopuścić ich do opanowania się, nasi zaczęli krzyczeć jak gdyby hasło bojowe: – Biały Jaguar! – i gdy ów „Biały Jaguar” zaczął huczeć zewsząd, i od strony puszczy i od potoku, brzmiało to nad wyraz groźnie, wręcz niesamowicie. Jakowyś wyrok śmierci na groźnych wojowników. I tak też było. Co prawda temu i owemu Karibowi w zamęcie udawało się dopaść do Arawaka czy Warraula i dźgnąć go oszczepem na wylot, ale to działo się rzadko i zawsze Karib także przyplacał życiem.

Część młodych i mocnych Karibek zatrzymywano: czynił to Joki i połowa jego drużyny u wschodniego wylotu ze wsi, gdzie była ścieżka do plantacji Blenheim. Prawe ręce owych branek wiązano do wspólnego powroza, te kobiety bowiem przeznaczono do noszenia zdobytej broni. Gdy ich było blisko dwadzieścia, skoczyłem do nich wraz z Fujudim i zapytałem, czy wszystkie są Karibkami.

–Wszystkie! Wszystkie! – posępnie odmruknęły.

–Ja nie! – któraś odpowiedziała głośnie.

Kazałem jej wystąpić z gromady. Okazało się, że była to Araważka znad Pomerunu.

–Jak się tu dostałaś? – spytałem ją po arawasku.

–Porwano mnie...

–Kiedy to było?

–Dwa lata temu.

–Czy chcesz wrócić do domu, nad Pomerun?

–Ależ tak! Tak!

–To stań na uboczu i uważaj, żeby ciebie razem z Karibkami nie wiązano. Czy nie ma was obcych więcej?

Była jeszcze insza cudzoziemka, Makuszi, i ona, uwolniona, przyłączyła się do Araważki. Schwytanym i związanym Karibkom nic nie groziło. Po zanieśieniu nam broni do Blenheim miały zaraz wrócić wolne do miejsca, gdzie dotychczas był Borowaj.

Walka bynajmniej się nie skończyła. Spośród palących się chałup corusz wyskakiwali uzbrojeni Karibowie. Zgraja kilku takich zbitą masą pędząc, wpadła do strumienia: tego się najwięcej obawiałem, gdyż nie sposób było ich wszystkich na raz powstrzymać i zawsze mógł jeden, drugi uciec. Ale na szczęście stał tu niedaleko Manduka z nabitym garłaczem. Grzmotnął w kupe Karibów, gdy byli w pośrodku strumienia, i dał im tęgiego łupnia. Dwóch zaraz legło, trzech rannych zaczęło się miotać obezwładnionych, szósty, nie trafiony, pędził dalej. Niedaleko ubiegł. Przeszyty czyjąś niechybną strzałą, upadł.

Wciąż wybiegających dzieci, a także młodych chłopców, nie zatrzymaliśmy, pędzili obok nas co sił, by dostać się do puszczy. Atoli znalazł się zawzięty młokos, który korzystając z mroku w lesie i z naszej w tym kierunku nieuwagi, wrócił z gąszczu do linii Warraulów, a w łapsku dzierzył niezgorszy drąg. Najbliższego Warraula łupnął w tył głowy. Uderzony tylko jęknął i padł. Wszyscy w pobliżu słyszeli jęk i upadek i widzieli uciekającego chłopaka. Trafiły go w plecy dwie strzały z luków i powaliły na miejscu.

Arasybo i ja podeszliśmy do leżącego na wznak wyrostka i zata-szczywszy go w promień miesiąca, przyjrzelśmy się jego twarzy. Młodzik nie miał więcej niż dziesięć lat.

–Oto masz swoje czternastolatki! – odezwał się okrutnie kpiącym charkotem Arasybo.

Nic nie miałem na usprawiedliwienie, natomiast serdeczny żal mnie ogarnął. Żal i współczucie, że musiał zginąć; to był chłopak-bohater. Uderzony w głowę Warraul wnet przyszedł do siebie.

Symara, jak to ona, młodzikowo zuchwała, zawiadomiwszy Warraulów przebrodziła przez strumień i z tamtej strony zapuściła się na przedpole. Spoza dopalającej się chaty wyskoczył muskularny Karib, ale nie docenił dziewczyny-przeciwnika. Jej szybki strzał z pistoletu powalił go na miejscu.

Wszakże w tej chwili nieco z boku biegł co sił inny Karib, jak gdyby nie zauważony przez Symarę. Miał włócznię w łapie i był już o dziesięć kroków od dziewczyny.

–Symaro! – ostrzegłem. – Z prawej strony!

I równocześnie wzięwszy go na muszkę muszkietu, ściągnąłem cyngiel. Strzał siedział, Karib

upadł, a padając doślizgał się o ledwie trzy kroki od stóp Symary. Padł jak gdyby jej pokłon dawał podczas śmierci.

~ Dziękuję ci, Janie! – zawołała Symara.

–Składają ci hołd ze wszystkich stron! – huknąłem mimo woli rozśmieszony.

–Tylko nie z jednej! – odkrzyknęła dziewczyna z chichotem.

Ostatki wsi dumnych Karibów dogasały. Cios wymierzony był przez nas, ale ręka'była sprawiedliwości.

Podczas gdy Joki wraz ze swą drużyną przygotowywał osiemnaście związanych bronek Karibek do pochodu do Blenheim, cała reszta naszych przeczesywała pole walki w poszukiwaniu żywych albo poległych Karibów tudzież broni po nich i broni naszej. Karibów żywych nie znaleźliśmy, natomiast zebraliśmy ogromną moc wszelkiej broni, którą przeznaczaliśmy przede wszystkim dla niewolników Murzynów.

–Ilu ich padło, Arnak, jak myślisz? – zapytałem.

–Naliczyliśmy ich blisko pięćdziesięciu...

–Więc będzie w tych lasach mniej o pięćdziesięciu łowców niewolników! Czy znaleziono zwłoki tego fircyka Wanjawaja, ich wodza?

–Nie. Podobno nie było go we wsi...

Po skrupulatnym obładowaniu ramion Karibek zdobytą bronią, a było w tym kilka nieliczych muszkietów i kilka guldynek, ruszyliśmy ścieżką, wiodącą do Blenheim. Do świtu mieliśmy jeszcze kilka godzin.

Niestety zwycięstwo w Borowaj okupiliśmy śmiercią czterech wojowników, mając przy tym sześciu rannych.

18. Koniec plantacji Blenheim

Plan zlikwidowania plantacji Blenheim był obmyślony z góry równie sumiennie jak plan zniszczenia wsi Borowaj. Buntu oraz ukarania gardłem najokrutniejszych dozorców i plantacyjnych siepaczy mieli dokonać sami niewolnicy przy pomocy broni, której im dostarczymy. Drużyna Jokiego miała opanować wszystkie drogi prowadzące do stolicy, a więc zablokować ścieżki wiodące z Blenheim na północ oraz odciąć naszymi łódkami wyjście rzeczne: wieści o buncie w Blenheim miały dotrzeć do Nieuw Kijkoveral jak najpóźniej.

Drużyna Wagury miała pomóc Murzynowi Wiktorowi w zorganizowaniu jednostek bojowych wśród niewolników i dopilnować, by akcja buntu rozwijała się prawidłowo. Drużyna Arnaka miała może najtrudniejsze zadanie, mianowicie z palcem na cynglu baczyć, by owych kilkunastu uzbrojonych dozorców-zbirów plantacji nie dopuścić do strzelania, w ogóle nie dopuścić ich do żadnej obrony. Moja drużyna miała pilnować każdego mojego kroku, zwłaszcza wtedy, gdy plantator ra i jego rodzinę będą się starał żywych wyratować z tej burzliwej hecy.

Plantatorzy i ich rodziny wszystkich trzech plantacji byli mi potrzeb- j ni jako zakładnicy, nieodzowna rękojmia w ostatecznym rozrachunku ' z władzami kolonii.

Gdy dotarliśmy do Blenheim, był już jasny dzień, a słońce właśnie wychodziło spoza mgieł widnokręgu. Zastaliśmy plantację w buntowniczym wrzeniu. Nikt nie poszedł do pracy, wszyscy niewolnicy i niewól- ' nice oraz ich dzieci stali na rozległym placu przed dworem plantatora. Byli tak podnieceni i rozjuszeni, że lada iskra, a gotowi rzucić się, tylko w kije uzbrojeni, na dwór.

A tu na obszernej werandzie dworu stała w zwartym, obronnym szeregu straż plantacyjna z osławionym Mulatem Dawidem na czele i stało także siedmiu czy ośmiu równie dobrze uzbrojonych dozorców, ludzi rządcy plantacji, Holendra Cryssena. Cryssen był postrachem wszystkich ludzi nie mniej niż Mulat Dawid. Plantatora ani jego rodziny nigdzie nie' widziałem, widocznie byli w środku dworu.

Całe szczęście, że nasz znajomy i współpiskowiec, Murzyn Wiktor, zdołał utrzymać w korbach wzburzenie niewolniczego tłumu. Najdrobniejsza prowokacja ze strony buntowników spowodowałaby straszny rozlew murzyńskiej krwi i prawdopodobnie pokrzyżowanie planu buntu.

Z wyraźnym westchnieniem Wiktor powitał nasze przybycie i przytaszczenie przez Karibki pokaźnej kupy wszelakiej broni. Około dwieście kroków od dworu broń zrzucono na ziemię, wśród pola trzcinowego, przy czym Joki przekazał osiemnaście pojmanych Karibek pod nadzór Wagury.

–To wszystko zmije! – zachnął się Joki, mówiąc o Karibkach. – Zdradliwe zmije! Ja bym je wytłukł do ostatniej...

Po czym Joki, zwolniony z obowiązku pilnowania bramek, pobiegł do reszty swej drużyny i zaczął wzmacniać dotychczasową blokadę dróg wyjściowych z Blenheim.

Podczas gdy Arnak wślizgiwał się ukradkiem ze swymi doborowymi strzelcami między zbiegowisko niewolników, nie tracąc ani na chwilę kontaktu ze swą drużyną, Wagura pomógł Wiktorowi rozdzielić przyniesioną broń tym Murzyńcom, którzy umieli obchodzić się z nią, zwłaszcza z bronią palną. Część drużyny Wagury doskoczyła do tylnej strony dworu i tam, poskromiwszy czarną służbę dworską, zaczęła podpalać zewnętrzną ścianę gmachu.

Tymczasem z przeciwnej strony, z frontu dworu, Cryssen i cała zbrojna obsługa, jak gdyby nieświadoma rosnącego za sobą niebezpieczeństwa, stojąc na wywyższonej werandzie dworu,

całą swą uwagę kierowała na buntujący się motłoch na dziedzińcu przed dworem. Cryssen wrzeszczał w kierunku niewolników, wytykając im zbrodnię wobec ludzkości i wobec Boga, i grożąc najokrutniejszymi karami, jakie spadną na winnych. Żądał i żądał...

Dziś jego straszliwe zapowiedzi nie przerażały nikogo. Niewolnicy, świadomi obecności Arawaków między sobą, puszczali groźby rządcy mimo ucha.

W pewnej chwili dwóch silnych Murzynów podniosło Wiktora ponad głowy otaczającej ciżby i, o dziwo, Wiktor, gwałtownymi ruchami rąk oraz naj donośniej szy m głosem, na jaki go stać było, nakazał Cryssenowi milczenie. Na tę niesłychaną czelność niewolnika zarządca nie tylko zdębiał, lecz jak gdyby ze wściekłości wszystka krew w nim zawrzała.

– Dawid! – ryknął do stojącego obok siebie kierownika straży plantacyjnej, wskazując ręką na Wiktora. – Ten zbrodniarz oszalał! Zastrzel tego psa! Zastrzel natychmiast!!

Wiktor nie stał od nich dalej niż o czterdzieści kroków i posłuszny Dawid gwałtownie podniósł strzelbę do strzału. Nagle zaharczał i osunął się na podłogę werandy. Gardło miał przestrelone na wylot strzałą z łuku. Rozejrzałem się dokoła siebie. Symary nie było przy mnie.

– W imieniu grona wolności – ciągnął Wiktor dalej tym samym gromkim głosem, a Fujudi naprędce tłumaczył mi jego holenderskie słowa – zawiadamiam, że grono postanowiło ukarać natychmiastową śmiercią wszystkich winnych niehumanitarnego znechęcania się nad niewolnikami na plantacji Blenheim... \

– Na Boga, co się tu dzieje! – wrzasnął Cryssen na cały głos do swych ludzi. – Strzelajcie! Strzelajcie do nich, do stu diabł...

Cryssen nie dokończył słowa, także i jemu w gardło wdarła się strzała i przeszła je na wylot.

Wtem kilku jego łobuzów nie celując wystrzeliło swe strzelby w masę zebranych niewolników, ale niemal równocześnie ugodzeni kulami, walącymi ze wszystkich stron z tłumu, padło na werandzie i dogorywało. Inni z tej halastry chcieli uciec do dworu, by tam się schronić, ale \ nawet nie dotarli do drzwi: runęli, jak piorunem rażeni, trafieni celny-mi pociskami. Prawie w oka mgnieniu leżeli wszyscy na werandzie, niektórzy w ostatnich odruchach. Ochrona zbirów przestała istnieć.

Tymczasem pożar objął już część dworu, dym zaczął buchać z niektórych górnych okien. Kazałem Fujudiemu szybko działać: na czele kilku moich zwiadowców miał skoczyć do dworu wraz z Marią, ową dzielną I Murzynką-niańką, i wyprowadzić z domu całą rodzinę plantatora i jego samego. Fujudi miał równocześnie zapewnić plantatora, że u mnie życiu jego nic nie zagrozi Maria wiedziała, gdzie rodzina mogła się I pochować, i rzeczywiście tam ją odkryto. Gwałtem wyciągana z palącego się domu, zaciekle się broniła, zwłaszcza plantator. Był tak wściekły, że gdy wyprowadzono go wraz z resztą na werandę, z niewymownym wyrazem wstrętu i pogardy splunął Fujudiemu w twarz.

–Wyrznij go w pysk, aż mu się we łbie zakręci! – krzyknąłem. – Łapy mu do tyłu zawiązać!

Fujudiemu tego dwa razy nie mówić: rąbnął plantatora w jeden policzek, rąbnął w drugi, aż tamten się zachwiał. Dwóch zwiadowców doskoczyło, żeby nie wywrócił się, a związawszy mu z tyłu ręce, nałożyło pęta na jego szyję i przywiązało do narożnego słupa, by nie upadł.

Lamentującą żonę jego kazałem zaprowadzić do dworu, gdzie miała zebrać w ciągu trzech minut tyle kosztowności, ile będzie mogła. Do pomocy dałem jej dwóch zwiadowców.

–Wy chcecie mnie okraść! – parsknęła ze złością.

–Głupiaś! – fuknąłem na nią. – Będziecie musieli zacząć nowe życie!

Naglona przez zwiadowców, ostatecznie pobiegła do dworu, a gdy po pewnej chwili wróciła, niosła w woreczku swe skarby.

Pogardliwe splunięcia plantatora w twarz Fujudiego nasunęło widocznie Arasybie myśl dania publicznej nauczki trojgu dzieciom plantatora. Arasybo zapytał mnie, czy byle nianie dzieci mogłyby dać sobie szczupłą odpłatę za wyrządzone im krzywdy.

–Co masz na myśli? – napytałem.

–Zobaczysz!

Wezwał Marię, stojącą w pobliżu, i rozkazał jej, by każdemu z dzieci plantatora wymierzyła policzek nie za mocny, nie za słaby. Maria usłuchała i widać było, że z zadowoleniem wykonała nakaz, zwłaszcza co do dziewięcioletniego zarozumialca. Dzieci, pełne niepohamowanej złości, wszczęły ogromny wrzask, a chłopiec chciał się nawet rzucić na Marię, ale go odepchnięto.

Arasybo przywołał resztę niań i kazał im zrobić to samo, co Maria. Robiły aż nazbyt chętnie. Czwarta z rzędu się załamała i płacząc wołała, że nie ma sił. Na dziedzińcu przed dworem stało jeszcze sporo niewolników, nie wszyscy się rozbiegli, i jedna z Murzynek podbiegła wołając, że wyręczy płaczącą. Arasybo się zgodził. Ale gdy Murzynka uderzyła tak siłą w twarz chłopca, że tenże rąbnął na werandę, wkroczyłem i kres położyłem chłostaniu dzieci. Arnakowi i jego drużynie powierzyłem pieczę nad całą rodziną plantatora Reinata.

Wielu Murzynów, którzy widzieli bezczelność Reinata, plującego w twarz Fujudiemu, było tym tak oburzonych, że nie zważając na Arnaka i jego drużynę, chroniącą rodzinę plantatora, doskoczyło w pewnej chwili do Reinata całą gromadą i odwzajemniając się zaczęło pluć mu z dzikim przejęciem w twarz. Atoli insi Murzyni, mniej zaciekli, przybiegli z pomocą drużynie Arnaka i odepchnęli plujących furiatów. Wołali, że nie wolno tracić czasu na wybryki mściwości i trzeba jak najszybciej uciekać z plantacji. Przeprowadzili swoje.

Dwór dopalał się, z innych zabudowań plantacyjnych strzelały już do góry słupy ognia. Utworzone naprędce przez Wiktora i Damiana oddziały Murzynów zaczęły działać;

zaopatrzonego je na daleką drogę do rzeki Berbice w zapasy prowiantu.

Wtem niedaleko dworu, tam gdzie stało osiemnaście branek Karibek, powstało niezwykle zamieszanie. Ujrzałem Wagurę i kilku jego ludzi pędzących na łeb na szyję w tę stronę. Pomknąłem tam również i ja co tchu, za mną Symara.

Na miejscu zastałem dziwną scenę. Karibki stłoczyły się w jedną kupę i zamierzały widocznie uciekać w stronę Borowaju. Zwarta masa ich ciał powstała dlatego, że kobiety chciały ukryć w zatłoczeniu kogoś, którego tłamsiły i gwałtem ciągnęły ze sobą.

Pierwsi dopadający Arawacy Wagury uderzeniami maczugą dobili się do jądra ciżby i tam odkryli, że Karibki zamierzały uprowadzić ze sobą ową Araważkę, którą ostatniej nocy uwolnił z karibskiej niewoli w Borowaju. Dwie oprawczynie przytrzymały ją siłą i rękoma zatykały jej nos i usta, by nie krzyczała, podczas gdy trzeci babsztyl gwałtownie pchał ją do przodu. Inne Karibki w ścisku zakrywały porwanie Araważki swymi ciałami.

–Chcą Araważkę porwać, by ją potem zabić! – krzyknął Wagura.

Drużynę Wagury poniósł szal. Wszystkie trzy złościce tęgimi uderzeniami maczugą powalono na ziemię; kilku najbliższym Karibkom, two- I rżącym sztuczny tłok, dostało się tęgo po łbach, chociaż nie śmiertelnie. Na pół żywą Araważkę ocucono, a przywołani Wiktor i Damian dostali | wszystkie żywe Karibki na własność. Było ich piętnaście, które poszły 1 do niewoli.

–Gzy mamy je zabrać ze sobą? – zapytał Wiktor niepewnym głosem.

–A jakże! – huknął Wagura. – Bierzcie je, to dzikie suki! Trzymajcie je mocno na uwięzi, inaczej was zdradzą. Do dźwigania ciężarów są dobre!...

Wiktor wahająco spojrział na mnie. Nie odpowiedziałem ani tak, ani nie, jak tylko dwa potępiające słowa:

–To źmije!

19. Plantacja Blyenburg przestała istnieć

Wtedy wszyscyśmy, Murzyni, Arawacy i dwaj biali, Pedro i ja, zamarli w ruchu: od strony rzeki, aczkolwiek ze stłumionej oddali, rozległ się I huk strzału muszkietowego, a po nim następny huk, i jeszcze kilka dalszych. Nie mogła to być drużyna Jokiego, bo ona pilnowała rzeki na I itaubie tuż w pobliżu plantacji Blyenheim, niedaleko nas.

Strzały pochodziły z góry rzeki, od strony plantacji Blyenburg, oddalonej o pięć ponoć mil. Tam też ujrzeliśmy pierwsze kłęby dymu na | widnokręgu, dowód, że w Blyenburgu również wybuchł bunt niewolni- i ków i wzniecono pożar.

Co tchu pobiegliśmy wszyscy nad brzeg Esseąuiba, w tym miejscu wysoki na kilkanaście stóp.

Z zanadrza wyrwałem perspektywę, z którą się w ostatnich dniach nie rozstawałem. Chociaż tamci byli jeszcze daleko, rozpoznałem: z plantacji Blyenburg wypłynęły dwie łodzie koriale, na których dążyło w naszym kierunku niedaleko brzegu rzeki 1 kilkanaście osób; wśród nich niewątpliwie była rodzina mynhera Laurensa Zeegelaara, właściciela plantacji Blyenburg. Tych kilkunastu i wioślarzy, wszystkich tego uzbrojonych, stanowiło niezawodnie sztab I plantacji, to jest zarządcę, dozorców i strażników, i należało przypuszczać, że oni wszyscy uznali za wskazane, by wobec buntu niewolników opuścić na dwóch łodziach czym prędzej plantację i dostać się do stolicy. Widocznie wzdłuż brzegu gonili ich Murzyni, do których strzelano z łodzi.

Arnak i Wagura, po krótkich rzutach oka przez perspektywę, potwierdzili słusność moich spostrzeżeń i w mig zrozumieli niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad nami.

–Gdyby koriale z tymi draniami dostały się do stolicy – parsknął Wagura – krucho byłoby z nami: jutro mielibyśmy tu niezłą pogoń na karku...

–Więc?...

–Więc nie przepuścimy ich.

–Słusznie! – zawolałem. – Róbcie z nimi, co chcecie! Wszystkich należy zgładzić z wyjątkiem plantatora i jego rodziny. Tych musimy mieć żywych i całych...

Wagura z całą swą drużyną oraz z połową drużyny Arnaka miał duchem udać się do miejsca, gdzie ostatniej nocy pozostawiliśmy ukryte na brzegu rzeki itaubę i koriale (drugą itaubę zabrał Joki do pilnowania rzeki w pobliżu Blenheim). Owe trzy uzbrojone łodzie miały zablokować rzekę dwom łodziom z plantacji Blyenburg i przyprzeć je możliwie blisko do brzegu w Blenheim. Tu Arnak i ja mieliśmy nadać sprawie ostateczny koniec.

–Jest przyływ morza i dwa czółna z Blyenburg wiosłują powoli pod prąd – zawiadomilem naszych, patrząc przez perspektywę. – Przybędą tu nie wcześniej niż za godzinę, a w tym czasie ty, Wagura, powinieneś już być tutaj i przyłączyć się ze swymi dwoma łodziami do Jokiego. Unieszkodliwić przede wszystkim sterników, następnie wszystkich z bronią w rękę, chroniąc za wszelką cenę plantatora i jego rodzinę!

–A jeśli plantator będzie miał broń w rękę? – czupurnie zapytał Wagura.

–Do licha! – warknąłem mu w ucho. – Czy daremnie ćwiczyliście się tak długo w strzelaniu? Trafić w jego rękę będzie wam tak trudno?

Wagura miał zagadkowy uśmiech, kiwnął na znak zgody i znikł w zaroślach ze swymi ludźmi. Nie upłynęło i pół godziny, gdy zjawily się i przyłączyły do itauby Jokiego obydwie łodzie Wagury, naładowane doborowym wojownikiem. Rzekę zamknęliśmy na mur. Zresztą wypada nadmienić, że Wagura po drodze podwójnie wzmocnił naszą wartę na głównej ścieżce, wiodącej z plantacji Blenheim do stolicy. Puszcza okoliczna nie była bezpieczna. Włóczyć się w niej

mogły niedobitki ze zniszczonej wsi Borowaj, Karibowie dyszący zemstą. Nie chcąc zaniechać żadnego środka, by zwabić wioślarzy z Blyenburg na nasz brzeg w Blenheim, kazałem kilku Arawakom Arnaka przystroić się w ozdoby karibskie, zdobyte w poprzednich potyczkach. Gdy stanęło tych kilku przebrańców na wysokim brzegu, dumnie patrzących z góry na rzekę, chępliwie noszących biały puch sępa królewskiego na czole i na włosach głowy, a dzierżących w dłoniach swe srogie maczugi i nie mniej groźne muszkiety, widok owych „Karibów”, wiernych przyjaciół Holendrów, napawać musiał uciekinierów z Blyenburg otuchą.

Ci powoli się zbliżali. Widząc trzy łodzie Jokiego i Wagury, pełne wojowników, na środku rzeki, a na wysokim brzegu wśród różnych ludzi także postacie Karibów, trzymali się blisko naszej strony. Fujudi sklecił zawczasu z kory drzewnej potężną trąbę i gdy blyenburgczycy byli już blisko, rozległ się nad rzeką tubalny jego głos trąbowy w języku holenderskim:

**–Rozkaz Białego Jaguara: niech plantator mynher Laurens Zeege-
laar i jego rodzina natychmiast wysiadają na ląd! Biały Jaguar zapew-
nia im życie!**

Po małej chwili osłupienia powstał na obydwóch łodziach rozgwar trudny do opisania. I bezhołowie jak gdyby do żmijowiska wpakowano kij. Nawet ktoś na ich łodzi dał ognia ze strzelby.

–Cisza! – zabrzmiał ponownie gromki głos Fujudiego przez tubę. –

**Drugi i ostatni raz powtarzam rozkaz Białego Jaguara: niech plantator
i jego rodzina od razu wysiadają! Włos nie spadnie im z głowy! Czekamy
dziesięć sekund!**

**Tamci w obydwóch łodziach ani myśleli słuchać: rozum postradali. Jedyne, co im w głowie było, to dostać się jak najszybciej do stolicy. Jeden z nich wymierzył strzelbę w Fujudiego, lecz nie zdążył pociągnąć cyngla: padł przeszyty kulą wystrzeloną z brzegu. Cechą naszych wo- 3
jowników była oprócz celności błyskawiczność działania. Grzmot kilku czy kilkunastu naszych strzałów zlał się jak gdyby w jedną salwę, jedną lawinę. Na ową odległość pięćdziesięciu mniej więcej kroków i może mniej celność była bez pudła, niechybna.**

**–Uwaga! – huknął Fujudi do naszych. – Uwaga na plantatora i jego
rodzinę!!**

**Na szczęście cała rodzina położyła się na spodzie koralu i pociski
nasze, walące w obydwie łodzie z góry, to jest z brzegu, i także z boku, od naszych łodzi na**

rzece, mogły łatwo omijać miejsce, gdzie leżała rodzina plantatora. Likwidacja załóg obydwóch łodzi rozegrała się piorunem, ludzie tam rzeczywiście odchodzili od rozumu. Nawet dwóch obłąkańców chciało rzucić się z nożami na rodzinę plantatora, by ją wymordować. Nie doszło do tego: guldynką Pedry powaliła szaleńca, który zamierzył się na żonę plantatora, a drugiego wariata, chcącego żgnąć jedno z dzieci, przeszła strzała z łuku Symary.

–Widzę – odezwałem się do dziewczyny z uśmiechem – że wciąż dopisuje ci wzrok!

–I wszystko inne, żebyś wiedział! – warknęła ni to żartobliwie, ni gniewnie.

–Powiem o tym Lasanie...

–Powiedz raczej sobie!

Gdy sprawę zbiegów z Blyenburg pomyślnie załatwiono, opiekę nad rodziną plantatora Zeegelaara, składającą się z małżeństwa i dwojga nieletnich dzieci, objął Arnak i jego drużyna.

Coraz gęstsze kłęby dymu nad Blyenburgiem świadczyły, że niewolnicy tejże plantacji niszczyli miejsce swego udręczenia, widocznie paląc wszystko, co można było spalić: plantacja Blyenburg nie miała już istnieć.

20. Niezwykła plantacja Wolwegat

Aczkolwiek ów dzień, pełen groźnej a gorączkowej działalności, nie doszedł południa, to przecież pozostało jeszcze do wykonania ważne i pilne zadanie: należało jak najspieszniej załatwić-trzecią w tym rejonie plantację, Wolwegat, położoną również nad samym Esseąuibo. Jeszcze przyływ szedł wciąż od morza, nam korzystny, toteż Joki i jego drużyna zaczęli na dwóch łodziach szybko wiosłować w górę rzeki ku plantacji Wolwegat, oddalonej o osiem mil od Blenheim.

Równocześnie lądem, utartą ścieżką wzdłuż Esseąuiba, spieszyły na południe do Wolwegat dwa oddziały: cała moja drużyna oraz grupa uzbrojonych Murzynów pod komendą Martina. Arnak ze swoją drużyną i reszta pozostała w Blenheim, by tu pilnować porządku i jeńców-zakładników.

Wolwegat nie było dużą plantacją, zatrudniało około stu niewolników. Sytuację zastaliśmy nieco podobną do tej, jaka początkowo istniała w Blenheim: i tu także dozorczy także straż plantacyjna, razem ich blisko dziesięciu, stali na werandzie z bronią w ręku, by chronić dwór, podczas gdy podniecony, choć niemy tłum niewolników zalegał dziedziniec przed dworem. Plantatora ani jego rodziny nie spostrzegłem, widocznie chowali się wewnątrz gmachu. Uderzyło mnie, że wśród niewolników wielu zastaliśmy Indian, czego nie było na innych plantacjach.

Do Wolwegat dotarliśmy jednocześnie, my lądem, a Joki rzeką na łodziach. Joki nie próżnował: ledwo wylądowała jego drużyna, już chciała się rzucić na tył dworu i go podpalić.

Gromko ich od tego powstrzymałem.

Odmienność plantacji Wolwegat polegała także na tym, że tu dozorczy i straż nie byli zbyt wojowniczego ducha. Gdy ujrzeli nas, wpadających ze strzelbami między tłum niewolników, wyraźnie był widoczny ich niepokój.

–Natychmiast rzucić wszelką broń na podłogę werandy i poddać się!

–zawołał Fujudi do nich po holendersku. – O waszym dalszym losie

zdecyduje sąd niewolników w Wolwegat...

Na to jeden z dozorców dostał bzika, gwałtownie podniósł swoją strzelbę do oka i chciał wariat grzmotnąć do Fujudiego. O, doskonały plonie naszych ćwiczeń nad Orinokiem! Dwa strzały równocześnie, niby jeden, wstrząsnęły powietrzem i niedoszły zabójca konając osunął się na podłogę werandy.

Fujudi nie potrzebował już nikogo przynaglać: tamci zaczęli rzucać przed siebie broń nie tylko palną, lecz także noże i kordelasy, i cofnęli się o kilka kroków.

Plantacja Wolwegat była jakaś odmienna, była rzeczywiście inna. Poleciwszy Pedrze i dwom zwiadowcom wyszukanie i przyprowadzenie I plantatora i jego rodziny (nazywał się Carl Ridderbock), zapytałem się i Murzyna Martina, co zrobić ze służbą plantacji: z wyjątkiem tego jednego pomyłonego cymbała poddała się bez sprzeciwu i teraz nie J sposób było jej zabijać z zimną krwią. Martin, a również i Joki, byli tak samo w kłopotach.

–Jedyną odpowiedź-rzekłem do przyjaciół-mogą tu dać tylko sami; niewolnicy w Wolwegat. Oni niech rozstrzygną!

–Tak – potwierdzili Martin, Fujudi i Joki – oni niech powiedzą!

–Ja bylbym innego zdania! – odezwał się czarownik Arasybo, nasrożywszy zgryźliwie swą facjatę. – To są siepacze Murzynów, dlatego nosili strzelby; ja bym ich zakatrupił, bo na to zasłużyli! Ale znamy ciebie, Biały Jaguarze, że ty tego nie lubisz. Więc dobrze, niech sami niewolnicy tej plantacji rozstrzygną...

Martin, nie zwłócząc, natychmiast zwołał kilku poważniejszych niewolników, i odszedłszy nieco na bok, zaczęliśmy ich wypytywać gorliwie, nawet ostro. Do licha, to była rzeczywiście dziwna plantacja! Niewolnicy nie mieli nic złego do powiedzenia przeciw swym plantacyjnym zwierzchnikom; nie było tu znęcania, tak okrutnego na innych plantacjach. Nie zamęczano tu ludzi, nie torturowano jak gdzie indziej. Owszem, żądano tu pracy, ale nie ponad siły,

zwłaszcza nie morzono ludzi głodem, lecz należyście karmiono.

–Tych ośmiu dozorców i strażników nie rozstrzelamy! Plantację oszczędzimy! – przesądziłem sprawę i wszyscy się zgodzili, nawet surowy Arasybo.

Wtem Pedro i dwaj zwiadowcy, po znalezieniu plantatora i jego rodziny, ukrytych w zakamarkach dworu, przyprowadzili ich na werandę budynku. Rodzina składała się, poza mynherem Ridderbockiem, z czworga osób: dwóch dorosłych kobiet, jednej starszej, żony plantatora, i drugiej młodszej, około dwudziestoletniej, oraz z dwojga dzieci.

–A któż jest ta młodsza osoba? Czy to bliższa rodzina plantatora? – zapytałem ich poprzez Fujudiego.

–Nie! – brzmiała odpowiedź. – To guwernantka.

–Czy jakaś krewna lub powinowata rodziny plantatora?

–Nie, to tylko guwernantka i wychowawczynie dzieci plantatora.

–Jak jej na imię?

–Monika.

Patrzałem na nią, jak na fenomen. Była to Holenderka tak samo jak

wielu innych wśród plantatorów Gujany, ale jakże inna w subtelnym, przedziwnie ludzkim wyrazie twarzy. Tamci, nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, a często nawet ich nieletnie dzieci, mieli w swych rysach przeważnie coś twardego, groźnie władczego, więcej, coś bezlitosnego, ba, w jakowyś sposób okrutnego; a tu, u owej Moniki, nic podobnego, jakże wszystko inne: twarz miała łagodną, oczy dobrocią przepelnione, i była ładna, wyraźnie ładna. W tej holenderskiej Gujanie tylem napatrzył się ohydnych rzeczy, tylum Holendrom spoglądał w złe oczy, bezlitosne, drapieżne, że ta niezwykła Monika wydała mi się pochodząca z jakiejś innej krainy, z innego, lepszego świata.

–Fujudi, do stu piorunów! – zawołałem. – Czy ona, ta Monika, jest naprawdę Holenderką?

Fujudi poszwargotał z plantatorem, także z samą Moniką i oświadczył, że tak: to rodowita Holenderką.

Przywołałem Pedrę, a znając jego wewnętrzną kulturę i szlachetne usposobienie, poleciłem jego szczególnej opiece miłą dziewczynę, będącą zresztą w jego wieku.

–Mam wrażenie – oświadczyłem do Pedra – że to dobry człowiek. Z plantatorską halastrą mało ma wspólnego...

–Mnie się też tak zdaje! – powiedział Pedro.

Plantacja Wolwegat była rzeczywiście dziwna, a jej właściciel, myn-her Redderbock, wyglądał na mniej brutalnego niż inni holenderscy plantatorzy, z którymi dotychczas się stykałem. I jego dozorczy musieli być jacyś lepsi. W każdym razie cztery piąte niewolników zamierzało dalej pracować na plantacji, a tylko jedna piąta, dwadzieścioro, chciała pod komendą Martina przedrzeć się przez puszcę, by dotrzeć do wolnych Dżuków nad rzekę Berbice.

Po krótkim uzgodnieniu spraw z przyjaciółmi przygotowałem się do rozmowy z plantatorem, jego rodziną i grupą ośmiu dozorców i strażników.

–Idąc na rękę większości niewolników w Wolwegat -oświadczyłem

–zgadzamy się na ich prośbę, by nie zgotować tutejszej plantacji losu

dwóch sąsiednich: tu plantacja nie będzie zburzona, a obsługa jej nie

poniesie kary śmierci. Ale aż do odwołania nikomu nie wolno opuścić

Wolwegat. Plantacja pozostanie przez pewien czas przymusowym obo-

zem, a patrole krążące dookoła niej zabiją każdego, kto oddali się od niej.

Na życzenie większości niewolników mynher Ridderbock oraz jego

żona mają zostać w Wolwegat, natomiast jako zakładników zabierzemy

ze sobą jego dwoje dzieci, którym jako opiekunkę przydzielamy Holen-

derkę Monikę. Włos nie spadnie im z głowy z naszej winy, chyba że

z winy plantatora lub władz kolonialnych w stolicy...

Na to żona plantatora wybuchła płaczliwym sprzeciwem, ale uciszył ją ostrym słowem. Dając znak Jokiemu, żeby kazał zebrać wszelką broń rzuconą na podłogę werandy przez dozorców i strażników plantacyjnych, zmierzyłem plantatora i dozorców ponurym wzrokiem i rąbnąłem na nich złym głosem:

–Dowiedziałem się, że plantacja Wolwegat od pewnego czasu więzi

jako niewolników przeszło dwudziestu wolnych do niedawna Indian

i Indianek, porwanych przemocą ze szczepu Makuszi. Czy to prawda?

Pytanie zbędne, bo to była oczywista prawda. Plantator Ridderbock nie mógł temu zaprzeczyć i milczał jak zmieszany tępak.

–Czy to prawda? – powtórzyłem podniesionym głosem. –

–Prawda! – mruknął plantator bliski załamania.

Wtedy z pomocą chciał mu przyjść zarządca plantacji i zajazgotał tonem niemal gniewnym, opryskliwym, jak ktoś, kogo niesłusznie się obwinia:

–Myśmy ich legalnie nabyli, rzetelnie za nich zapłacili!

–Oho, a od kogo nabyliście?

–Od Karibów...

–Od Karibów, notorycznych bandytów i łowców niewinnych Indian? Jak się pan nazywa?

–Van Peere i jestem zarządcą plantacji Wolwegat. Wszyscy kupują jeńców od Karibów! – dodał Holender chępliwie.

–Kto więcej przyczynił się do kupna tych Makuszi, plantator Ridderbock czy pan?

–Ja mynhera Ridderbocka namówilem! – odrzekł van Peere nieledwie butnie, taki był pewny siebie.

–Ja, Biały Jaguar, jestem przyjacielem i opiekunem wszystkich prawych Indian. Uwalniam owych Makuszi, natomiast pan, van Peere, pójdzie jako jeńiec nad rzekę Berbice do dyspozycji tamtejszych Dżu-ków!

Krzyki, sprzeciwy, oburzanie się nic nie pomogły. Dwóch Arawaków chwyciło van Peera za ręce i wygiąwszy je do tyłu, mocno związało. Z życzliwym mi Martinem umówilem się, że zabierze van Peera ze sobą jako jeńca nad rzekę Berbice, i tam odda właściwym ludziom. Zabierze również pod swą komendę owych dwadzieścioro niewolników i niewolnic, którzy nie chcieli pozostać w Wolwegat.

Jeńcom Makuszom, uwolnionym przez nas, daliśmy broń i amunicję, odebraną służbie plantacyjnej, i zaopatrzonym w dwie dobre łodzie, kazaliśmy im jak najszybciej wracać na południe do swej ojczyzny nad rzekę Burro-Burro, na sawannach Rupununi. Resztę łodzi z Wolwegat przywłaszczyliśmy sobie, a pożegnawszy się z plantatorem Ridderbockiem i jego żoną i zapewniwszy ich jeszcze raz o bezpieczeństwie ich dzieci i guwernantki Moniki, ruszyliśmy czym prędzej w stronę Blenheim. Tu wszystko zastaliśmy w porządku: kilkuset uwolnionych Murzynów, zaopatrzonych należycie w prowiant i co niemal ważniejsze, w liczną broń, już gotowych było do odejścia na wschód nad rzekę Berbice pod zwierzchnictwem Martina. Pożegnaliśmy ich serdecznie, widzieliśmy, jak ochotnie odchodzili w radości ku

nowemu życiu.

Już o dobre dwie godziny słońce przechyliło się na stronę zachodnią. Był wielki czas, byśmy zniknęli z okolicy. Zgliszcza dwóch plantacji pozostały jako groźni świadkowie złej, nieludzkiej polityki kolonialnej Holendrów w Gujanie.

Naszemu pięciu białym jeńcom-zakładnikom, tym dorosłym, a więc dwóm plantatorom, ich żonom i Monice, zawiązaliśmy w dalszej podróży rzecznej oczy, ażeby nie wiedzieli, gdzie nasza kryjówka nadrzeczna w pobliżu byłej plantacji Blenheim. W tej kryjówce przetrwaliśmy aż do zapadnięcia nocy, po czym naszą własną i zdobytą flotyllą łodziową przepłynęliśmy na drugą stronę Esseąuiba, tam gdzie w ukryciu stał nasz poczciwy szkuner.

Dopiero po przybyciu na miejsce i po umieszczeniu jeńców-zakładników w obszernej kajucie odwiązano im chusty z oczu.

Poleciewszy im czterem, Arnakowi, Wagurze, Jokiemu i Pedrze, pilnowanie jeńców jak oka w głowie i wystawienie szczególnie czujnych wart dookoła szkunera, rzuciłem się na hamak i po przeszło dwudziestoczterogodzinnym okrutnym napięciu nerwów zasnąłem prawie natychmiast snem kamiennym. Pilnowała mego snu Symara.

21. „Pilnować ich jak oka w głowie!”

Zbudziłem się po kilkunastu godzinach snu, znakomicie wypoczęty. Zdrowy organizm szybko przyszedł do siebie. Symara dała mi coś pożywczego do jedzenia, a Arnak zdał sprawę, że nic szczególnego nie zaszło. Nie pojawiły się na rzece żadne łodzie ze stolicy, jak gdyby nie doszła tam jeszcze wieść o zagładzie dwóch plantacji i karibskiej wsi Borowaj. Musiało rzeźnię spadać w czasie mego snu, bo wielkie żagle rozpostarto dla ochrony nad szkunierem.

–Jak zakładnicy nasi? – spytałem Arnaka.

–Ponieważ nie wolno im wychodzić z kajuty, wbudowaliśmy im mały ustęp, który wypróżniamy co dwie, trzy godziny.

–Świetnie.

Wyjrzałem poprzez listowie na rzekę, lecz żadnego nie spostrzegłem

na niej ruchu. Dzień szedł ku wieczorowi, leśne ptaki odzywały się różnorodnym chórem. Ludzi żadnych. Natomiast gdy skierowałem perspektywę na południe, tam, o trzy, cztery mile od nas, ogromna ilość czarnych sępów zataczała w powietrzu koła nad miejscem, gdzie była plantacja Blenheim. Sępy wypatrywały zwłok tam leżących, by je pożreć.

Ów spokój narzece Esseąuibo, ptaki, a osobliwie papugi przelatujące niewielkimi stadami z jednego brzegu na drugi, czasem zaś wśród nich majestatyczne ary, królowe papug, działały na mnie jak dobroczynny lek. Nieśmiało, niemalże lękliwie, nawiedzały mnie chwilami nastroje

sielankowe, jak gdyby chciały zatrzeć gorzkie wspomnienia rozlewu krwi i gwałtów w ostatnich kilkudziesięciu godzinach. Po burzliwym deszczu wyszło popołudniowe słońce spoza chmur i wносиło w przeciwny brzeg rzeki wiele ponętnych barw. Otrząsnąłem się z czegoś, co było gorzkie.

Przywołałem do siebie moich najbliższych i zapowiedziałem, że dziś jeszcze, za jasnego dnia, będę musiał przeprowadzić zasadniczą rozmowę, coś w rodzaju uroczystej odprawy czy może nawet sądu – z naszymi jeńcami-zakładnikami. Ma się to odbyć nieco teatralnie w obecności nas wszystkich (z wyjątkiem rozstawionej straży), w pełni uzbrojenia, ja siedzący w mundurze kapitana. Za mną ustawi się mój uzbrojony sztab, także Symara, a naprzeciw nas stać będzie owych dwóch plantatorów, natomiast ich kobiety i dzieci niech siedzą.

Jak tylko to usłyszała Symara, przyniosła mi ów kapitański mundur, ale Jeszczem go nie przyoblekł, gdy zbliżył się do mnie Wagura z miną wielce zatroskaną.

–Co tobie? – zawołałem. – Żabęś żywą połknął?

–Janie! – rzekł smętnie Wagura. – Muszę ci powiedzieć coś, co mnie bardzo dręczy...

–A niech to szlag! – wybuchłem. – Czy żona ci uciekła, ta cacy Makuszi?

–Nie, Janie, ona nie ucieknie, ale o nią tu chodzi...

–Więc gadaj że!

•- Wszyscy wiemy, jak ważne jest, żeby to miejsce, gdzie się ukrywamy, pozostało ścisłą tajemnicą...

–Oczywiście!

–Ta nieszczęsna ciemiega moja wygadała się. Miała starszą siostrę, jedną z niewolnic Makuszi na plantacji Wolwegat, i gdy się rozstawały, wypaplała siostrze tajemnicę naszej kryjówki... Bardzo mi przykro!

Rzecz głupia, ale chyba nie katastrofalna. Wyśmiałem zmartwienie Wagury: owa siostra razem z innymi uwolnionymi Indianami Makuszi odplynęła Esseąibem daleko na południe, ku sawanom Rupununi, i w tej chwili zapewne była już oddalona od plantacji Wolwegat o czterdzieści, pięćdziesiąt mil. Więc chyba żadnej nie było obawy, by ktoś niepowołany mógł od niej dowiedzieć się o naszej kryjówce.

–Uspokój się! – poklepałem Wagurę po plecach. – To sprawa nieważna. Ale inna rzecz mnie zaciekawia: przecież wy dwoje znacie się zaledwie tydzień, ty Arawak, ona Makuszi, więc jak się porozumiewacie?

–To lebska dziewczyna: codziennie uczy się co najmniej dwudziestu wyrazów arawaskich...

Zanim wywołaliśmy holenderskich jeńców z kajuty na pokład szkunera, gdzie miała się odbyć rozmowa, kazalem wszystkie żagle rozciągnąć przy burcie od strony rzeki, ażeby Holendrzy jej nie dostrzegli poprzez listowie nadbrzeżnych drzew.

Więc zajęliśmy miejsca: ja siedząc, a za mną stojąc w jednym szeregu cała moja gromada: Arnak, Wagura, Joki, Manduka, Miguel, Pedro i Arasybo, a wedle mego boku wierciła się Symara. Natomiast Fujudi, jako tłumacz, stał tuż przy mnie.

Gdy owych pięcioro dorosłych i siedmioro dzieci wyszło na pokład, dwaj plantatorzy, Henrik Reinat z Blenheim i Laurens Zeegelaar z Blyenburgu zdziwili się nieprzyjemnie, że oni mieli stać, a ich kobiety i dzieci mogły siedzieć na pokładzie.

–My też stoimy! – wskazał Fujudi na siebie i na szereg kolegów.

–Zwołałem państwa – rozpocząłem – żeby wam wytłumaczyć szereg spraw, was dotyczących. Więc przede wszystkim: wy dwanaścioro jesteście naszymi więźniami-zakładnikami i włos wam z głowy nie spadnie, jeśli nie dopuścicie się najdrobniejszej choćby zdrady i jeśli holenderskim władzom kolonialnym w stolicy będzie zależało na waszym życiu...

Henrik Reinat, brutal niepohamowany i okrutny pyszałek, rozpienił się ze złości.

–Protestuję przeciw gwałtowi! – ryczał niemal nieprzytomny. – Łajdaku, zapłacisz za to stryczkiem!

–Być może, ale przedtem wy wszyscy zginiecie jako zakładnicy!

–Szubrawcze! Jestem wolnym obywatelem...

–Mynher Reinat! Jeszcze jedno obelżywe wyzwisko, a spadnie na pana kara chłosty jak na niegrzeczного chłopca...

–Łotrze, śmiesz mi jeszcze grozić?! Ty... – zachłystywał się.

Nie było innej rady, jak przywołać Miguela i zarządzić, żeby swemu najsilniejszemu towarzyszowi Murzynowi kazał wymierzyć hardemu plantatorowi siarczysty policzek.

Kilka sekund później nastąpiło kłaśnięcie i Reinat prawie się wywró- j cił. Zajęczała jego żona. Reinat ucichł.

–Chcę rozmawiać z wami jak z ludźmi kulturalnymi i odpowiedzialnymi za siebie – mówiłem dalej – i dlatego będziemy musieli poznać swe życiorysy. Mynher Laurens Zeegelaar, gdzie i kiedy się pan urodził?

–W Amsterdamie, w 1693.

Miał zatem 35 lat. Ojciec był kupcem, syn Laurens nauki pobierał wyłącznie u ojca, czyli nie w

żadnej szkole, do Gujany wysłany przez ojca celem założenia plantacji trzciny cukrowej.

Henrik Reinat miał około czterdziestu lat, tak samo bez jakiegokolwiek wykształcenia, kulturalnych potrzeb żadnych, natomiast chciwe nastawienie na szybkie zdobycie majątku z uprawy trzciny cukrowej przy wyciśnięciu wszystkich sił roboczych z niewolników. Zasadą jego było niedokarmianie ich, za to popędzanie do harówki batem, terrorem i torturami.

–Wszystkie systemy kolonialne – stwierdziłem – są do potępienia,-
ale wasz, holenderski system kolonialny, jest najbardziej koszmarny,
antyhumaniczny; opiera się na przeraźliwym, bezlitosnym wyzysku sił nie-
wolnika, po czym tenże po dwóch latach musi ginąć jak chory pies, jak
lachman nieużyteczny...

Reinat tymczasem przyszedł do siebie i słysząc moje słowa, niepoprawny arogant parsknął wrogim głosem:

–Co... panu... daje prawo do krytykowania nas?

–To, że jestem jako wykształcony człowiek do głębi oburzony tym, I co się dzieje w Gujanie holenderskiej...

–Kim pan jest? Skąd pan pochodzi? – zapytał Zeegelaar już znacznie j grzeczniejszym głosem.

–Pochodzę z Wirginii, jestem Anglikiem o znacznej domieszce krwi i słowiańskiej, polskiej. W Wirginii, stolicy Jamestown, pobrałem dzięki I rodzicom najlepsze wykształcenie, jakie można było tam pobrać, i zdo- I byłem dostateczny zasób wiedzy, by móc krytycznie oceniać sprawy tego świata.

–A dlaczego pan jest tak niesprawiedliwy? – zaczął mnie Reinat] prowokacyjnie.

–Niesprawiedliwy? Ja? – omal nie wybuchłem śmiechem.

–Tak, niesprawiedliwy! – powtórzył Reinat. – Nas dwóch i nasze rodziny pan uwięził jako zakładników, jak sam powiada, a Carla Rid-derbocka i jego żonę z plantacji Wolwegat laskawie pan oszczędził. Jakaś zdumiewająca bezstronność! – zakończył ironicznie.

–To nie ja decydowałem, kto inny rozstrzygał! – odrzekłem.

–Kto taki?

–Niewolnicy plantacyjni.

–Nie rozumiem.

–Wiem, że trudno pan, mynher Reinat, to zrozumie. Jedno pytanie: czy przypomina pan sobie tych nieszczęsnych zbiegów z pańskiej plantacji sprzed trzech tygodni, wkrótce złapanych przez Karibów i z pańskiego polecenia wysłanych do stolicy dla okrutnego ukarania ich śmiercią wśród tortur?

–Przypominam sobie – odrzekł Reinat lekkim tonem. – To i co z tego?

–Oczywiście postarał się pan, że wieść o tej egzekucji dotarła do wszystkich niewolników pańskiej plantacji dla odstraszenia.

–Ależ tak, naturalnie! I co z tego?

–Tu popełnił pan psychologiczny błąd, fatalny dla pana i jego plan tacji...

–Nie rozumiem!

–Czy, do cholery, nie widzi pan, co się dzieje w waszej okrutnej kolonii? Że niemal wszędzie niewolnicy buntują się na bestialskie katusze, zadawane im na holenderskich plantacjach? Ze buntują się nad dolną Berbice i nad rzeką Wiruni, i nad Wikki, i nad Demerara, i tu nad Esseąuibo? Że po prostu cały kraj tam, gdzie istnieją potworne plantacje holenderskie, jest podminowany? Tego pan nie widzi w swym niemądrym zadufaniu? Przecież owego dnia, gdy wybuchł bunt na plantacji Blenheim, przede wszystkim pan i cała pana rodzina, nie wykluczając owych trojga dzieci, mieliście iść pierwsi pod mściwy nóż buntowników, i byście poszli, gdyby nie nasza, Arawaków, energiczna interwencja. Już pan o tym zapomniał, krótkowzroczny mynherze Reinat?

–A co was, panowie Arawacy, skłoniło do takiej wielkoduszności, żeby nas ratować?

–Wojenne warunki. Potrzebujemy was jako zakładników, przeciw ewentualnym głupim psikusom władz holenderskich w stolicy.

–No, dobrze. Ale wracajmy do Ridderbocka i jego żony w Wolwegat.

Dlaczego nie zniszczyliście jego plantacji i dlaczego nie ma jego ani jego żony tu między nami, jeńcami?

–Kategoryczna korekta! – sprzeciwiłem się. – Nie my niszczyliśmy wasze plantacje, lecz wasi niewolnicy i wasza bestialska, anty ludzka polityka wobec nich. A co do Wolwegat? Nie zrozumie tego rodzaj mentalności, jaka cechuje was dwóch, Reinata Zeegelaara, i wasze rodziny. Otóż niewolnicy Murzyni na plantacji Wolwegat sami nie. chcieli, by plantacja poszła z dymem; miała dalej istnieć; co więcej, cztery piąte niewolników postanowiło tam dalej pracować jak dotychczas i nadal pod Carlem Ridderbockiem jako właścicielem plantacji. Dlatego mynhera Ridderbocka i jego żony nie ma między wami, plantacyjnymi bankrutami...

–Ale jest jego dwoje dzieci i jest ich guwernantka.

–Są tu jego dzieci jako rękojmia, że plantacja Wolwegat zachowa wobec nas, Arawaków, ścisłą neutralność, a poza tym nie będzie w przyszłości popełniała błędu kupowania od Karibów niewolników indiańskich.

–No, a ta guwernantka?

–Panna Monika van Eys jest przede wszystkim w dalszym ciągu wychowawczynią i opiekunką dwojga dzieci Ridderbocka, a jeśli tak losy pokierują, że wasze dzieci pozostaną dłuższy czas między nami, poproszę ją, żeby opiekowała się także waszymi dziećmi i wychowywała je na uczciwych ludzi...

Na to zerwała się burza protestów ze strony obydwóch plantatorów i ich żon, a gdy się uciszyła, Reinat zapytał z kwaśną miną:

–Jak długo chcecie nas trzymać tu w tych skandalicznych warunkach?

–Jak najkrócej. Za dwa, trzy dni zamierzamy opuścić to miejsce i udać się do siebie nad Orinoko, po drodze składając wizytę waszemu dyrektorowi generalnemu w stolicy, Carlowi Emiliusowi Henrikowi van Cheusesowi, który jak słyszałem, przeżywa przykre dni: jego plantację podobno diabli wzięli i niewolnicy ją spalili...

Holendrzy przyjęli tę wiadomość z powątpiewaniem, ale jednak zmarkotnieli, stracili na minie.

–To za dwa, trzy dni pan zwolni nas w stolicy? – zapytał Zeegelaar.

–Niestety nie! Pojedziecie z nami nad Orinoko. Tam przybędą posłannicy z kolonii holenderskiej i im oddamy was, oczywiście, jeśli władze holenderskie zechcą zaopiekować się wami.

Nastąpiło u nich bardzo smutne milczenie; były to niezachęcające widoki. Powoli niepokój zaczął rzeczywiście wgryzać się w ich mózgi i serca.

Zeegelaar, który zdawał się spokojniejszej natury i rozumniejszy niż Reinat, pokiwał smutnie głową.

–Jeszcze raz zadaję pytanie – odezwał się – kim pan jest? Jak pan, Wirginijczyk, znalazł się w Ameryce Południowej?

–Byłem na statku, który podczas burzy rozbił się u północnych wybrzeży Wenezueli. Jako rozbitek dostałem się na bezludną wyspę. Po pewnym czasie spotkałem Arawaków, najpierw dwóch, potem znacznie więcej, polubiłem ich szlachetną naturę, a gdy dotarliśmy do Orinoka, byłem już prawie pół-Arawakiem. Stałem się dzięki nim przyjacielem prawie wszystkich Indian i ich obrońcą...

–Przepraszam! Czy my, Holendrzy, względem pana w czymś zawiniłiśmy?

–Ogromnie! Horrendalnie!

–Ogromnie? Horrendalnie?

–Nie można było gorzej! Cała ohyda waszego systemu kolonialnego wyszła na jaw i skierowała się przeciw nam, to jest przeciw Arawakom nad Orinokiem, przeciw tamtejszym Warraulom, no, i tym samym przeciw mnie osobiście.

–Jak to mogło się dzieć?

–Mynher Zeegelaar, ani nie żyje pan na księżycu, ani, nie jest w wieku swego kilkuletniego syna! Od paru już pokoleń dwa najbardziej wojownicze i drapieżne szczepy w Gujanie, Akawoje i Karibowie, za waszym, Holendrów, poduszczeniem i w waszym interesie, wyposażone przez was w broń, urządzają rabunkowe wyprawy na inne szczepy indiańskie, by zdobyć dla was, Holendrów, niewolników. Ofiarą padają szczepy przeważnie mniej wojownicze i żyjące dalej, w głębi kontynentu. Taka zbójcka wataha Akawojów, przez was namówiona, kilka miesięcy temu chciała nałowić (lub wytłuc w razie oporu) Indian nad dolnym Orinokiem, ale tym razem kosa trafiła na kamień. My, Arawacy, byliśmy uzbrojeni i gotowi do odporu, więc Akawoje rzucili się na Warraulów, naszych sąsiadów. Ale napastnikom pośliznęła się noga i niemal wszystkich wycięliśmy w pień, a było ich około stu. Tylko niewielu, czterem czy pięciu, darowaliśmy życie. Panowie Zeegelaar i Reinat, o tej waszej klęsce holenderskiej nic nie słyszeliście?!

–Owszem, owszem! Doszło coś do naszych uszu! – odrzekł Zeegelaar.

–To była jakaś dziwna klęska! Nie chciano z początku wierzyć...

–A czy uwierzycie, że zbrodnicza wieś Karibów Borowaj, wasza niedawna sojuszniczka, przestała istnieć przedwczorajszej nocy, krótko przed zagładą waszych plantacji?

Nastąpiło głuche milczenie. Wzbierał w nich obezwładniający niepokój. Coś nie mogło się pomieścić w ich prostackich lepetynach.

–Panie, kto ty jesteś? – wymamrotał Zeegelaar.

–Przecież już powiedziałem! – odrzekłem na wpół rozbawiony. – Wirginijczyk, który stał się pół-Arawakiem, jest przyjacielem prawie wszystkich Indian, a wrogiem wszystkich lotrów, lajdaków i bestii w ludzkim ciele!...

Obydwaj Holenjirzy zaczęli truchleć.

–Panie, czy ty może owo widmo, nazwane przez Indian Białym Jaguarem?

–A diabli wiedzą! Może jam i widmo! Ale nomina odiosa sunt, jak mawiali starożytni Rzymianie.

Wkrótce słońce zbliżyło się do wierzchołków drzew puszczy. Zakończyliśmy rozmowę, zakładników wprowadzono znowu do kajuty, zamknięto ją na klucz, a zanim kobiety dały nam wieczerzę, wszystkich ich, Arnaka, Wagurę, Jokiego, Mandukę, Fujudiego i Symarę, wszystkich drogich przyjaciół zwarłem w jeden ścisły krąg i rzekłem z naciskiem, wskazując na kajutę:

–Pilnować ich jak oka w głowie!

I dla dodania tej sprawie wagi powiedziałem jeszcze raz:

–Nie spuszczać z nich ani na chwilę oka!...

22. Jeszcze raz Karibowie

Przez dwa dni trwały przygotowania do wyjazdu najpierw do stolicy, a następnie do, naszej siedziby nad dolnym Orinokiem, a wśród tych przygotowań doniosła rola przypadła broni: oliwiono ją, uzupełniano, naprawiano. Czekala mnie jeszcze uciążliwa przeprawa z władzami kolonii holenderskiej w stolicy, ale był to już tylko ostatni wysiłek przed powrotem nad Orinoko.

A ataki wampirów nie ustawały. Napastnicze potworki wciąż żądały ofiar i wciąż kilku wojowników leżało jak ściętych pomorem w swych hamakach. Można było oszaleć. Rodziły się nastroje niemalże oblędu i by je skutecznie zwalczać, trzeba było naszych wszystkich sił i moc zaciętości. Była to bezwzględna i bezustanna walka z zabójczym duchem puszczy, w której głębi rodziły się demony tak nam niebezpieczne. Trzeciego dnia po rozmowie z plantatorami z nastaniem ciemności wcześniej zasnąłem, lecz tylko na krótko: ktoś ostrożnie zaczął mnie budzić. Był to jeden z wartowników.

–Jakaś obca łódź z nieznanymi ludźmi krąży koło nas... – szepnął.

W oka mgnieniu wytrzeźwiałem, wybijając się ze snu. Noc zdawała

się bardzo ciemna, chociaż na niebie tu i ówdzie świeciły mglisto gwiazdy. Gdy oczy przyzwyczailem do ciemności, rzeczywiście ujrzałem na rzece w odległości kilkunastu kroków dużą łódź korial czy itaubę, pełną wioślarzy. Jakiś przytłumiony głos kobiecy odezwał się stamtąd, jak gdyby wołając kogoś po imieniu, i nagła myśl strzeliła mi do głowy.

–Szybko przywołaj tu – tchnąłem w ucho wartownika – Wagurę

i jego żonę Makuszi!

Przybiegli obydwój, ona coś cicho zawołała do łodzi, stamtąd przyszła natychmiast odpowiedź.

–To jej siostra! – wyjaśnił Wagura. – To łódź z Indianami Makuszi.

Łódź podpłynęła do burty szkunera, wiosłarze Makuszi pozostali

w łodzi z wyjątkiem jednego z nich, władającego jako tako arawaskim. Jego i szwagierkę Wagury wciągnęliśmy na nasz pokład.

Przywieźli ważną wiadomość. Gdy partia dwudziestu Indian i Indianek Makuszi, przez nas uwolniona na plantacji Wolwegat, oddaliła się na swych dwóch łodziach od plantacji o przeszło dwa dni drogi, ku swemu przerażeniu ujrzała przed wieczorem daleko na rzece płynącą naprzeciw sobie flotyllę z trzech koriałów się składającą. Indianie Makuszi szybko czmychnęli między gęstwinię, nie zauważeni przez nadpływających.

Okazało się, że to było blisko pięćdziesięciu powiązanych jeńców Makuszi, strzeżonych przez około dwudziestu wojowników Karibów.

Był wtedy już wieczór, a gdy wkrótce nastąpiła noc, jedna z itaub Makuszków, na której znajdowała się siostra żony Wagury, postanowiła zawrócić i w ciemnościach wyprzedzić rabunkową flotyllę Karibów. Więc płynęła ile sił we wiosłach przez całą noc, przez cały następny dzień i początek dzisiejszej nocy, aż oto dotarła do szkunera i zawiadomiła nas o flotylli Karibów.

–Chyba nie ma dwóch zdań – odezwałem się do moich zbudzonych przyjaciół – że musimy oswobodzić owych jeńców Makuszi...

Wszyscy, od Arnaka do Symary, tak samo sądzili. Jokiemu i jego drużynie przypadł obowiązek pozostania na szkunerze i pilnowania tu porządku, podczas gdy my, cała reszta, na trzech itaubach i dwóch małych jabotach ruszyliśmy w górę Esseąuiba. Niezależnie od strzelb, oszczepów i maczug, wszyscyśmy mieli łuki i wiele strzał.

Płynąc w górę rzeki i bacząc, żeby Karibowie nie minęli nas niepostrzeżeni, dotarliśmy po trzech godzinach wiosłowania do plantacji Wolwegat. Było krótko po północy, niebo zachmurzone, ciemności gęste. Domysły nas nie zawiodły: Karibowie przyплыnęli tu krótko przed nami, prawdopodobnie w godzinach wieczornych.

Zatrzymaliśmy się na rzece o przeszło sto kroków od brzegu i wysłali obydwie jaboty na przespiegi. Wszystkie trzy koriale, należące do Karibów, a przycumowane do brzegu, okazały się puste. Nawet straży na nich nie było. Karibowie nocowali na lądzie, a jeńców Makuszi zapewne zamknęli w tej samej szopie, w której trzymano poprzednio owych dwudziestu Makuszi, uwolnionych przez nas przed kilku dniami.

Przede wszystkim należało cichcem opanować trzy koriale Karibów i odciągnąć je w inne

miejsce. Więc posyłając dwie itauby z drużynami Arnaka i Wagury na brzeg poniżej plantacji, by drużyny określną drogą dostały się w pobliże szopy z Indianami Makuszi i tam zajęły ukryte pozycje, sam ze swoją drużyną i z Warraulami Manduki postanowiłem zagarnąć koriale Karibów.

Podpłynęliśmy tuż pod te łodzie, luki trzymając napięte, a dwóch Warraulów z jaboty wsunęło się do wody i nożami odcinało powrozy cumujące koriale. Po chwili dopięli swego, i wielkie łodzie zaczęły powoli oddalać się od brzegu.

Niestety! Strażnik był, stał dotychczas na samym brzegu, wśród zarośli. Widząc odpływające łodzie, zamaszystym skokiem dostał się na najbliższy korial i uchwycił wiosło. Kilka strzał wypuszczonych równocześnie z naszej itauby, trafiło go w serce i w szyję, że nie wydał nawet jęku.

Jeden z Warraulów wyrzucił zwłoki do wody i zajął się odprowadzeniem koriali w bezpieczne miejsce.

Zachowując wszelką czujność, powoli zbliżaliśmy się do brzegu, gdzie przed chwilą stały koriale Karibów, i ostrożnie, ze strzałami na cięciwach, wyszliśmy powoli na brzeg. Trzeba było cztery kroki wspiąć się w górę. Nie wznosząc głowy zbyt wysoko ponad ową skarpe nad brzegiem, ogarnęliśmy stamtąd wzrokiem większą część plantacji. O sto kroków od nas majaczyła ledwo widzialna plama szopy, w której domyślaliśmy się szopy Makuszów. A w pośrodku, lecz nieco z boku, wznosił się gaj, składający się z kilkunastu niezbyt wysokich drzew. Przeczuwaliśmy, że pod tymi drzewami obozowali Karibowie.

Rozciągnięci wzdłuż skarpy na przestrzeni kilkudziesięciu kroków, jeden od drugiego o dwa, trzy kroki, uzbrojeni w cierpliwość, postanowiliśmy tak czekać do świtu. Niepokoila mnie jedna niepewność: czy Karibowie rzeczywiście obozowali w owym gaiku niewielkich drzew, a nie gdzie indziej? Na szczęście w ciągu godziny to się wyjaśniło do pewnego stopnia.

–Tam się coś rusza! – szepnął przyczajony obok mnie Manduka, swym spojrzeniem wskazując na gaj.

Mnie się wydawało to samo, i w istocie spośród drzew gaju wyłoniła się postać, idąca w naszym kierunku, ku rzece. Był to Karib.

–Strzelić w serce i w szyję jednocześnie! – szeptem ostrzegłem moich sąsiadów. – Dopuszczać na piętnaście, dziesięć kroków!...

Gdy Karib się przybliżył, najwyraźniej zaspany, z czterech luków furkrięły cztery strzały i wszystkie trafiły w samo sedno: dwie przeszły serce, dwie krtań. Karib legł bez wydania głosu. Pochwały godna precyzyjność.

Zbudziły się we mnie pewne wątpliwości, gdy sobie uświadomiłem, że do przypuszczalnego

miejsca karibskiego obozu przylegała gęsta puszcza. Nikt z naszych dotychczas jej nie pilnował. Karibowie, w razie ich przedwczesnego zaalarmowania, mogliby ująć do owej gęstwiny, a wymykając się spod naszej kontroli, tym samym stać się dla nas wysoce niebezpiecznym przeciwnikiem.

Na tę możliwość zwróciłem uwagę Manduki i kazałem mu drogą okrężną przedostać się do Arnaka i Wagury, zaczajonych gdzieś w pobliżu szopy z Indianami Makuszi – i przekazać im moje polecenie: obsadzić jedną drużyną gęstwiny w zapleczu karibskiego obozu.

–A zaraz wracaj! – upomniałem Mandukę. – Zbudzeni Karibowie rzucają się na pewno w naszą stronę, by dopaść do rzeki i swych koriali. Tu będziesz mi potrzebny!

–Rozumiem!

Gdy w pół godziny później wrócił Manduka nad rzekę, oznajmił, że tam, z drugiej strony, wszystko wykonane: drużyna Arnaka obsadziła gęszcz za obozem Karibów.

Wobec napiętej sytuacji lada nieprzewidziany drobniak mógł wywołać niespodziankę, brzemieną w skutki. I tak też się stało tej nocy, a raczej pod koniec nocy, już w półmroku przedświt. Mianowicie któryś z Karibów przebudził się – jak mi później zdawano sprawę – i chcąc iść z potrzebą, opuścił swój obóz w kierunku gęstwiny. Nagle dostrzegł tu obcych ludzi i aczkolwiek od razu został przeszyty strzałami, zdołał ostatkiem sił krzyknąć i ostrzec swych towarzyszy.

Natychmiast wywiązała się w półmroku gęsta strzelanina z jednej i z drugiej strony: najpierw szły strzały z luków, ale zaraz potem huknęły strzelby. Gdy Karibowie usłyszeli także od strony zabudowań plantacyjnych ogień drużyny Wagury, mając już straty, uznali za wskazane, by czym prędzej się wycofać z gaiku i pędzić na gwałt ku rzece, w kierunku swych koriali, a mej drużyny.

Przedświt panował wciąż pełen mroku, mimo to już dało się odróżnić biegnące ku nam postacie. Było ich około dziesięciu. Po prostu pędzący nadziewali się na nasze łuki i rury.

–Pozwólcie im przybliżyć się! – zawołałem w ostatniej chwili do
mojej drużyny. – Strzelać z bliska, na pewniaka!

Strzały, które wypuszczone z luków znad skarpy przeszyły powietrze, tudzież strzelby, które zniosły się hukiem, spełniły zadanie nad rzeką. Wszyscy legli, niektórzy co prawda ciężko ranieni i dogorywający. Zakończyło się całkowitą klęską Karibów.

Wtem z drugiej strony pobojuwiska, gdzie był gaik owych niedużych drzew i gdzie gęstwina, doszły nas niezwykle wołania, powstał tam zatrważający rozgwar. Jakby mi nóż wrażono w serce: czy należycie jam zrozumiał ich słowa? Arnak ciężko ranny?! Skrzyknąłem Arasyba i kilku innych i co sił popędziliśmy w stronę hałasu. Leżał biedak blady jak widmo, prawy bok

miął przeszyty na wylot kulą, mocno krwawił. Był chyba nieprzytomny, powieki miał zamknięte.

–Arnaku kochany! Druhu najbliższy! Młodzieńcze szlachetny! Indianinie rycerski!...
Przyjacielu! Przyjacielu!...

Arasybo rzucił się do niego jak szalony. Zaczął go macać i dusić, miał w torbie tajemnicze zielska, wsadził je w obydwie dziury, wlotową i wylotową. Krwawienie jakby ustało. Inni przygotowali nosze. Wszyscyśmy go kochali jak brata, wszyscy.

Drużyna jego w czasie walki poniosła straty: jednego mu zabito, dwóch odniosło rany, nie ciężkie co prawda.

Po obmacaniu całego ciała Arnaka i przyjrzeniu się jego ranom Arasybo podniósł ku mnie wzrok i jak to on, prychnął zawzięcie i chrapliwie:

–Będzie żył!

Wierzyliśmy mu, bośmy chcieli wierzyć.

Jeńców Makuszów wypuściliśmy ze szopy, dali im trzy karibskie koriale i całą broń, jaką mieli zabici Karibowie, i wyprawili ich Esse-ąuibem na południe.

Pedro skrupulatnie zebrał ze zwłok Karibów wszelkie ich szczepowe ozdoby, a szczególnie znamienny biały puch sępa królewskiego, strojący czoła wojowników.

Pierwotnie zamierzałem zgromić plantatora Ridderbocka za udzielenie gościny rabusiom karibskim na swej plantacji, ale on wytłumaczył mi, że oni bez jego zgody przemocą weszli na teren Wolwegatu, by tu przenocować. Więc dałem plantatorowi spokój.

–Jak się miewają dzieci nasze? – z niepokojem zapytał Ridderbock. – Błagam pana!...

–Monika dba o nie jak rodzona matka. Proszę być spokojnym...

Była wciąż wczesna godzina poranna. W drodze powrotnej do naszej

głównej kryjówki, gdzie stał szkuner, potajemnie schowaliśmy się z naszymi łodziami w przygodnej zatoce w pobliżu byłej plantacji Blenheim. Tu w cieniu drzew ułożyliśmy Arnaka, który odzyskał przytomność, a niestrudzony Arasybo rozesłał połowę naszych drużyn do puszczy, by zbierały dla niego pewne określone zioła, potrzebne dla Arnaka. Nigdyśmy chyba tak żarliwie nie przetrząsali gujańskiej puszczy jak wtedy, szukając życiodajnego eliksiru.

Siostra żony Wagury, owa dzielna dziewczyna, zawiadamiająca nas o zbliżaniu się Karibów, nie odplynęła na południe wraz z innymi Makuszami, lecz pozostała z nami.

Była to młoda, pojętna Indianka, której dobrze patrzyło z oczu.

–Dlaczego z nami płyniesz? – spytałem jej. – My wkrótce wrócimy na północ, nad Orinoko...

–Ja z wami chcę pozostać! Arnak jest samotny i potrzebuje wyjątkowej opieki. Taką opieką go otoczę, wtedy wyzdrowieje...

Spojrzałem jej badawczo w oczy.

–Czy on ci bliski? – spytałem.

–O, tak, panie! Bliski! – odpowiedziała z wielką tkliwością w oczach.

–Biały Jaguarze, on mi jest bardzo bliski! Ja go wyleczę.

–Jak ci na imię?

–Hajami!

–Dobrze, Hajami! Bądź mu bliska i przywróć mu zdrowie! Pomagaj Arasybowi!...

Gdy noc zapadła, wypłynęliśmy z doraźnej kryjówki i po godzinie wiosłowania dotarliśmy do miejsca, gdzie stał wśród nabrzeżnej gęstwiny nasz szkuner.

Wszystko zastaliśmy w porządku.

Jeszcze tej samej nocy, przed północą, wysłałem na jabcie dwóch najbystrzejszych zwiadowców, by zbadali, czy nasza pierwsza kryjówka w pobliżu stolicy, gdzie utajona zatoczka wśród leśnej gęstwiny dawała tak dobre schronienie – była nadal bezpiecznym dla nas miejscem.

23. Znowu w jaskini lwa

Wcześnie następnej nocy, w dwie godziny po zapadnięciu ciemności, dwaj zwiadowcy wrócili z korzystną wiadomością, że w zatoce w pobliżu stolicy nic się nie zmieniło, nikt obcy tam nie zaglądał. Więc będąc zawczasu już przygotowani do wypłynięcia, natychmiast odcumowaliśmy szkuner i wyciągnęli go na pełną rzekę. Był odpływ morza, szedł w dół rzeki silny prąd, bystro sunęliśmy wśród ciemnej nocy razem z naszymi itaubami i dwoma jabortami.

Grubo przed świtem dopłynęliśmy do celu. Na rzece leżała mgła. Szczęśliwie wtargnęliśmy ze szkunerem do środka zatoczki, otoczonej tu dziką gęstwiną ze wszystkich stron.

Kilka godzin przedtem, w połowie nocy, w czasie splywania na Esse-ąubie, zaszło przykre zdarzenie. Plantator Reinat, człek zapalczywy, a butny, słysząc niezwykle ruch na szkunerze i czując lekkie kołysanie, zaczął w kabine ryczeć wniebogłosy, by zdradzić obcym ludziom naszą obecność na rzece. Kazałem go wyprowadzić na pokład i pokazałem mu, że jego podstępny wysiłek na nic się nie zda w głuchej nocy. Oświadczyłem mu, że za karę będzie miał zatkanie usta przez dwadzieścia cztery godziny; następnym razem nastąpi większa kara. Uległ

przemocy i uspokoił się.

–Jestem w tym kraju jak gdyby na stopie wojennej! – wyjaśniłem. –

Niebawem to się zmieni...

Przez następny dzień odpoczywaliśmy na statku lub w pobliskiej kniei i zabiegali dookoła Arnaka, który mając organizm młody i silny, czuł się nieco lepiej, a gorączka mu zelżała. Byliśmy dobrej myśli. †

Późnym popołudniem zaczęliśmy przygotowywać się do wycieczki do biura dyrektora generalnego w Nieuw Kijkoveral. Postanowiliśmy opuścić szkuner w nocy mniej więcej trzy godziny przed świtem, ażeby do stolicy dojść razem ze wschodem słońca, i to dojść od tyłu, od strony puszczy.

W tej wycieczce udział wziąć miały trzy drużyny, moja, Wagury oraz Jokiego, ta ostatnia postępując tuż za nami w odwodzie i ukrywając się w czasie naszej akcji na skraju puszczy. Gmach dyrektora generalnego stał zaledwie kilkadziesiąt kroków od gęstwiny.

Przedwieczorne przygotowania nasze polegały nie tylko na przygotowaniu większej niż zwykle ilości broni, lecz przede wszystkim na tym, że w każdej z trzech drużyn co trzeci wojownik miał się przebrać za Kariba, ażeby w razie zbrojnego starcia tym fortelem zmylić uwagę przeciwnika.

Tego wieczoru wcześniej spoczęliśmy, a gdy nadszedł czas, warty nas zbudziły. Kto miał uchościć za Kariba, szybko się ozdobił, głównie puchem sępa królewskiego przyklepionym do czoła oraz białymi pasami bawelnianymi, którymi obwiązywano nogi poniżej kolan i powyżej kostek. Ażebyśmy zaś mogli odróżnić naszych „Karibów” od ewentualnych prawdziwych, nasi odznaczali się brakiem białego pasma nad kostką prawej nogi.

Znaną nam z poprzedniego tu pobytu ścieżką kroczyliśmy gęsiego przez puszcę, następnie weszliśmy na szerszą ścieżkę, wiodącą z dalekiego południa do stolicy w równoległym kierunku do rzeki Essequibo. Stamtąd mieliśmy do stolicy blisko cztery mile, któreśmy, nie spiesząc się, przebyli w niespełna dwóch godzinach. Świtało, gdy dotarliśmy do brzegu puszczy naprzeciwko domu dyrektora generalnego.

Okolo dwieście pięćdziesiąt kroków na zachód od domu dyrektora generalnego, a więc po naszej lewej ręce, stały wojskowe koszary miejskiego garnizonu, gdzie krzątało się i kręciło dwudziestu kilku żołnierzy. Na nich musieliśmy mieć baczne oko.

–Więc jeszcze raz przypomnę! – odezwałem się półgłosem do Wagury

i Jokiego, ubierając się w mundur angielskiego kapitana.

–Joki z drużyną zostanie tu pod drzewami jako nasz odwód i będzie śledził całą okolicę, mając

przede wszystkim na oku żołnierzy tam po lewej stronie. Strzelania unikać za każdą cenę, chyba że dam wyraźny rozkaz. Za chwilę drużyna moja i Wagury pójdą do domu dyrektora, przy czym obydwie drużyny pozostaną na zewnątrz budynku, mianowicie Wagura będzie pilnował tylnej strony domu, moja drużyna frontowej strony. Drużyny wpuszczają będą każdego przybysza do gmachu (chyba z wyjątkiem jakiegoś zbrojnego oddziału wojska), natomiast nikogo nie wypuszczają, nikogo, ażeby dyrektor nie mógł wzywać pomocy wojska. Do środka gmachu wejdę tylko ja w towarzystwie Fujudiego i Symary. W razie potrzeby wyślę do was Symarę z moimi rozkazami...

Przestrzeń między skrajem puszczy a gmachem porastały różne tropikalne zielska miejscami dość gęsto, że trzeba nam było się przedzierać. Ale roślinność ta, nie wyżej sięgająca niż do piersi człowieka, nie utrudniała widzenia z brzegu puszczy tego, co się działo dookoła domu dyrektora.

–Róbcie wrażenie znudzonej, przypadkowej bandy Indian! – dałem ostatnią radę Wagurze oraz mojej drużynie, wchodząc głównym wejściem do gmachu.

Godziny urzędowe już się zaczęły. Pisarczykowi w przedpokoju poleciłem, ażeby mnie, Johna Bobera, zameldował sekretarzowi dyrektora. Znowu trwało sporo czasu, zanim sekretarz nas, to jest mnie, Fujudiego i Symarę, kazał wpuścić do siebie. Widocznie musiano się naradzić. Sekretarz miał wciąż rumianą twarz i te same jakby martwe oczy pod okularami. Ale tym razem przywitał mnie z cierpkim, złowrogim zdumieniem.

–Nie spodziewałem się waszmości! – mówił po angielsku, a niechętny wyraz nie schodził mu z twarzy coraz bledszej. – Dalibóg, nie spodziewałem się przybycia waszmości...

–Jak to możliwe? – teraz ja się zdziwiłem. – Przecież jasno zapowiedziałem, że powrócę, ażeby od jego ekscelencji dyrektora van Cheusesa dostać odpowiedź na pismo gubernatora w Caracas. Dlatego tu jestem!

–Nie będzie odpowiedzi! – odrzekł twardym głosem sekretarz.

Spodziewałem się czegoś podobnego, a jednak wpadłem w osłupienie.

— Nie będzie odpowiedzi?! – powtórzyłem. – Jak to mam rozumieć?

–Po prostu: dosłownie. Jego ekscelencja van Cheuses nie miał czasu!...

Zaczerpnałem głęboko powietrza w płuca, by nie stracić spokoju i nie popełnić żadnego uchybienia. Powiedziałem:

–Chciałem prosić o osobistą rozmowę z jego ekscelencją dyrektorem.

–To niemożliwe! – odparł sekretarz. – Jego ekscelencji nie ma w stolicy...

–Co, znów go nie ma?

–Nie ma, padnie Bober...

–A mynher Henrik Snyderhans jest przynajmniej?

–Jest.

Wtem drzwi do biura wicedyrektora Snyderhansa gwałtownie się otworzyły i on aam wpadł do pokoju, w którym byliśmy. Z sekretarzem wdał się w podnieconą rozmowę, prowadzoną półgłosem po holender-sku.

–Czy to waszmości Indianie, ci którzy stoją na dworze? – zapytał mnie sekretarz.

–Ależ tak, to moi przyjaciele.

–Przyjaciele? To bandyci. Zatrzymali naszego posłańca!

–Widocznie posłaniec miał złe zamiary. Miał złe zamiary, prawda? Chciał złych ludzi tu sprowadzić, prawda?

Snyderhans, nagle pieniący się ze złości, uderzył pięścią w stół i wrzasnął:

–Dość tej zabawy! To bezprawie! To terror, za który stryczkiem

odpowiadać będziecie...

Stracił panowanie nad sobą. Tak się rozjątrzył, że błyskawicznie otworzył szufladę biurka i wyrwał stamtąd pistolet.

Rozległ się strzał. Strzeliła Symara ze swego pistoletu. Trafiła w kurek broni Snyderhansa i w ręce mu go roztrzaskała. Nastąpiła grobowa cisza. Symara napięła łuk i wymierzyła w pierś Snyderhansa.

Rozejrzałem się po komnacie. Pod oknem stał fotel. Poprosiłem Fujudiego, żeby mi go przysunął do biurka. Siadłem i wskazałem Snyderhan-sowi ręką, by również usiadł. Siadł. Prawie minuta upłynęła w zupełnej ciszy. Wtedy się odezwałem:

–Byłbym waszmościom bardzo wdzięczny, gdybyśmy mogli przejść do ostatecznej, rozsądnej, a przede wszystkim kulturalnej rozmowy...

–Kulturalnej!?! – szyderczo zaśmiał się Snyderhans.

–To prawda: nie wszystkim udaje się kulturalna rozmowa. Ale spróbujmy: bądźcie na chwilę kulturalni i zapomnijcie o waszych kłopo

tach na plantacjach, o buntach dręczonych przez was niewolników, o swoim antyludzkim okrucieństwie. Bądźcie, proszę, na chwilę normalnymi ludźmi i pomyślmy o naszych sąsiedzkich sprawach...

Obydwom Holendrom ponuro z oczu patrzyło, ale widok pistoletu, leżącego na biurku z roztrzaskanym kurkiem, jak gdyby trzymał ich na uwięzi.

–Więc ośmielam się – ciągnąłem swe wyj aśnienie – j jeszcze raz prosić dyrektora generalnego van Cheusesa o pisemną odpowiedź na pismo gubernatora w Caracas, a mianowicie proszę o uznanie całego dorzecza rzeki Orinoko za bezsporną posiadłość hiszpańską oraz o zapewnienie, że Holendrzy już nigdy nie wyślą rabunkowych wypraw po indiańskiego niewolnika na teren hiszpański.

–A jeśli jego ekscelencja van Cheuses nie zechce wystawić takiego pisma?

–To będzie na waszym terenie stale wojna: będą ginęli Karibowie i Akawoje, będą pożary holenderskich plantacji, będą częstsze bunty murzyńskich niewolników, spotęgują się bunty niewolników nad rzekami Cottica, Demerara, Esseąuibo, Berbice, Wiruni, będą ginęli Holendrzy i Holenderki...

–A jeśli dyrektor van Cheuses nie zechce wystawić takiego pisma? – powtórzył Snyderhans zawzięcie.

–To, być może, narazi na śmierć, a przynajmniej na długoletnie kłopoty i niewolę hiszpańską dwanaścioro holenderskich jeńców-zakładników...

–Kto to? Co to za ludzie? Jacy jeńcy? Co za brednie? – zapytał z wrogim zdziwieniem Snyderhans.

–To Holendrzy z trzech zbuntowanych plantacji nad Esseąuibo. Ludzie, którychśmy obronili przed zemstą zbuntowanych niewolników, biorąc ich pod swą opiekę jako naszych jeńców...

–Gdzie oni, do pioruna? – przerwał moje słowa Snyderhans.

–W bezpiecznym miejscu, gdzie na razie nic im nie grozi.

–Kto to jest? – odezwał się sekretarz. – Czy może waszmość podać nam ich nazwiska?

–Ależ oczywiście! To mynher Henrik Reinat, były plantator w Blenheim, oraz jego żona i ich troje dzieci; to mynher Laurens Zeegelaar, były plantator w Blyenburg, oraz jego żona i dwoje dzieci; to panna Monika van Eys, guwernantka, oraz dwoje dzieci plantatora Carla Ridderbocka w Wolwegat...

Sekretarz przechylił się do Snyderhansa i szeptem coś mówił, jak gdyby potwierdzając moją wiadomość. Następnie obydwaj spojrzeli na mnie spode łba.

–I co z nimi będzie? – spytał szorstko Snyderhans.

–Będą czekać – odpowiedziałem – na swe wyzwolenie na wyspie Kaiiwa niedaleko ujścia Orinoka, gdzie władcą jest Oronapi, naczelny wódz Warraulów. Holenderscy jeńcy-zakładnicy będą tam jego gośćmi do czasu, gdy ktoś po nich przybędzie od dyrektora generalnego van Cheusesa i jednocześnie przywiezie jego pisemną odpowiedź na pismo gubernatora w Caracas.

–A jeśli jego ekscelencja van Cheuses nie zechce dać tej pisemnej odpowiedzi? – z upartym zacietrzewieniem powtórzył Snyderhans.

–No, trudno! Mówiłem już: dorośli Holendrzy pozostaną na stałe jako zakładnicy Hiszpanów, dzieci zaś prawdopodobnie pójdą do hiszpańskiego klasztoru na wychowanie... Oczekujemy zatem waszmości odpowiedzi na wyspie Kaiiwie w ciągu trzech miesięcy od dnia dzisiejszego...

–A jaką mamy pewność, że wy dotrzymacie przyrzeczenia?

–Rozumiem! – odrzekłem i wstałem uważając rokowania za zakończone. – Rozumiem, że wam, waszmościom Holendrom, w głowie się przewraca i kręci od kłopotów, w jakie na skutek waszej okrutnej polityki i krótkowzroczności wpadliście. Więc nie dziwno mi, że nie wiecie, z kim macie do czynienia...

–Wiemy, właśnie, że wiemy! – odwarknął zajadły Snyderhans.

–Jeśli wiecie, to po kie licho waszmości niepewność co do naszego dotrzymania przyrzeczeń? A czy wiecie także, że będziecie musieli groby przygotować dla waszych żołnierzy, jeśli ich zaraz za nami pošlecie?

Nic więcej nie mówiąc, lekko się ukloniłem i opuściliśmy komnatę. Nie upłynęło i pół minuty, gdy zarówno drużyna moja, jak Wagury dotarła do skraju puszczy i wszystkie trzy drużyny zaczęły pędem się wycofywać główną ścieżką, prowadzącą od stolicy na południe. Ja w biegu ścigałem niewygodny mundur kapitański i części jego rzucałem Symarze.

Okolo trzy czwarte mili od miasteczka dochodziła do tej ścieżki inna ścieżyna, węższa, i przypuszczaliśmy, że jeśli zarządzono za nami pogoń, to chyba tą dróżką. I nie pomyliliśmy się. Wojowników naszych ukryłem w kilku miejscach wzdłuż owej dróżki, a gdy zaczęli skradać się ku nam ociężałą falangą żołdacy, ponoć szumowiny najęte z zachodniej Europy, nietrudną mieliśmy przeprawę. Najpierw skradała się czołówka, składająca się z kilku żołnierzy, a kilkadziesiąt kroków za nią szła trochę większa grupa.

Gdy daliśmy im siarczystego ognia z różnych stron, niewielu z owego pościgu umknęło ze zdrową skórą do stolicy. Znów szczery podziw dla bojowej sprawności naszych drużyn. Między padłymi był ich dowódca, porucznik w pięknym mundurze. Zebraliśmy porzuconą broń, a Joki wyprosił sobie mundur owego porucznika.

Kilka mil dalej, w miejscu, gdzie od głównej ścieżki odchodziła tajna dróżka do naszej

zatoczki ze szkunerem, ukryłem aż do nocy drużynę Wagury, ale nikt już nam nie zakłócał spokoju.

Dość, dość już miałem rozlewu krwi. Opuścić jak najszybciej ową krainę wielu wód i olbrzymich puszczy, piękną krainę, a jakże przepojoną okrucieństwem holenderskich panów i niewolą ich niewolników! Ujść z owego łęgowiska ludzkiej chciwości i koszmarne bezprawia kolonialnego stawało się koniecznością rozumu, serca i duszy!

W dwie godziny po zachodzie słońca, wśród ciemności pod zachmurzonym niebem zaczął się odpływ morza. Coraz silniejszy prąd wynosił nasz statek i przycumowane doń łodzie jak gdyby z więzienia.

Przez półtora dnia dążyliśmy w dół Esseąuiby. Nikt nam drogi nie zastąpił. Gdy minęliśmy wielkie wyspy u ujścia rzeki i wydostali się na pełne morze, chwycił nas wiatr od południa i wydał rażno nasze żagle.

Jeńców-zakładników kazałem wyprowadzić na świeże powietrze pomimo ciemności.

Z nastaniem dnia byliśmy już na wysokości ujścia rzeki Pomerun do morza. Nikt nas nie ścigał.

24. Arnak będzie żył

Przez ostatni dzień na łądzie i przez cały ów czas przeprawy szkunerem na morzu troska o życie Arnaka nie dawała mi spokoju, mnie jak i wszystkim innym. Co godzinę podchodziłem do przyjaciela, leżącego na miękkim posłaniu w cieniu żagli, i ze ściśniętym sercem spoglądałem na niego. Leżał wciąż bez ruchu, jak gdyby spał, ale raczej było to omdlenie. Miał dwoje gorliwych opiekunów, czuwających nad nim

dniem i nocą: mądrego Arasyba, naszego pija-czarownika, znającego życiodajne zioła puszczy i niezawodne ponoć zaklęcia magiczne, i uroczą Indiankę Hajami ze szczepu Makuszi. Nie odstępowała rannego ani na krok i trwała jakby w modlitwie do jakichś demonów. Rodzona siostra nie mogłaby dbać żarliwiej.

Gdym ostro i pytająco patrzył na Arasyba, on, brzydał, nieodmiennie wykrzywił twarz i kłął się:

–On będzie żył, Biały Jaguarze! Wierzaj mi!

–Wierzę ci! – odpowiadałem głosem pełnym groźby.

Jakiś wyciąg z roślinnych leków, przez Arasyba wlanych na początku podróży morskiej do obydwóch ran Arnaka, i inne wywary, wsączone mu w usta, podziałały cudotwórczo. W drugi dzień pobytu na morzu Arnak otworzył oczy i chociaż w ciele jego była gorączka, wzrok miał niemal przytomny. Potem zasnął i poznaliśmy, że to był sen krzepiący. Dziewczynie Makuszi Hajamie oczy ze wzruszenia zaszły wilgocią i także nam, przyjaciołom Arnaka, raźniej zrobiło

się na duszy. Mieliśmy wrażenie, że widmo śmierci, krążące dotychczas nad nim, zaczęło się rozwiewać i przepadać.

Był wielki czas, ażeby pomyśleć o najbliższej przyszłości. Więc zwołałem Murzynkę Marię, była nianią dzieci plantatora Reinata w Blenheim, dalej Fujudiego i Pedra i poleciłem im zaprosić młodą Holenderkę Monikę. W piątkę siedliśmy na dziobie statku i wszczęli przyjazną rozmowę. Monika była dobrą dziewczyną i z okrucieństwem holenderskich plantatorów nie miała nic wspólnego, przeto zależało mi na pozyskaniu jej dla naszej sprawy. Na plantacji Wolwegat mało stykała się z brutalnością wobec niewolników, jaka istniała na innych plantacjach, i było dla niej koszmarną rewelacją zdziczenie dzieci Reinata, o czym teraz opowiadała Maria, a co my potwierdziliśmy, Fujudi zaś tłumaczył na holenderski język.

–Podczas gdy w następnych tygodniach – wyjaśniałem – czworo naszych plantatorów-zakładników pozostanie w gościnie u wodza Oro napiego na wyspie Kaiiwie, to dzieci ich, których razem jest siedmioro, postanowiłem zabrać do siebie, do Kumaki nad zatoką-jeziorem Potaro.

Tam w ciągu ich pobytu u nas, a więc przez kilka lub kilkanaście tygodni, chciałbym przeprowadzić jakiś rodzaj reedukacji owych siedmiorga nieludzkich dzikusów, by stały się normalnymi dziećmi. Czy was dwoje, ty, panno Moniko, i ty, przyjacielu Pedro, chcielibyście

spróbować owego przekształcenia, by te dzieci z obecnych potworków stały się znów chociaż trochę ludźmi? Obydwoje pobieraliście naukę w szkołach...

Pedro przyjął moje zaproszenie z zapalem, chociaż uświadomił sobie, że nieznajomość języka holenderskiego stworzy mu pewne trudności, ale wierzył, że się dogada z dziećmi; natomiast u Moniki, jakkolwiek dziewczyna okazywała zainteresowanie, powstały pewne obawy, czy sprosta zadaniu.

–Ależ sprostamy zadaniu! – zawołał Pedro. – Sprostamy, jeśli zabierzemy się obydwójce do pięknej rzeczy. Przecież zasadę: kochaj bliźniego jak siebie samego, każde dziecko łatwo zrozumie. A o ile się domyślam, Janowi o nic więcej nie chodzi!

–Pedro ma rację! – powiedziałem. – O nic więcej!

Monika zgodziła się, była tej samej myśli, ale z jej milej twarzy zmiarkowałem, że martwiły ją jakieś wahania.

–Proszę mi powiedzieć, Moniko, czego się pani lęka? – spytałem.

–Czy po tych kilku czy kilkunastu tygodniach będę wolna i nikt mi nie zabroni powrotu nad Esseąuibo? – zwróciła się do mnie nieco drżącym głosem.

Serdecznie zajrzałem jej w oczy.

–Ależ, Moniko, pani nie jest zakładniczką, pani jest wolna! Proszę tylko o to, żeby została pani u nas tak długo, jak długo będzie u nas dwoje dzieci plantatora Ridderbocka z Wolwegat.

–A jeśli one będą musiały zostać na stałe w Wenezueli?

–Nie rozumiem?

–Jeśli dyrektor generalny van Cheuses nie spełni warunku i nie przyśle żądanego pisma?

–Droga Moniko! Ma pani do czynienia z ludźmi uczciwymi, zabijającymi co prawda wrogów w czasie wojny, ale nie walczącymi z dziećmi czy z uroczymi dziewczynami...

Mogłem być uśmiechać się do urodziwej dziewczyny, bo właśnie szepnął mi Arasybo, że Arnak się przebudził i wyglądał znacznie lepiej.

Gdy kilkanaście godzin później otaczające nas morze zaczęło zmieniać barwę, z czysto niebieskiego stając się powoli żółtawe na znak, że podpływaliśmy do ujścia olbrzymiej rzeki, Orinoka, poprosiłem obydwie pary plantatorów j Fujudiego na rozmowę.

Mynher Zeegelaar był spokojny i zdawał się cierpliwie znosić niedolę, podczas gdy choleryk Reinat nie przestał się burzyć i wściekać. Wyjaśniłem im, jak spędzą następne tygodnie: będą w gościnie u Oronapiego, szlachetnego wodza Warraulów na wyspie Kaiiwie, podczas gdy § wszystkie dzieci popłyną ze mną nieco dalej w górę Orinoka, pozostając stale pod opieką Moniki van Eys.

–Protestuję! – krzyknął zapieniony Reinat. – Nie zgadzam się na I rozłączenie nas z naszymi dziećmi!...

–Proszę nie zapominać -odrzekłem spokojnie -że jest pan jeńcem-zakładnikiem. Nie chciałbym, żeby pan stracił tu swe cenne życie na j udar serca...

–To jest terror, to jest świństwo!...

Kilka godzin później byliśmy już niedaleko głównego, południowego ujścia Orinoka, w tym miejscu szerokiego na czterdzieści mil, i dostrzegaliśmy tylko południowy jego brzeg. Tu gdzie w korycie rzeki pełno było morskiej, słonej wody, brzeg porosły był srogą gęstwiną morzynów, zwanych w tym kraju mangrowami. Dopiero za pasem I owych drzew na polu lądowych, na polu morsko-wodnych kłębiła się prawdziwa puszcza tropikalna, nad dolnym biegiem Orinoka szczególnie dzika, wybujała.

Patrząc przez perspektywę, widziałem w pobliżu brzegu łodzie z rybakami Warraulów, a że ostrożność jest matką bezpieczeństwa, rozglądałem się, czy nie było jakowejś zasadzki ze strony Holendrów. I Przecież wiedzieli nad Essequibo, że tędy będę musiał przepływać, więc a nuż wysłali szparką fregatę lub inny żwawy okręt, by nas dopaść? Ale na olbrzymiej tafli wód nie zauważył nic podejrzanego.

Rychło w nocy rozpoczął się przyływ morza i wartki prąd wdzierał się w górę rzeki. Tęgo z niego skorzystaliśmy. Gdy następnego dnia zaświtało, ujrzeliśmy w oddali wschodni cypel wyspy Kaiiwa i wieś Warraulów, siedzibę wodza Oronapiego-

Szkuner wzięliśmy na cumy i, ciągnięni przez itauby z wiosłarzami, dobiliśmy do brzegu..

Wtedy, zanim wysiadłem, dostąpił do mnie Arasybo i szeptem zdał mi sprawę o stanie zdrowia Arnaka.

–Zaczyna lepiej oddychać – wieścił Arasybo, a szpetna, zezowata gęba jego pokryła się całą grymasem dużego uradowania.– Kula przeszła mu między żebrami, nic kości nie złamała* tylko wyszarpała mu ździebelko płuc. Łacno przyjdzie do zdrowia...

Uścisnąłem czarownikowi łapsko.

–Dziękuję ci! – rzekłem z ulgą, już bez groźnego głosu jak przed dwoma dniami.

25. Nad dolnym Orinokiem

Zaledwie Oronapi spostrzegł nasz zbliżający się szkuner, zerwał się ze swej chaty, stojącej na palach dwieście kroków od brzegu, i przyspieszonym krokiem wraz z innymi Warraulami mknął ku nam. Widząc go tak radośnie podnieconego, z niejakim humorem przypomniałem sobie, jak przed blisko dwoma laty, przy pierwszym naszym spotkaniu, on wyniośle i zarozumiale się zachowywał: chciał mnie wtedy witać siedząc dumnie na swym wodzowskim stolku. Zmieniły się czasy. Oj, zmieniły się!

On i jego Warraulowie, biegnący ku nam, witali nas teraz z nieklamanej radością, chwyтали nasze ręce i serdecznie nas ściskali na modłę białych ludzi, wesolo pokrzykując.

–Okropnych rzeczy się dowiadywaliśmy o tobie, Biały Jaguarze, i o twoich rębaczach! – wołał Oronapi i śmiał się, nie bacząc na swą godność pięćdziesięcioletniego wodza.

–Okropnych? – zdziwiłem się.

–A jakże, okropnych i wspaniałych! To przecież potworne hece tam wyrabialiście! Ludzie

donosili nam, że umieliście być, jak mściwe demony, równocześnie w kilku miejscach, nad Berbice, nad Demerara i Essequeibo! Że burzyliście całe wsie Karibów i setkami ich tępiliście, że tysiące Murzynów uwalnialiście z niewoli! Że ogniem z waszych ust zabijaliście wrogów! Że groźne demony, jak Jurapury, jak Jawahu, jak Tamaraka, schować się mogły jak chłystki przed wami! Że robiliście się niewidzialni! Gdziekolwiek Biały Jaguar się pojawiał, tam Holendrzy dostawali w skórę...

Gdy Fujudi nam tłumaczył o koszmarnych wyczynach, nam przypisywanych, z owych niesamowitości śmialiśmy się do rozpuku, ale i przyjemnie było nam słyszeć takie banialuki.

–No, owszem! – skromnie wodzowi odpowiadał Fujudi po warraul-sku. – Robiło się tam na południu to i owo! Raz do nas strzelano, raz myśmy strzelali, tylkośmy częściej i lepiej grzmocili; nie raz, nie dwa razy, pięć razy, dziesięć...

–A to co, do ciężkiego licha! – zawołał zdumiony Oronapi, widząc schodzącą ze szkunera całą paczkę białych ludzi, dorosłych i dzieci.

–Czy to czasem nie Holendrzy? Holendrzy! – odrzekł Fujudi. – To plantatorzy, nasi jeńcy zakładnicy! Co? Zakładnicy? – Oronapi szeroko otworzył usta. – Jeńcy? I takich nabraliście?

Za chwilę, gdy wódz zaprosił nas pod dach benabu, chaty bez ścian bocznych, a kobiety podały nam tykwowe czasy z trunkiem kasziri, którego dawno już nie mieliśmy w ustach, przedłożyłem Oronapiemu naszą sprawę.

Jemu, naczelnemu wodzowi tutejszych Warraulów, ze względu na posiadany autorytet osobisty i na kluczowe położenie wyspy Kaiiwa, przypadnie zaszczytne zadanie pośrednika między Południem a Północą, między Holendrami a Hiszpanami, między kolonią holenderską a szczepami Indian nad dolnym Orinokiem. Najpóźniej za trzy miesiące ma przybyć tu, na Kaiiwę, poselstwo od dyrektora generalnego kolonii holenderskiej i dla gubernatora w Caracas przywieźć pismo od Holendrów, zapewniające pokój Indianom orinoskim i Wenezueli. W zamian za to zwróci się owych dwanaścioro zakładników. Z tychże dorosłych będzie czworo tymczasem przebywało w gościnie u wodza Oronapiego, natomiast reszta, jedna młoda Holenderka i siedmioro dzieci, popłynie ze mną do naszej wsi Kumaka i tam przebywać będzie do czasu przyjazdu poselstwa holenderskiego. Czy wódz Oronapi zechce gościć u siebie tych czworo zakładników, dwóch byłych plantatorów holenderskich i ich żony?

Owo zadanie, czy ów zaszczyt spadł na Oronapiego trochę niespodzianie, wódz był zaskoczony. Aleć czuł się i zaszczycony, więc chętnie zgodził się na wszystko, zwłaszcza gdy go zapewniłem, że po przybyciu Holendrów na Kaiiwę ja, natychmiast powiadomiony o ich pojawieniu się przez najszybszych warraulskich wioślarzy, niezwłocznie się tu zjawię z dziećmi holenderskimi i sam osobiście prowadzić będę rokowania z południowymi sąsiadami.

To Oronapiego uspokoiło, chciał tylko jeszcze wiedzieć, jak tych czworo Holendrów plantatorów ma traktować: czy jako przyjaciół, czy jako gości, czy jako jeńców, zakładników?

–Jako przyjaciół stanowczo nie! – odrzekłem. – Pieczę nad nimi i odpowiedzialność za nich weźmie na siebie Manduka, dzielny Warraul godny zaufania. On ma już tylko ośmiu towarzyszy, dwóch mu ubili Karibowie. Ponieważ nigdy nie wiemy, co nas czeka, osobliwie po przybyciu tu Holendrów...

–Jeśli w ogóle przybędą... – przerwał mi Wagura.

–Przekonany j estem, że przybędą – odpowiedziałem i mówiłem dalej: – Ponieważ jednak wszelkie niespodzianki zdarzyć się mogą, przeto wskazanym będzie, że natychmiast wódz Oronapi przydzieli Manduce dwudziestu lub trzydziestu młodych, odważnych Warraulów, ażeby Manduka ich wyszkolił na sprawnych i bojowych wojowników. W potrzebną dla nich broń zaopatrzę Mandukę...

–To dobra myśl. Przyuczenie Warraulów do wojaczki zawsze nam się przyda! Ale, Biały Jaguarze, gdy przyplyniesz tu z dziećmi holenderskimi, czy przyplyniesz z liczniejszym orszakiem swych wojowników?

–Sam oczywiście nie przyplnę! Jak licznych mam przywieźć wojowników, o tym ty, wodzii Oronapi, zadecydujesz i ty dasz mi znać przez swoich posłańców.

Po sutym nakarmieniu nas przybyszów, po uzgodnieniu wszystkich spraw dotyczących czworga Holendrów i tych, którzy mieli zawitać za dwa czy trzy miesiące do Kaiiwy, odczekawszy następny przyływ morza, wczesnym popołudniem pożegnaliśmy się serdecznie i ruszyli w górę Orinoka. Oczywiście rodzice holenderscy znów lamentowali, a plantator Reinat się wściekał, że im odbieram dzieci, ale na to nie było rady.

–Tymczasowe zabranie im dzieci przy kuje ich do Kaiiwy – powie

działem Warraulom na pożegnanie. – Pamiętajcie, że to zawzięci wrogo

wie. Dobrze ich odżywiać, być dla nich uprzejmymi, ale, Manduko, nie

spuszczać z nich oka dniem i nocą!...

Arnak, wyniesiony na ląd i przebywający w cieniu chaty przez tych kilka godzin naszego pobytu u Oronapiego, miał się lepiej. Stale czuwała nad nim wzruszająco troskliwa Hajami i niewątpliwie ona, ja, Arasybo i wszyscy inni pomagaliśmy Arnakowi nieodgadniona siłą dobrej woli do odzyskania zdrowia. Już nie tylko miał otwarte oczy, ale zaczął przemawiać, co prawda szeptem, ale szeptem coraz przytomniejszym. Zacząłem myśleć, pełen słusznej nadziei, jak szczerze wynagrodzić Arasyba za uratowanie Arnaka.

***i* Płynęliśmy tym samym nurtem i tymi samymi brzegami co blisko rok temu. Wtedy radość rozsadzała nam piersi po odniesionym zwycięstwie nad Akawojami, ale i teraz, gdy Arnak przychodził powoli do siebie, zaczęło wzbierać we mnie błogie uczucie ulgi.**

W miarę, jak słońce schylało się ku zachodowi, ptaki ożywiały puszcę i różnymi głosami wyrażały swą radość. Ileż tam tych śpiewaków rozbrzmiewało! Był to olbrzymi, piękny chór przeważnie niewidzialnych śpiewaków, a taka siła szczęścia szła od nich, że uciecha także i ludzkiej duszy się udzielała. Indianie dokoła mnie żywo gawędzili, Symara nucila.

Jeszcze był jasny dzień, gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie przed blisko rokiem obozowaliśmy. Postanowiłem tu zatrzymać się na noc, a kto chciał, mógł opuścić szkuner i nocować na łądzie wśród drzew. Ja wolałem pozostać na statku.

Gdy słońce zaszło i mrok zapadał, wesole głosy dziennych ptaków ucichły, za to jeszcze większą wrzawę i rejwach, i rwetes zaczęli robić inni-mieszkańcy puszczy: tysiączne owady, sykające świerszcze, wytrwale cykady, beczące żaby i ropuchy, tajemnicze ssaki. Wszystko to bez wytchnienia rżało, parskalo, dukalo, gwizdało, gruchało. Puszcza ogromnie się odzywała. I była to znowu czarująca fala nieposkromionego życia, która to fala również i serca ludzkie napawała rozkoszą. Byłem jakoś upojony i szczęśliwy tym wszystkim, zwłaszcza świadomością, że nie stracę Arnaka. A może i dlatego, że wkrótce zobaczę moją Lasanę?

Symara, leżąca obok mego hamaka, jeszcze nie spała.

–Dziwnie głośno tego wieczoru w puszczy! – szepnąłem do niej. Ona, roztrzeźwiona, zerwała się i siadła w swym hamaku.

–Dziś duszno! – odrzekła.

Wtem coś mi się przypomniało z ostatniego dnia pobytu w stolicy kolonii holenderskiej:

–Symaro, czy ja ci podziękowałem za ten celny strzał do pistoletu w rękę rozdrażnionego Holendra, tego Snyderhansa?

–Nie pamiętam! Nie, Janie!

–Zbliź się!

Gdy się przysunęła, ująłem ją mocno za bujne włosy i serdecznie pocałowałem w czoło.

–Świetnie to zrobiłaś wtedy! Holender był niebezpieczny. Dziękuję, ci! Uratowałaś sytuację i może nawet mnie!...

–Biały Jaguarze, ja ciebie zawsze...

Teraz ona chwyciła mnie za głowę, jakoś gwałtownie, i blisko się przysunęła.

–Nie zapominaj – szepnęła mi do ucha – że jestem młodszą siostrą Lasany. Jeśli ty kochasz Lasanę, musisz i mnie kochać!

–Kocham przecież! Kocham!...

Pomimo ciemności zauważyłem, że w jej oczach zamigotał blask podniecenia.

–Chcę być zawsze przy tobie, Biały Jaguarze! – tchnęło mi gorąco

w twarz. – Przy tobie tak samo jak Lasana...

–Ależ dobrze, Symaro, dobrze...

I przygarnąłem ją do piersi.

Następnego dnia, w czasie dalszego posuwania się w górę rzeki, stwierdziłem, że holenderskie dzieci już pogodziły się z losem i nie tylko wszystkie zaprzyjaźniły się z Moniką, ale również i z Pedrem. Rad byłem, że otwierały się przed nami widoki powodzenia.

–A jak ci się współpracuje z Moniką? – zapytałem Pedra.

–Zgodnie! Bardzo się zgadzamy! – odrzekł, podczas gdy tęgi rumie

niec oblał jego twarz.

26. Radość w Kumace i czujność

Po dwóch dniach wdzierania się szkunerem w górę Orinoka dobrnęliśmy do ujścia dopływu Itamaki, a następnie płynęli w górę tejże rzeki. Już po kilku milach dotarliśmy do wsi Serima, głośno witani z brzegu przez pobratymczych Arawaków. Nie przystanęliśmy, ale tu nam z łądu krzyknęto, że w naszej Kumace wszystko w porządku. Trzy mile dalej wpłynęliśmy przez wąską cieśninę do zatoki-jeziora Potaro i tuśmy z daleka ujrzeli naszą siedzibę. Serca żywiej nam przyrastało, a niejednemu czy niejednej z nas gorąco robiło się na duszy.

Trudno opisać radość i dumę naszych bliskich w Kumace. Prawie cała wieś wskoczyła do łódek i wypłynęła nam naprzeciw, rzucając ku nam serdeczne słowa i pomagając cumować nasz szkuner.

Gdy dopłynęliśmy do wsi, pierwszą, którą mogłem na brzegu objąć i przywrzeć do siebie, była Lasana. W czasie mej pięciomiesięcznej nieobecności łono jej urosło, widać było brzemienność. Dzielna kobieta, wstrząśnięta, nie mogła powstrzymać się od szlochu, pomimo że była Indianką.

–Janie! – zaglądała mi wzruszona w oczy. – Słyszeliśmy o was... Janie, tyleśmy się nasłuchali...

–Jak się czujesz, Lasano? Zdrowaś? – spytałem.

–Bardzo zdrowa... Wszyscy mi pomagali...

–Czy będzie?

–Będziesz miał syna!...

–Oho!

Uśmiechnęła się ni to filuternie, ni zakłopotana:

–A Symara, wstydu mi nie zrobiła?

–Była wspaniała! Jeszcze przed dziesięcioma dniami pewnie życie mi uratowała...

–Mój Biały Jaguarze!...

Przystąpił Manauri, naczelny wódz Arawaków nadorinoskich, wypróbowany, wierny druh jeszcze od czasów Wyspy Robinsona, i moe-nośmy się uściskali.

–Biały Jaguarze! Słyszeliśmy!... Docierały do nas wieści... szumne

wieści, chwalebne! Radowaliśmy się...

Przychodzili i obejmowali mnie serdecznie Mabukuli, wódz rodu Żółwi, i Konauro, wódz rodu Kajmanów, i siłacz Kokuj, i wielu inszych, i wszyscyśmy się przyjaźnie witali i ściskali, jak przywykli witać się biali ludzie.

Wówczas kilku Arawaków z gujańskiej wyprawy wyniosło na noszach Arnaka, wedle którego postępowali Arasybo i dziewczyna Haja-mi.

Gdy kobiety Kumaki ujrzały wynędzniałego Arnaka, powstał pomruk współczucia i cichego biadolenia, a otoczywszy nosze, chciały niewiasty zagarnąć ранnego pod swoją opiekę i"nieść mu pomoc na swój sposób, a każda dawać rady, jak leczyć ранnego.

Arasybo odegnał je, aleć one, urażone, zwróciły się do mnie ze skargą. Zawiodłem je.

–Tylko Arasybo będzie leczył Arnaka – zarządziłem – a pomocną mu

będzie Hajami, oddana mu dziewczyna ze szczepu Makuszi. Szanujcie ją

jako żonę Arnaka...

U mieszkańców Kumaki, zarówno u mężczyzn jak u kobiet, także młodzieży i dzieciarni, wywołało ogromne zdumienie, gdy zobaczyli schodzącą ze szkunera młodą, białą kobietę, Monikę, a za nią siedmioro białych dzieci. Nie było końca podziwiania; rozśmieszało to Pedra, rozśmieszało wszystkich. Gdy niektórzy chcieli wiedzieć, co to za białe towarzystwo, pokiwałem dłonią i powiedziałem, że gdy przyjdzie na to czas, ze wszystkiego zdam sprawę starszyźnie oraz obecnym Arawakom na ogólnej naradzie.

Przywołałem Wagurę i Pedra i poleciłem im wyszukać w pośrodku wsi przestronnej chaty, w

której można by umieścić wygodnie holenderskich gości.

–Wam dwom powierzam ową sprawę pomieszczenia jak również
wszystkiego, związanego z tutejszym pobytem ośmiorga Holendrów.

Wkrótce zawiadomcie mnie, jak ich urządziliście!...

Potem wodzów Manauriego, Mabukuliego i Konaureę zaprowadziłem na pokład szkunera i odchylając matę nieprzemakalną, pokazałem im zdobytą broń, tam leżącą. Znajdowały tam się strzelby, łuki, strzały, maczugi, noże, toporki. Oczy stanęły im kołem ze zdziwienia.

–Ileż to tego! – rzekł Mabukuli z podziwem.

–Co z tym zrobimy? – spytał smętnie Konauro. – Czy to się na co przyda?

–Przyda się! – zapewniłem. – Bardzo się przyda!

–To chcesz jeszcze wojować?

–A skoro na nas napadną i będziemy musieli się bronić?...

Na tę myśl Konauro wzdrygnął się z przykrym wyrazem twarzy.

Arnak miał się znowu odrobinę lepiej.

Zawinęliśmy do Kumaki rano, kiedy ptaki w gąszczu były najweselsze i najdonośniej się odzywały, a zwłaszcza przelatujące papugi najwięcej hałasu czyniły. Gdy podniecenie i gwar ludzi przycichły jako tako, a prawie wszyscy rozeszli się po chatach, chwyciłem za ramiona Symarę i Lasanę i niewiele mówiąc, wyprowadziłem je przechadzką poza wieś. Stanęliśmy nad brzegiem naszego jeziora-zatoki. Znałem tu każde drzewo, każdy krzew i niemal każdą kępę trawy i na myśl, że po tylu tygodniach żmudnej włóczęgi znalazłem się znowu wśród swoich, ogarnęła mnie fala dziwnie błogiego uczucia.

Papugi wciąż jeszcze przelatywały krzykliwymi stadami z jednego brzegu jeziora na drugi. Były to przychylne ptaki i zwiastunki dobrych nowin. Ich lot kojarzył się z przyjaznymi wzruszeniami, z bliskością przyjaciół i kochanych ludzi. A przecież tam na południu przelatywały przez Esseąuibo te same papugi podobnymi stadami, jednak jakież tam były obce, jakie obojętne!

Mocniej przyciągnąłem do siebie obydwie bliskie mi kobiety.

–Nigdy was nie opuszczę! – wyrzekłem. – Zawsze będę przy was! Jak

dobrze mi tu z wami...

Późnym popołudniem wódz Manauri zwołał wszystkich dorosłych mieszkańców Kumaki przed swą chatę i musiałem opowiedzieć o naj ważniejszych wydarzeniach na południu. Joki i Wagura także zabrali głos. Aleśmy nie rozwodzili się zbyt szeroko, bo miałem w zanadru jeszcze coś innego, ważniejszego:

–Wybierając się kilka miesięcy temu nad Esseąuibo – podjąłem moją sprawę – w celach wyłącznie pokojowych, nie przypuszczałem, że dojdzie do takiego rozlewu krwi. Widzieliśmy tam przeraźliwą niesprawiedliwość Holendrów wobec Murzynów, a podstępnym zamordowaniem dwóch naszych wojowników przez Karibów zostaliśmy wciągnię ci do wojny z tym szczepem. Wielu ich zginęło, tak wielu, że to rozniosło

się po całej Gujanie szerokim echem. A Karibowie to szczep okrutnie dumny i zarozumiały, więc takiej hańby nie zniosą: będą chcieli się zemścić i odzyskać utraconą twarz. Może to nastąpić jutro, może zamiesiąc, za pół roku. W ciągu trzech miesięcy mają przybyć wysłannicy Holendrów nad Orinoko, więc niewykluczone, że przy tej sposobności Karibowie, sojusznicy Holendrów, mogą spróbować zbójckiego

szczęścia...

Na mój znak Symara zarzuciła mi na plecy skórę jaguara, a ja dalej mówiłem stojąc:

–Rozum nakazywał, a zdrowy instynkt mówił starożytnym Rzymianom, największym wojownikom świata, że jeśli chcesz zachować pokój, to bądź zawsze przygotowany do wojny. To samo mogę powtórzyć teraz wam, dzielni i szlachetni Arawakowie. Bądźmy przygotowani: niech nasze strzelby i łuki wciąż będą najcelniejsze, nasze nogi najchyźsze, nasze wiosła naj wy trwalsze, a nasza czujność najostrzejsza. Wtedy wróg, choćby nie wiem jak zawzięty, nigdy nas nie zmoże! Skończyłem!

Gdy siadłem, wśród mieszkańców Kumaki zapanowało głębokie milczenie. Tylko gdzieś nad nami wrzeszcząc co sił, przelatowały wszędobylskie papugi, przyjazne ptaki. Tu nad Orinokiem, powtarzam, były odbiciem pogodnego życia i pomyślności.

Wśród zebranych powstały różne szepty, ludzie między sobą się naradzali. Jeden z najstarszych.Arawaków powstał i oświadczył:

–W tym, co mówił Biały Jaguar, jest dużo mądrej prawdy. Musimy wiele ćwiczyć i pozostać dzielnymi...

Konauro, który nie mógł odżalować strat, jakie poniósł jego ród w walce z Akawojami na Kaiiwie blisko rok temu, teraz zabrał głos:

–Ja miałbym może inne wyjście. Biały Jaguar zyskał rozgłos jako

zabójca Karibów. Ci straszni Karibowie będą laszczyli się przede wszystkim na niego. Gdyby

Biały Jaguar odszedł z naszego szczepu, opuścił nas, Karibowie na pewno daliby nam spokój!...

Jeszcze Konauro nie dokończył zdania, gdy odezwały się zawszad w kierunku nieszczęsnego mówcy potępiające słowa jak: bzdura; tchórz i tym podobne.

Joki zerwał się na nogi i zawołał:

–Jaka to hańba dla Arawaków, że jeden z nas, i do tego głowa rodu, mógł wybajdurzyć tak niegodziwe słowa! Słowa całkiem niedorzeczne! Bo czy Konauro nie wie, jacy są Karibowie? Że Karibowie w swej dzikości napadają na wszystkie słabe i niewinne szczepy Indian, chociaż nic złego im nie zrobiły? Że lubią mordować każdego obcego, kto im pod maczugę popadnie? Że sięją postrach u wszystkich, wszystkich

słabszych szczepów, nawet u tych zbójów Akawojów?...

Widząc dokoła wzburzenie i gniew, a obawiając się, że takie swary i zacietrzewienia mogłyby doprowadzić do rozłamu w szczepie, rzeczy wręcz katastrofalnej w tych czasach, poprosiłem o głos i krzyknąłem:

–Przyjaciele! Towarzysze chwalebnej wyprawy naszej nad Esseąuibo! Jeśli chcecie sprawić mi jedyną przyjemność, to proszę was, uspokójcie swe podniecenie. Staję w obronie Konaury! Można nie zgadzać się z tym, co on powiedział, i uważać to nawet za niedorzeczne, ale jedno jest pewne: Konauro chciał przede wszystkim dobra dla szczepu i to, co mówił, mówił w najlepszym zamiarze dla ogółu Arawaków. Chybił, ale

to już inna rzecz! Każdemu może zdarzyć się chybienie, każdemu!...

Tu Wagura wpadł mi w słowa:

–Zupełnie zgadzam się z tym, co twierdzi Biały Jaguar, i przejdźmy

nad potknięciem Konaury do rzeczy ważniejszych: jak zostać jeszcze

sprawniejszym wojownikiem, jak wzmocnić krzepę i czujność! Najważniejszą jest czujność: jak nie dać się zaskoczyć przez wroga!...

To były mądre słowa i złagodziły gniewne nastroje. Zabrał głos wódz Manauri:

–W ostatnich miesiącach, w czasie waszej wyprawy nad Esseąuibo,

my, cośmy tu pozostali, nie trwoniliśmy czasu. Pilniej niż zwykle upra

wialiśmy nasze półka rozrzucone po puszczy i zebrali plonów więcej niż

dawniej. Toteż nasi młodzi wojownicy mogą tego ćwiczyć w sprawach

wojennych i nabierać tężyzny...

I na tym stanęło. W następnych tygodniach wojownicy z zapalem ostrzyli swe zmysły i hartowali mięśnie. Chcąc zabezpieczyć się przed niespodziewanym atakiem, wyznaczyłem w puszczy i nad rzekami kilka placówek strażniczych, czuwających dniem i nocą i mających nas uprzędzić w razie pojawienia się nieprzyjaznej siły.

Niemalym zadowoleniem napelniała mnie praca Pedra i Moniki nad wychowywaniem siedmiorga młodych Holendrów. Mieszkali w chacie w pośrodku Kumaki i Holendrzątka mogły nie tylko swobodnie biegać po całej osadzie, lecz bawić się i swawolić do woli z indiańskimi rówieśnikami. Monika i Pedro tylko z daleka przyglądali się opiekuńczym okiem dziecięcym igraszkom. Prawie wcale nie było zatargów, natomiast coraz więcej serdecznego zgrania się. Holenderskie dzieci zasmakowały w życiu młodych Indian, przepadały za wycieczkami do pobliskiej kniei, ogromnie polubiły wyjazdy łódką na jezioro i łowienie małych ryb. Każde z tych siedmiorga znalazło indiańskiego przyjaciela czy przyjaciółkę. Byłem przekonany, że żadne z nich już nie będzie kopało niani, Murzynki niewolnicy.

W tych tygodniach wywiązała się inna przyjaźń, mianowicie między Pedrem a Moniką, i chyba z tej mąki zapowiadał się chleb. Pedro na gwałt uczył się holenderskiego, Monika – hiszpańskiego.

Aleć najmilsze wydarzenie z owych dni widziało mi się to: w czwartym tygodniu leżenia Arnak powstał z łoża i zrobił kilkanaście kroków.

27. Wróg straszny i my straszni

Blisko dwa miesiące po naszym powrocie znad Esseąuiba coś zaczęło dziać się na wielkiej rzece. Pośpiesznym wiosłem przybył jeden ze strażników nad Orinokiem i doniósł, że ostatniej nocy zamajaczyły na rzece łodzie i słyhać było plusk wielu wiosel. Tajemniczy wioslarze nie pochodzili ze wsi arawaskich ani warraulskich. To byli obcy ludzie. Gdy dzień nastal, nikogo nie było widać na przestrzeni wielu mil. Wiadomo: w gąszczu przybrzeżnym tropikalnej rzeki jakże łatwo się ukryć!

Wzmocniłem posterunki, wysyłałem jably w każdej po dwóch zwiadowców, przetrząsające zaułki i zatoki nad rzekami Orinoko i Itamaka od rana do wieczora. Bezpośrednio dookoła naszej wsi krążyły patrole i czołówki, przenikające gęstwinię. Zarządziłem równocześnie wzmocnienie grubszymi bierwionami palisady, otaczającej środkową część Kumaki. W tym ogrodzeniu mieściła się jedna trzecia chat osady, a w razie najścia wroga wszyscy mieszkańcy mogli znaleźć tu schronienie.

Pewnego dnia, w oddaleniu mniej więcej mili od Kumaki, w czasie patrolowania zaginął w puszczy nasz wojownik, który oddalił się od swego towarzysza i nie wrócił. Wysłana tego dnia grupa poszukiwaczy znalazła go na pół żywego w gąszczu. Nieznany napastnik uderzył go w głowę, potem nieprzytomnemu wbił w język zęb jadowitego węża i tak go zostawił. Gdy

rannego pośpiesznie przyprowadzono do wsi, Arasybo na widok jadowitego zęba w języku zrobił przerażoną minę.

–Kanaima! – wycharczał.

–Czy zdołasz go wyleczyć? – zapytałem czarownika.

–Nie wiem! To kanaima!...

Kanaima: gdy któryś Indianin wziął się na drugiego, by go zabić nie wprost, lecz tajemniczym sposobem w mistycznej roli kanaimy, demona zemsty, gotował mu powolną śmierć, przekuwając język ofiary jadowitym zębem węża. Wszyscy wtedy wiedzieli, że to kanaima i że ukłuty musi umrzeć.

–To znak, że Karibowie są w puszczy! – szepnął do mnie Arasybo.

Nieszczęsnego nie dało się uratować. Żył wśród bóleści przez kilka dni, zanim skonał.

Obecność wrogich sił w naszym pobliżu nie ulegała już wątpliwości. Jeśli ktoś z Kumaki wychodził do puszczy, to co najmniej w grupie trzech, czterech i z palcem na cynglu. Największą bacność zwracaliśmy teraz na bezpośrednie otoczenie osady, szczególnie w nocy: należało uniemożliwić wrogowi wdarcie się do środka wsi.

Chaty na skraju Kumaki stały się czatowniami, a zaczajeni w nich wojownicy, także niektóre kobiety, nie rozstawali się dniem i nocą z bronią. Szczególnie nocą. Ale wróg nie uderzał, wolał krążyć dokoła i rzucać postrach.

Wobec tego zmieniliśmy sposób działania i przeszli do natarcia. Utworzyliśmy kilka oddziałów zaczepnych po ośmiu do dziesięciu wojowników, którzy w ciągu dnia gorliwie krążyli w puszczy dokoła Kumaki i szukali przeciwnika. Znaleźli. Dwa razy doszło do ostrej strzelaniny. Byliśmy zwawsi i lepsi jako strzelcy. Karibowie dla zmylenia zdjęli swe dumne sępie puchy z głowy, ale to im mało pomogło. Zranili nam niewielu, sami ponieśli znaczne straty. Nie tylko ubiliśmy im kilku, ale złapali kilku rannych do niewoli i przytaszczyli żywych do Kumaki.

By wydobyć z nich języka, niektórzy nasi młodzi opętańcy chcieli przystąpić do torturowania. Ku ogólnemu zdziwieniu, nie zgodził się na to Arasybo.

–Mam lepsze sposoby, czary! – wybulgotał.

To nie były właściwe czary, lecz cuchnący jakiś wywar z szatańskich roślin. Gdy jeńcom przemocą wiano ową ciecz do gardła, oni jak gdyby stracili rozum i popadli w rodzaj gorączki; byli jak pijani. Gwałtownie nagabywani, zaczęli odburkiwać i wyjawiać. Na szczęście mieliśmy w Kumace Arawaka, wcale biegle władającego językiem karibskim. Wydobywał z jeńców

odpowiedzi. Były dość chaotyczne, ale jednak dały się skleić: Karibowie mieli tu dwa oddziały wojowników, mianowicie w puszczy w pobliżu Kumaki, drugi na Orinoku, grasujący gdzieś między ujściem Itamaki a wyspą Kaiiwa. Na ich czele stał zawzięty Wanjawaj, ów strojny znajomy ze stolicy kolonii holenderskiej, a niefortunna głowa zniszczonej wsi Borowaj. Cel mieli najeźdźcy wcale wybujały: wytępić wszystkich Arawaków nad Orinokiem, szczególnie dostać w łapy Białego Jaguara. A było nas tu blisko siedemset dusz.

Niektórym mieszkańcom Kumaki, na szczęście nielicznym, serca struchlały, ale doskonała większość tym mocniej zacisnęła pięści, by napastnikom dać należyłą odprawę. I już dawaliśmy. Rozporządzaliśmy siłą mniej więcej stu dwudziestu wyćwiczonych wojowników, tudzież pięćdziesięciu równie zaprawionych młodych kobiet. Podczas gdy połowa ich stale pozostawała w Kumace na wypadek bezpośredniej napaści na naszą wieś, druga połowa była ciągle w ruchu w otaczającej nas puszczy.

Jeden z tych oddziałów zaskoczył obozujących w kniei Karibów i dał im mocnego łupnia. Straciliśmy dwóch, ale tamci kilkunastu.

W tych napiętych grozą dniami chodziło już nie tylko o życie nas walczących, lecz także o życie naszych rodzin. Ważyły się losy rzeczywiście wszystkich Arawaków nad Orinokiem. Wróg był straszny i pełen żądrości, ale równie straszni byliśmy i my. Jego dzikości przeciwstawiliśmy nabytą karność, lepsze przygotowanie do walki i siłę charakteru.

Nam należało się zwycięstwo.

28. Zwolnienie zakładników

Mniej więcej w dwa miesiące po naszym powrocie do Kumaki przywiosłowali od wodza Oronapiego posłańcy z wiadomością, że na Kaiiwę przybyło holenderskie poselstwo, a ponieważ na Orinoku w pobliżu Kaiiwy po kryjomu pojawiły się zagadkowe watahy obcych Indian, winienem przybyć z większym orszakiem uzbrojonych Arawaków.

Wyznaczyłem około stu wojowników, w tym trzydzieści kobiet, pozostałych w Kumace do obrony wsi, a reszta, blisko siedemdziesięcioro, wyruszyła ze mną do Kaiiwy na czterech itaubach i dwóch jaboutach. Były do drużyny Wagury, Jokiego i moja. Oczywiście towarzyszył mi Fujudi jako tłumacz. Arasybo oraz Miguel ze swymi Murzynami i Murzynkami pozostali w Kumace, natomiast zabraliśmy ze sobą siedmiu karibskich jeńców.

Holenderskie dzieci pod opieką Moniki i Pedra umieszczono na największej itaubie, płynącej pośrodku naszej floty lii. W tych tygodniach owa dzieciarnia tak polubiła życie w indiańskiej wsi, że teraz z pewnym żalem opuszczała przyjaciół.

–A pani, Moniko? – zapytałem dziewczynę. – Czy opuszcza pani

Kumakę z żalem?

Niewinne, zwyczajne pytanie, ale niemal się przeraziłem, jak urocza Holenderka srodze spąsowiała na całej ślicznej twarzy aż po uszy. Po chwili odpowiedziała z filuternym uśmiechem:

–Ja nie opuszczam Kumaki... Teraz z kolei ja się zmieszałem:

–Jakże to mam rozumieć?

–Po prostu: zaręczyliśmy się, Pedro i ja, i pozostanę z wami...

–Świetnie!... Najmilsza z niespodzianek! Winszuję!... – zawołałem. Kłopoty powstały z Symara. Pierwotnie przeznaczona na czas mej

nieobecności do stałej ochrony Kumaki, czupurna amazonka temu się sprzeciwiła. Nie chciała pozostać w Kumace i uparła się, że musi czuwać nade mną i mnie bronić. Zuchowata filutka postawiła na swoim i popłynęła z nami.

Wyjazd nastąpił w nocy w zupełnej tajemnicy. Było jeszcze ciemno, gdy wypłynęliśmy z ujścia Itamaki, a świt zastał nas daleko na Orinoku. Dla bezpieczeństwa trzymaliśmy się z dala od obydwóch brzegów, a że zależało nam na pośpiechu, stale'wiosłowaliśmy bez względu na przyływy morza. Po zapadnięciu ciemności przystanęliśmy tego dnia u brzegu rzeki na krótki nocleg i już przed świtem ruszyliśmy dalej. Nikt nigdzie nas nie zaczepił. Cisza i spokój rozpościerały się nad wielką rzeką, a niezmierna ilość ptactwa zarówno w powietrzu jak wśród gałęzi nadbrzeżnych drzew mogła nasunąć myśl o rajskiej sielance.

Na początku trzeciej nocy dotarliśmy do zachodniego cyplu Kaiiwy i wpłynęli w odnogę Guapo, szeroki kanał między wyspą a stałym lądem. Ostrożnie, bez szelestu i plusku, wiosłowaliśmy jeszcze godzinę czy dwie i dotarli do niedużej zatoki na wyspie. Miejsce to oddalone było o około pół mili od siedliska wodza Oronapiego, które również nosiło nazwę Kaiiwy tak samo jak wyspa. W zatoczce stanęliśmy na noc i przespali kilka godzin w łodziach aż do brzasku.

Gdy dzień nastął, ruszyliśmy dalej, ale nie wszyscy: itauba, na której były holenderskie dzieci, pozostała w zatoczce ukryta pod ochroną drużyny Jokiego. Czyniłem to dla bezpieczeństwa. Przed oddaniem dzieci Holendrom chciałem wiedzieć, z czym przybyła delegacja z nad Essequiba.

Pojawienie się we wsi Oronapiego naszych trzech itaub i dwóch jabot, pełnych wojowników, wywołało westchnienie radości u wodza, a także ukontentowanie u Holendrów. Było ich trzech, a przybyli drogą morską wzdłuż wybrzeża na olbrzymim koraolu w asyście około dwudziestu indiańskich wioślarzy. Nie mieli dotychczas tłumacza, a teraz zjawił się Fujudi. Przywieźli pismo dyrektora generalnego kolonii holenderskiej, więc nie zwlekając, poprosiłem ich o głośne przeczytanie. Fujudi, który nie umiał czytać, tłumaczył. Pismo zawierało zadowolającą treść zarówno co do granic hiszpańskich włości, jak i bezpieczeństwa Indian nad Orinokiem.

Podziękowałem, a zapewniony przez Oronapiego, że nie wisi w powietrzu żadna zdrada, i że

tu nie było nigdzie Karibów, kazalem wyprowadzić siedmiu rannych jeńców karibskich, do zatoczki Guapo zaś pchnąłem posłańca, by itauba z dziećmi przybyła do siedziby Oronapiego.

Trzech Holendrów na widok dostarczonych im siedmiu Karibów okazało niepomierne zdziwienie, niemal ze skóry nie wyskoczyło.

–Cóż to za Indianie? – pytali z głupia frant.

–Wasi, najbardziej wasi Karibowie znad Esseąuibo...

–Skąd się tu wzięli?

–Jeśli waszmości chcecie się dowiedzieć, sami ich zapytajcie.

–Ale jakże ich dostaliście? Są ranni...

–Chcieli napaść na naszą wieś, to niegrzeczne chłoptasie! Weźcie ich, proszę, z powrotem nad Esseąuibo i wsypcie im baty! Darujemy ich wam. Niestety tych, którzy padli, oddać waszmościom już nie możemy...

Holendrzy mieli niemądre miny, jak gdyby nie mogli nic zrozumieć. Jeszcze zapytali, czy wiemy, kto ich wodzem.

–Ależ tak, wiemy: wasz sojusznik Wanjawaj, ten, który był wodzem w Borowaj...

Wtem plantator Reinat podszedł do nas butnym krokiem i z rozzłoszczoną miną.

–Gdzie są nasze dzieci? – fuknął opryskliwie.

Już dowiedziałem się, że w tych tygodniach czworo zakładników Holendrów miało dobre czasy. Oronapi traktował ich nad wyraz uprzejmie, mogli swobodnie przechadzać się po całej wsi, a dobrego pożywienia mieli wbród.

Fuknięcie Reinata zbyłem milczeniem.

–Pytam się, do diabła, gdzie nasze dzieci?! – powtórzył Holender podniesionym głosem, cały roztrzęsiony wrogością.

Zwróciłem się do trzech delegatów:

–Czy mogliby waszmoście spowodować, żeby ten gbur zamknął swój chamski pysk?

Delegaci byli speszeni zajściem, a w swym zmieszaniu nie wiedzieli, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Jeden z nich, najbardziej przytomny, podjął pytanie Reinata, z tym, że uprzejmym głosem to zrobił:

–Rzeczywiście! To prawda! Gdzie są te dzieci?

–Są w drodze i zaraz tu przybędą! – odpowiedziałem. – Ale wybaczcie waszmoście, grubiaństwo tego Reinata nasuwa mi na myśl co innego: czy pismo holenderskiego dyrektora generalnego nie jest może kłamliwym świstkiem? Czy obecność Karibów nad Orinokiem nie jest zdradą? Czy wobec tego nie mam prawa odmówić waszmościom wydania naszych zakładników holenderskich?

Delegaci znowu nie chcieli zrozumieć. Musiałem im wskazać na siedmiu rannych Karibów, niezaprzeczalny dowód napaści ich Indian, sojuszników Holendrów, na Arawaków nad Orinokiem, napaści zadającej kłam pismu dyrektora generalnego. Tym wywodom delegaci, zapędzeni w kozi róg, nie mogli zaprzeczyć.

–Więc co? – spojrzałem pytająco na trzech Holendrów

–Czy mam odmówić wydania zakładników i odesłać waszmościów z kwitkiem? Czy nie umiecie zmusić żłoba Reinata do oglady? Ten brutal nie może inaczej, jak tylko obrażać?

Delegaci wzięli hardego dzikusa na bok i starając się go przekonać, doskakiwali mu do oczu i wymachiwali pięściami przed nosem. Chyba go przyparli i poskromili. Reinat podszedł do mnie jak zmyty pies i siląc się na miły głos, coś tam wycedził niby: przepraszam.

Wówczas nadpłynęła itauba z dziećmi i gdy dobiła do brzegu, Monika i Pedro je wyprowadzili. Przy powitaniu rodziców i dzieci było wiele radości, uniesień i lez, ale rzucało się w oczy, że więcej szczęścia odczuwali rodzice niż dzieci. Działwie wyraźnie było żal, że skończył się miły pobyt w Kumace.

Syn plantatora Reinata, dziewięcioletni Wilhelm, ulubieniec butnego ojca, a do niedawna straszny łobuz, znęcający się okrutnie nad swymi niańkami, obecnie, po pobycie w Kumace, przykro zawiódł swego ojca i wcale nie chciał z nim się przywitać.

–Co tobie jest? – krzyknął na niego plantator niemal oburzony.

–Nic – burknął Wilhelm pod nosem.

–Chodź przywitać się, syneczku! – rozkazał ojciec.

–Nie chcę! – opryskliwie mruknął malec, stojący bokiem do ojca.

–Chodź, będziemy się bawili tak jak dawniej! – kuśił zdziwiony plantator.

Czyżby miał na myśli dawne zabawy kopania po twarzy czarnych piastunek?

–Nie chcę!! – odparł Wilhelm zdławionym szeptem i zaraz wołając coraz spazmatycznej owo "nie chcę, nie chcę!" zaniósł się od głośnego płaczu.

–Powitaj ojca! – jeszcze raz zawołał Reinat, tym razem rozkazującym, ostrym głosem, ale syn się nie ruszył, patrząc uparcie w ziemię.

Plantator Reinat nie poznawał swego syna. Zatrząsł się nagle ze srogiego gniewu, patrzył z rozpaczliwą pasją na swą żonę, następnie z mściwą złością na Monikę.

–Coście z tym chłopcem zrobili? – wrzasnął rozjuszony na dziewczynę. – Pociągnę panią do odpowiedzialności!

–Mynher Reinat, spokoju! – rzekła Monika pełna opanowania. – Wilhelm wszedł na drogę dobrego człowieka!

–Nonsens! Nie życzę sobie takiej hecy! – krzyknął.

–Mynher Reinat! Stracił pan niedawno temu plantację, teraz gotów pan stracić swego syna!...

Reinat zakrztusił się, jakby stracił oddech, nie mógł wymówić ani słowa, a gdy przyszedł do siebie, stał się ogromnie blady i przerażony: czyżby wreszcie zaświtało mu we łbie, że był bankrutem?

Dzieci plantatora Ridderbocka z Wolwegat nie miały tu swych rodziców, których zastępowała im Monika, więc dziewczyna przystąpiła do małżeństwa Zeegelaarów i serdecznie poprosiła, by zechcieli odtąd zaopiekować się dziećmi Ridderbocka i je zawieźć do rodziców w Wolwegat.

–A pani, panno Moniko? – zapytali Zeegelaarowie. – Czy pani nie wróci nad Essequibo?

–Nie. Pozostanę nad Orinokiem.

–Boże kochany! – wszczęli lament Zeegelaarowie. – Ona straciła rozum! Oszalała! Przekabacili ją!

Byli przerażeni, a Reinat, dowiedziawszy się o zamiarze Moniki, wpadł w furję i oskarżył nas, że rzuciliśmy zły urok na biedną dziewczynę. Poszedł ze skargą do trzech delegatów i zażądał, żeby Monikę przemocą zabrać do ich łodzi.

–Przemocą? – wyśmialiśmy maniaka.

Monika nie dała się odwieść od swego postanowienia i pozostała.

Jeszcze tego samego dnia Holendrzy wypłynęli ku morzu, a wkrótce po nich wyruszyliśmy i my, w przeciwnym kierunku – po bardzo przyjaznej uroczystości podziękowania Oronapiemu za gościnność i pożegnania się z-nim i z jego ludźmi.

29. Walka na rzece Orinoko

Zanim wypłynęliśmy w drogę powrotną, zwołałem moich towarzyszy, by uzgodnić sposób postępowania: nie było wykluczone, że Karibowie, jeśli jeszcze znajdowali się na naszej rzece, zechcą dać nam spokój po oberwaniu ciągów w puszczy. Ale na wszelki wypadek nasze cztery itauby popłyną z dala od brzegu, lecz blisko siebie w jednej gromadzie, tworząc czworobok; sztyk najdogodniejszy do obrony. Dwie jaboty mogą się uwijać gdzie bądź między nami. W razie ataku zatrzymamy itauby burtami do atakujących, a ogień otworzą tylko najlepsi strzelcy z najcięższych, dalekosiężnych muszkietów. Po nich dopiero, na bliższy dystans, będą były guldynki, następnie łuki, w końcu pistolety. Mniej pewni strzelcy będą nabijali strzelby. Sprawdzić panewki. Chronić przed wilgocią.

Z Kaiiwy wypłynęliśmy w południe przy dobrej pogodzie, ale na piekielnie niesfornej rzece. Nad górnym biegiem Orinoka, gdaieś na zachodzie, musiały spaść potężne deszcze. Więc rozpętał się żywioł, powstawały z nagle niebezpieczne wiry, uderzały co rusz zmienne prądy, a moc wyrwanych z korzeniami drzew waliła z prądem jak oszalałe wyspy, jak dzikie monstra. Były dla nas groźne; musieliśmy nieustannie pilnować, by nie rozbiły nam łodzi, a naszej flotylli nie rozproszyły.

Tak zeszedł nam pierwszy dzień bez ujrzenia karibskiego wroga, natomiast w ustawicznym ścieraniu się z wrogim żywiołem. Tam gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg, dla bezpieczeństwa nie rozniecaliśmy ogniska. Następnego dnia przed wyruszeniem narwaliśmy siłą liściastych gałęzi i przyczepili je do łodzi dla zamaskowania. Z daleka wyglądaliśmy dla niewprawnego oka jak pływające drzewa z konarami.

Mniej więcej w dwie godziny po opuszczeniu nocnego schronu zauważyliśmy daleko przed sobą jak gdyby podejrzaną nieprawidłowość wśród płynących tam drzew. Znajdowałem się na itaubie w przednim szeregu, na łodzi po lewej stronie. Itauby były oddalone od siebie na odległość głosu. Kazałem wszystkim przystanąć i dobytełem perspektywy.

Dalekie drzewa wyspy poruszały się nierównomiernie, jak gdyby niezależnie od rzecznoego prądu.

–Oni! – zawołałem po chwili przypatrywania się.

Wśród listowia jednej z „wysp” zamigotało wiosło. Na innej „wyspie” znowu wiosło. Niewątpliwie oni! Dziwnych owych „wysp”, oddalonych od nas o jakie trzy czwarte mili, naliczyłem pięć. Zatem stało się: będzie musiało dojść do walki, a wobec zawziętości wrogakanaimy – do walki na śmierć i życie.

Podjęliśmy wiosłowanie bacząc, by dokoła nas rozciągała się otwarta przestrzeń wody,

umożliwiająca dogodnie strzelanie z muszkietów. Odległość między nami a tamtymi powoli malała. Co chwila patrzałem przez perspektywę: widziałem wylaniające się wśród liści raz tu, raz tam to głowę, to ramię, to rękę – i szybko znikające. Głowę widziałem z białym puchem na czole: Karibowie!

Gdy zbliżyliśmy się na mniej niż pół mili do nich, kazałem zatrzymać nasze itauby, – by się nie chwiały przy celowaniu.

Wtedy zauważyłem niezwykle ruch na rzece w pobliżu karibskich łodzi: to kilku ich pływaków zamasyście sunęło w wodzie ku nam i każdy trzymał w ustach nóż, co stwierdziłem przez perspektywę.

–Uwaga! – zawołałem do naszych łodzi. – Płyną karibscy pływacy do nas, a każdy z nożem w gębie: widocznie nurkując chcą przebić nam łodzie od spodu!...

W tym miejscu Orinoko było szerokie na dwie mile i umożliwiało swobodne manewrowanie, gdyż mało było w tej chwili drzew sunących z prądem. Gdy pływacy z nożami przebyli więcej niż połowę przestrzeni, zbliżając się do nas na prawie sto sążni, kazałem naszym łodziom nagle ruszyć w prawo, nie zmieniając dotychczasowego szyku. Wnet pruliśmy wodę ku środkowi rzeki, pozostawiając daleko za sobą nożowników i karibskie łodzie-drzewa.

Gdy Karibowie na łodziach zauważyli nasz manewr i ucieczkę, nie mogli opanować swego triumfu i złości. Byli przekonani, że ogarnął nas strach i czmychamy w popłochu. Podnieśli przeciągły wrzask, aż do nas docierający, i całą flotyllą puścili się w pogoń za nami. Co więcej: ażeby nas do cna przerazić i sparaliżować, zerwali ze wszystkich pięciu koria-li maskujące ich gałęzie, by nie było już wątpliwości, jacy wojownicy nas ścigają: najgroźniejsi wśród groźnych.

Straszni zabijacy, jakimi rzeczywiście byli, nie grzeszyli nadmiarem oleju w głowie. Czy zarozumiałcy mniemali, że ze strachu przed nimi opadną nam ręce, stracimy ducha, zamrą nasze serca?

My po odpłynięciu o dobrą milę zmniejszyliśmy szybkość. Doborowym wojownikom z muszkietami kazałem przestać wiosłować, ażeby im ręce nieco odpoczęły. O pół mili dalej zatrzymaliśmy się całkowicie. Mając itauby wciąż w szyku czworobocznym, przygotowaliśmy broń do działania. Monice, będącej na mojej itaubie, poleciłem położyć się na wznak płasko na samym spodzie czółna.

Karibowie, na swych pięciu korialach wiosłując co sił, rażno nas doganiali. Chyba pycha i buta rozum im odebrały: bez ochronnych gałęzi, już z daleka byli doskonale widoczni, a w miarę zbliżania się coraz lepiej siedzieli na muszkach naszych rur muszkietowych.

–Celować mądrze! – jeszcze raz przypomniałem strzelcom. – Dopuść

cić ich na pięćdziesiąt sążni! Strzelać najpierw z muszkietów i tylko

wtedy, gdy cel dobrze rozpoznawalny...

Zbliżali się szybko, jakby na wyścigi, a wiosłowali wszyscy z wyjątkiem sterników. Naliczyliśmy ich około osiemdziesięciu, nas było mniej, za to na pewno mieliśmy więcej broni palnej. Jeszcze dwieście sążni od nas, jeszcze sto pięćdziesiąt.

Na dziobie pierwszego koriału rzucał się w oczy wspaniały Karib, dumnie stojący i wyciągnięty jak struna, zdobny nie tylko w biały puch na czole, ale w barwne pióra na głowie i strojne pasy przez pierś i ramiona przeciągnięte. Szybkiem spojrział przez perspektywę na głady-sza i się nie omyliłem: był to sam wódz Wanjawaj, któremuśmy nad Esseąibo tak sporo poharatali wojowników. A więc przybył nad Orinoko, by wziąć krwawy odwet.

–To Wanjawaj! – wyjaśniłem towarzyszom. – Biorę go na siebie!...

Sto dwadzieścia sążni od nas. Wciąż szybko się zbliżali; kilka sekund

później było już nie więcej niż około dziewięćdziesięciu sążni.

Pelen skupienia wymierzyłem muszkiet w biały puch na czole Wanjawaj a, wiedząc z doświadczenia, że kula w locie obniży się w tej odległości do jego piersi. Pociągnąłem za cyngiel, huk. Ale akurat w tejże chwili ktoś niebaczny na itaubie się poruszył i chybiłem.

–Do diabła! – huknąłem wściekły na nieznanego winowajcę i poch

wyciłem drugi muszkiet, szybko mi podsunęty.

Wyniosłem Karibowi kula, wystrzelona przeze mnie, musiała świsnąć koło ucha, bo wódz mimo woli jak gdyby drgnął i z lekka się przygarbił. Był to atoli jeno ułamek sekundy i Wanjawaj się wyprostował niczym posąg chępliwości. Chwycił podany mu oszczep, by na nas rzucić.

Ponownie, acz skrupulatniej, wymierzyłem teraz w nasadę jego szyi, a cel był już znacznie bliższy, pewnie sześćdziesiąt sążni od nas oddalony. Tym razem nie chybiłem. Pyszny wódz, jak dotychczas stał na oczach wszystkich, zarówno swoich jak i nas, tak samo obecnie, na oczach wszystkich trafiony w pierś, padł jak drzewo złamane, jak pusty worek, jak trawa ścięta. Pycha zdeptana.

Moje dwa wystrzały były hasłem dla naszych muszkieterów, by rozpocząć ogień. Ogień celny, z nieruchomych itaub bijący, z czterdziestu prawie muszkietów, a prażący do celu jak na dłoni widocznego. Ogień do wroga bynajmniej się nie kryjącego w swej obłudnej zarozumiałości.

Na szczęście dla nas wiatr wiał od wrogich koriai, toteż dym, buchający kłębami z naszych rur, nie zaćmiewał nam widoku.

Od samego początku nasze kule trafiały wzorowo, celnie, niemal bez pudła; razily zabójczym gradem. Karibowie licznie ginęli. Strzelali również, ale z korialów, będących w ciągłym ruchu, przeto kiepsko trafiali. Gdy prawie jedna czwarta ich poległa w pierwszym ogniu, a drugie tyle odniosło rany, lżejsze czy cięższe, dopiero oprzytomnieli. Wtedy buta ich zmiękla i zaczęli kryć się za burtą swych koriali.

Karibowie byli niezrównanymi rębaczami, gdy chodziło o walkę wręcz, na maczugi, na oszczepy, na noże, na siłę mięśni. I nikt lepiej nie znalazł się na wojennym podstępnie, na zdradzie, na zasadzkach. A przecież to były niepomiernie prymitywne dzikusy. Zaczęli walkę na rzece z zuchwałym zamiarem, by otaczając nas, wybić wszystkich do ostatniego, nikogo żywego nie wypuścić z osaczenia. Ale pomimo że nasze muszkiety, zaraz w pierwszej chwili łupnia im zadając, pokrzyżowały ów morderczy plan, dzikie cymbały trzymały się zniweczonego planu jak rzep psiego ogona. Oto dwa tylne koriale nagle wyprysnęły naprzód i naszym itaubom w taki sposób zabiegły drogę, ażebyśmy, otoczeni ze wszystkich stron, nie mogli im uciec. A przecież uciekać nie potrzebowaliśmy i ani nam się śniło.

Przeciwnie. Powitaliśmy ich diabło gęstym ogniem. Zadufani w swą siłę Karibowie z owych dwóch koriali, nacierając na nas z boku, dostali się jednocześnie pod kule ze wszystkich naszych strzelb. Okrutnego nawarzyli sobie piwa. Gdy bardziej się zbliżyli, zaczęły w nich łupać guldynki. Dwukrotnie odezwały się dwa garłacze i jeszcze nasiekły moc karibskich wojowników. Dwom korialom odechciało się brawury. Zaczęły dawać drapaka, ale niemrawo im to szło, bo niewielu pozostało im wiosłarzy o całych kościach.

Inszym korialom nie lepiej się wiodło. Karibowie może byliby górą, gdyby potrafili dobrać się choć raz do samej burty którejś z naszych itaub i przeskoczyć na naszą łódź. Wtedy maczugi, ich straszliwa broń, może dałyby się nam we znaki. Ale do tego nie doszło, nasze strzelby nie dopuściły ich do zbliżenia się i zwarcia wręcz. Wszakże i do nas sięgały ich pojedyncze strzały z luków tudzież oszczepy i niejednego razily. Nagle Symara syknęła zwijając się: strzała zraniła ją w ramię.

W końcu wszystkie koriale, nie wytrzymując naszych muszkietów i guldynek, załamały się w impecie, zwiotczały na duchu. Pokiereszowane, przetrącone, podziurawione, jęły odpadać od nas jak zgnile owoce, jak zbite psy rejterować.

Niewątpliwie srogo utoczyliśmy Karibom krwi. Naszych zginęło niewielu, za to lżej rannych mieliśmy sownie. Niebywała zawziętość o władnęła popędliwym Jokim i junackim Wagura, i całymi ich drużynami. Pałali zemstą. Postanowili Karibów rozbić do szczętu. Więc gdy zobaczyli wrogie koriale czmychające z pola, w te pędy puścili się za nimi w pogoń.

–Stójcie! – krzyknąłem do nich. – Dość ich natłukliśmy! Popamiętają nas na zawsze!...

Ale oni, pewnie zbyt dalecy ode mnie, albo nie dosłyszeli mnie, albo słyszeć nie chcieli. Żeby dogonić uciekających, wiosłowali jak opętani. Itaubą podążałem miarowo za nimi, natomiast żartka jak jaskółka jaboutę pchnąłem do nich z dwoma mocnymi wiosłarzami i z rozkazem, by

żadnego rannego Kariba nie dobijano i w ogóle: wszystkim żywym Karibom pozwolić umknąć.

–Janie, Biały Jaguarze! – Arasybo, płynący na mej itaubie, chwycił się za głowę. Przecież to jedyna sposobność, by ich całkiem się pozbyć, wyniszczyć!...

–Nie! Dosyć szafowania krwią!

–Będziemy mieli ich z karku raz na zawsze! – nienawistnie lypnął Arasybo ku mnie okiem.

–Raz na zawsze? A duch zemsty kanaimy tych Karibów, którzy zostali nad Esseąuibo czy Demerara? Nie: dość przelewu krwi!!

Gdyśmy dopływali do miejsca, gdzie nasze trzy ścigające itauby dogoniły pięć karibskich koriali, zauważyłem, że już było po wszystkim: trzy itaubie swobodnie pływały między obezwładnionymi korialami, co znaczyło, że nasi rozgromili karibskich niedobitków. Widząc naszą zbliżającą się itaubę, Wagura i Joki wypłynęli mi naprzeciw z niewyraźnymi minami.

–Rozkaz twój spełniliśmy! – zawołał do mnie Wagura. – Spełniliśmy: żadnego Kariba nie dobiliśmy! Wszyscy ich ranni nadal żyją!

–To dobrze!

–Ale...,

I Wagura zawahał się, spoglądając z ukosa na Jokiego.

–Ale co? – spytałem zaintrygowany.

–Nie bierz nam tego za złe! Musieliśmy to zrobić...

–Co musieliście zrobić, do diabła? Zabiliście ich?

–Ależ nie! – zaprzeczył Wagura. – Przecieżem mówił, że kogo zastaliśmy przy życiu, ten dalej będzie żył!

–Więc, u licha, o co wam chodzi?

Wtedy Joki zabrał głos i wytłumaczył, że wśród arawaskich wojowników wybuchło piekielne rozgoryczenie, niebezpieczne, gdy się dowiedzieli o moim rozkazie: że naszych niedoszłych morderców, przez nas pokonanych, mamy wypuścić na wolność i pozwolić im wrócić cało nad Esseąuibo. Przeciw temu wojownicy się zbuntowali.

–Jeszcze nie rozumiem! I co się stało? – dociekałem rozdrażniony.

–Pojmani Karibowie wrócą żywi nad Esseąuibo – mówił Joki – ale już nikomu nie groźni Wrócą jako kalecy: każdemu przekłuliśmy jedno kolano!... Wybacz nam, Biały Jaguarze! To

musiało się stać!... –

Łodzie nasze, itauby i koriale, płynęły z prądem niedaleko brzegu rzeki. Łatwo było powiedzieć: Wybacz nam! To musiało się stać!

Płynęliśmy bez wiosłowania, a obok rozciągała się nieskończona puszcza, ta sama tu jak nad Esseąuibo, jak nad Amazonką, i nad Rio Negro, i nad Madeirą, puszcza przerażająca swym ogromem i swym niemilosierdnym duchem. Była kąśliwa, pełna jadowitości i złych demonów, czyhających na człowieka. Krył się w niej zwierz groźny i krwiożerczy, a równocześnie zwierz piękny, łagodny i barwny, i kryła się niesamowita, dręcząca tajemnica.

Może, żyjąc w takiej puszczy, a nie chcąc zginąć, człowiek musiał przebijać kolana napastliwym wrogom? Może, chcąc istnieć, musiał wrogom łamać kości? Zarażony okrucieństwem zielonego gąszczu, musiał ulegać okrutnym porywom, nie mógł wypłenić z duszy swej jadu i trucizny?

30. Nigdy ujmy nie przyniósł

W tej rzecznej walce naszych zginęło pięciu, natomiast Karibów blisko czterdziestu. Drugie tyle, lubo pozostało przy życiu, okaleczałe na zawsze, przestało być groźne do końca swoich dni.

Ponieważ owa walka toczyła się o pół dnia jabora od wyspy Kaiiwy, wezwałem Mandukę i jego drużynę do siebie i zdałem im całą troskę o dalszy los pokonanych Karibów: Manduka miał im ułatwić powrót nad Esseąuibo. My sami zaś, mając kilkunastu rannych, podjęliśmy wiosłowanie i na trzeci dzień przybyli do naszej Kumaki.

Nareszcie u siebie, w Kumace! Słońce i radość! Wesole twarze, rzewna ulga, kamień spadający z serca, dusze rozpromienione: przez tych kilkanaście groźnych dni naszej nieobecności nic złego się nie stało. Puszcza była łaskawa, demony przyjazne, Karibowie przepadli bez śladu.

Nigdy nie było tyle uśmiechów w Kumace jak owego dnia naszego powrotu, i tyle zadowolenia. Jakże błogo uśmiechała się Lasana, upojona szczęściem ostatnich chwil ciąży. Przedziwne piękno i mądrość były z jej twarzy. Gdym ją przytulał do siebie, ciepło jej ciała przeszywało mnie na wskroś.

–Kiedy? – szepnąłem jej do ucha.

–Lada dzień.

–A co będzie? – spytałem z uśmiechem-

–On! Tylko on! – odparła poważnie, nie wdając się w żarty... Nigdy nie widział u Manauriego, naszego wodza naczelnego, tyle bezgranicznej dumy i radości.

–Dzięki ci, Biały Jaguarze, dzięki! – mówił, z trudem znajdując słowa ze wzruszenia.

Jakże gorąco powitałem Arnaka! Wyraźnie wracał do siebie. Powoli Przyczłapał, wspierany przez troskliwą Hajami. Był chudy, wynędzniały, osłabiony, ale przecież żywy i ku zdrowiu się mający. Miał blady uśmiech i zapadłe oczy, ale już iskry w tych oczach i już nawet żart go się imał.

–Janie! – rzekł słabym głosem. – Powiadają, żeś wszystkich Karibów wytłukł! Oj, ty niedobry!

–Niedobry?

–Nic dla mnie nie zostawiłeś...

–Oby tak było naprawdę, kochany Arnaku!...

Staliśmy w pobliżu tęgiej palisady, otaczającej śródosiedle Kumaki.

Wydało mi się, że tego milego dnia nawet palisada miała wesoły wygląd, uśmiechała się do nas. Uśmiechała się swą odpornością, stawiając czoła wrogowi, jeśliby chciał nas napaść; była uśmiechnięta otucha w jej mocnych palach z drewna i w jej zabezpieczeniu ludziom życia. ^x

Manauri za zachętą wodzów Mabukuliego i Konaury chciał na naszą cześć urządzić ucztę z kilkudniową pijatyką, ale temu stanowczo się sprzeciwił. Należało najpierw doprowadzić do porządku broń palną i wszelką inszą broń, co było pracą nie lada, i należało przygotować rychłe wysłanie poselstwa z Pedrem na czele do hiszpańskiego corregidora w Angosturze.

Dam ci – rzekłem do Pedra – najżwawszą itaubę i dwunastu wioślarzy, rzetelnie uzbrojonych oczywiście, a gdy będziesz w Angosturze wręczał don Manuelowi Vasquesowi, naszemu znajomemu, pismo od holenderskiego dyrektora generalnego van Cheusesa, nie omieszkaj opowiedzieć wszystkiego, co nam się wydarzyło i nad Essequibo i tutaj na rzece Orinoko...

–O wszystkim zdam im sprawę – zapewnił Pedro, po czym na chwilę zamilkł, pytająco na mnie spojrzawszy. – Mam serdeczną prośbę...

–Jaką? Co tam na sercu?

–Chciałbym, żeby Monika mi towarzyszyła do Angostury. Chcemy tam wziąć ślub!

–Świetnie! Niech żyje młoda para!... – zawołałem, a byłem im bardzo rad.

Niebawem wypłynęli do Angostury. W trzy dni później Lasana urodziła dziecko, chłopca, tak jak zapowiadała. Zdrowego, mocnego, krzyczącego, ruchliwego bobasa o białej niemal cerze. Jako mąż powinienem był pomagać Lasanie przy porodzie według arawaskiego obyczaju, ale mnie, białego, zwolniono od tej powinności, chętnie wykonanej przez matkę Lasany i licznych jej krewnych.

Jak gdyby to było czymś nadzwyczajnym, wieść o narodzeniu syna Białego Jaguara rozeszła się nad dolnym Orinokiem lotem błyskawicy i sprawiła niebywale wrażenie, aż mnie dziw ogarnął. Zewsząd spływać zaczęli do Kumaki gratulanci, pełni życzliwości i uciechy: więc Oronapi z ogromnym orszakiem i obfitością strawy i trunku; więc Abassi, naczelny wódz Warraulów północnych nad Orinokiem, z zatrząsieniem wszelakiego żeru i napoju; więc wszyscy Arawacy z sąsiedniej Serimy z itauba pełną łakoci i frykasów; nawet z dalekiej Angostury przyплыł don Manuel Vasques z Pedrem, Moniką i jakimś obrotnym padrem. Kumaka oraz brzegi zatoki-jeziora Potaro zaległy wesółym ludem.

–Przywiozłem wielebne padra Cipriano, by ochrzcił infanta! – zawołał jowialnie don Manuel.

–Wyśmienicie!-podjąłem jego ton.-Pędrak będzie miał dwa nieba: chrześcijańskie po ojcu, arawaskie po matce.

–Arawaskie? – zdziwił się uśmiechnięty dotychczas padre. – Mieć dwie religie to niemożliwe!

–Nad dolnym Orinokiem wszystko możliwe: od przybytku głowa nie boli... '

Pedro powrócił z Angostury jakiś niepomiernie strapiony, z melancholijną facją. Przylapałem go gdzieś w szarym, mniej ludnym kącie.

–Co tobie? – zapytałem. – Czyś w Angosturze należycie wywiązał się ze swego zadania? Czyś opowiedział tam wszystko o Holendrach i Kari-bach? Czy wręczyłeś pismo holenderskie komu potrzeba?

–Wszystko spełniłem jak należy! – odrzekł.

–Więc co ci załalo takiego sadła za skórę? Czego się martwisz?

–Księża nie chcieli nam dać ślubu, bo ja katolik – tłumaczył Pedro -a Monika protestantka. Więc odmówili...

–A, łobuzy! – warknąłem.

Wśród zgiełku i rozgwaru, panującego w Kumace, a osobliwie dokoła noworodka, Arasybo gorliwie zabrał się do swych magicznych czarów nad dzieckiem. Na czele kilku starych Arawaków dopełniał obrzędowych ceremonii, odprawiał tańce, dmuchał dymem z tytoniu, –wydawał pomruki, a to wszystko, by przywołać dobre demony, natomiast odpędzić złe.

Owego dnia złych demonów musiało być skąpo w Kumace, bo goście, jedząc sporo, a śmieje pijąc paiwari oraz kasziri, byli coraz głośniejsi i weselsi. Szybko utworzyła się straż porządkowa, której dowodzili Wagura, Joki, Manduka oraz część ich drużyn i owa gwardia, sama nie pijąc, utrzymywała chwalebnie ład i rygor. Skutecznie ograniczała picie, a pijanych wyrzucała poza obręb Kumaki. Dzięki temu dokoła Lasany i dziecka panował nastrój poważny i uroczysty.

Padre Cipriano z pobłażliwym uśmiechem przyglądał się machinacjom Arasyba, wiedząc, że prawdziwy chrzest, jakiego udzieli za chwilę, splucze demoniczne zaklęcia czarownika jak brudne pomyje. Tymczasem Lasana ustaliła, że syn jej będzie się nazywał Meru, co po arawasku znaczyło Kolibr, jako że chłopczyk był ruchliwy jak kolibr. A po chwili dodała z serdecznym uśmiechem:

–Ale chciałabym, żeby nosił także imię Jana, jak jego ojciec, i żeby nazywał się Meru Jan Bober.

Wszyscyśmy radośnie jej przyklasnęli, że będzie to Meru Jan, i niebawem Padre Cipriano powstał, by przygotować ceremonię chrztu. Wtedy i ja powstałem, a podszedłszy do kapłana, odezwałem się doń po hiszpańsku:

–Wielebny Padre Cipriano! Mam takie pytanie. Czy padre mocen jest udzielać ślubu w wyjątkowych wypadkach, gdy jest absolutna konieczność ślubu! Gdy na przykład śmierć zagraża albo podobna rzecz?

–Naturalnie! Tak! – To zanim przystąpimy do chrztu dziecka, proszę udzielić ślubu Pedrze Martinezowi i Monice van Eys! – Ależ to niemożliwe: ona nie jest katoliczką... – Niemożliwe, powiada padre? – gniewnie nasrożyłem się, patrząc mu groźnie w oczy. – W takim razie nie będzie chrztu dziecka! To ostatnie moje słowo!

I odwróciłem się na pięcie, odchodząc.

Konsternacja u padra, przerażenie, pasja, oburzenie. Pobiegł ze skargą do don Manuela. Debatowali jakiś czas, ale don Manuel, bardziej wyrozumiały czy dyplomatyczny, niezbyt poparł padra. W końcu zaciekłość tegoż zmalala, religijna zatwardziałość wzięła w łeb i musiała poddać się okolicznościom. Więc prawidłowo odbył się ślub Pedra z Moniką, a zaraz potem chrzest.

Lasana, otoczona starszyzną, wodzami, matronami, siedziała w pośrodku jak leśna bogini i z wdziękiem, a dostojnie przyjmowała życzenia. Z jasnozielonego materiału, przywiezionego przez nas z Nieuw Kijkove-ral, kazała sobie zrobić rodzaj tuniki z obnażonymi ramionami i

szlachetna prostota tego stroju zadziwiająco uwydatniała arawaska urodę szczęśliwej matki. Podobnie przyodziła, się Symara, bardzo pomocna swej siostrze w tych dniach.

Z tej samej tkaniny kilku naszych wodzów sporządziło sobie powiewne kubraczki i nieźle w nich wyglądało. Mnie również uszyto podobny przyodziewek. W oczach hiszpańskich gości nie byliśmy już nagimi dzikusami.

Widok mej Czarownej Palmy, tak nadobnej w swym szczęściu, i miłego bachora, wierzgającego w jej objęciach, niezwykle silnie mnie przejął. Ciepła fala uczuć dostała się do mego serca i postanowiłem przemówić do owego brzdąca, mego syna. Przemówić po arawasku, żeby mnie zrozumieli wszyscy przyjaciele, a zwłaszcza wojownicy, którzy towarzyszyli mi w wyprawach na rzeki Esseąibó, a ostatnio Orinoko.

–Synu mój, Meru Janie – odezwałem się gromkim głosem, żeby wielu słyszało – jestem wzruszony, więc już teraz mówię do ciebie, chociaż dopiero po latach dowiesz się od ludzi, co ci teraz oznajmię. Masz brata przyrodniego, nieco starszego od ciebie, syna twej matki i czcigodnego wojownika, który zginął w walce na Wyspie Robinsona, i tego brata zawsze będziesz gorąco kochał i szanował. Gdy dorośniesz, synu mój Kolibrze, będziesz i ty miał syna, a ów syn także potomka, i nastąpią wnuki, prawnuki i praprawnuki. Niezawodnie ten i ów z potomków odwiedzi kraje, skąd pochodził ich przodek, zwany Białym Jaguarem, a będzie to Wirginia w Ameryce Północnej i będzie to kraj w Europie nad Wisłą z pięknym miastem Krakowem. Otóż obowiązkiem waszym, moich potomków, będzie nieść prawdę i uczciwość i kochać w życiu to, co kochał Biały Jaguar, a nienawidzić tego, czego on nienawidził. Biały Jaguar kochał dobroć i ludzi dobrych, nienawidził zła i ludzi złych. Zapamiętajcie bronili pokrzywdzonych i ciemionych, a zwalczał namiętnie tych, którzy krzywdzili słabszych. Był zwycięskim wojownikiem, ale bardziej niż wojnę kochał pokój i przyjaźń! Dlatego tak polubił naród Arawaków, Indian szlachetnych o ludzkim sercu i rozumnej głowie... O, wy przyszli potomkowie Kolibra-Jana, możecie być dumni ze swego przodka, a kto z was kiedyś dotrze nad Wisłę, niech tam rozgłosi wieść chwalebną, że Biały Jaguar swym dalekim rodakom nigdy, nigdy ujmy nie przyniósł! Skończyłem!...

Digitalizował „Bodziokb”

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2008-09-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/